OBLIGACJE? LOKATY? ZŁOTO? NIERUCHOMOŚCI?

Wojciech Cejrowski radzi, jak się nie dać inflacji

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 48/504 28 LISTOPADA–4 GRUDNIA 2022

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Dodatek specjalny: Dyktatura LGBT okalecza nastolatki

JACEK PAŁKIEWICZ WPROST Z PIEKŁA NA ZIEMI, CZYLI Z KOTLINY DANAKILSKIEJ

O ludziach, którzy bardziej od ludzi kochają zwierzęta

Straszna Polska według Stuhrów

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 48>

Nakład: 53 500 egzemplarzy

NARODOWY BANK POLSKI

NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

NBP otrzymał prestiżowe nagrody: *Excellence in Currency* oraz *Strażnik Pamięci*

Międzynarodowa nagroda *Excellence in Currency* w kategorii „Najlepsza nowa moneta, zabezpieczenie lub rozwiązanie logistyczne" została przyznana NBP za innowacyjną usługę zamiany monet w urządzeniach samoobsługowych.

„The Coin Conference", Amsterdam, 18 października 2022 r.

Nagroda *Strażnik Pamięci* w kategorii „Instytucja" została przyznana NBP za placówkę Centrum Pieniądza NBP.

Warszawa, 7 listopada 2022 r.

Szczegółowe informacje na stronie Narodowego Banku Polskiego:
nbp.pl

eprasa.pl 5fd6eaf378

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Szacunek do Polski

Nominacja na wiceszefa MSZ Ukrainy byłego ambasadora tego państwa w Niemczech Andrija Melnyka wywołała w Polsce delikatną konsternację. Jak to, nasz najbliższy sprzymierzeniec i naród, któremu udzielamy wielkiej pomocy, tak nas traktuje? Mówię o lekkiej konsternacji, bo natychmiast panująca u nas polityczna poprawność sprawiła, że większość polityków zaczęła grać w swoją ulubioną grę, czyli chować głowę w piasek. Podstawy tego rozumowania, sądzę, wyglądają tak: Rosja, jak tylko będzie mogła, to nas napadnie, więc krytykować Kijowa nie wolno.

Nic dziwnego, że przy takim założeniu nominacja Melnyka wywołała bardzo ograniczone echo. Były już rzecznik PiS Radosław Fogiel stwierdził, „że to niefortunne zdarzenie, nasi ukraińscy partnerzy powinni wykazać większe zrozumienie dla polskiej wrażliwości". Ale właściwie dlaczego mają nasi ukraińscy partnerzy cokolwiek wykazywać, skoro my sami nie jesteśmy w stanie jasno określić swoich potrzeb i żądań? Równie niejasno wypowiedział się rzecznik MSZ, Łukasz Jasina: „Liczę na to, że różne nierozważne decyzje po obu stronach nie doprowadzą do zniszczenia kapitału, jakim są relacje polsko-ukraińskie". Po obu stronach? A ja liczę na to, że będzie więcej słońca i świat będzie lepszy, można byłoby to skwitować.

Jeszcze bardziej osobliwie brzmiały słowa prezydenta Andrzeja Dudy. „To są suwerenne decyzje, które podejmują władze ukraińskie; jest to ekspert ukraiński od spraw zagranicznych, takie decyzje są podejmowane w obrębie administracji prezydenckiej, w obrębie władz ukraińskich" – aż przykro tych wyjaśnień polskiego prezydenta słuchać. To, że decyzję podjęły władzę Ukrainy, jest oczywiste, to jednak, że zrobiły to mimo deklarowanej przyjaźni z Polską, jest rzeczą, której przyjąć nie wolno. Co więcej, to właśnie prezydent Duda, pokazujący wcześniej, jak bardzo przyjaźni się z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim, ponosi szczególną odpowiedzialność, żeby stronie ukraińskiej powiedzieć, że taka nominacja jest niestosowna, niewłaściwa i szkodliwa. Jak rozumiem, niczego takiego nie powiedział. Wygląda na to, że zamiast sprzeciwu i protestu polski prezydent postanowił sprawę zbagatelizować: „Będzie trzeba pana ministra poprosić o to, żeby jednak trochę doczytał faktów historycznych, żeby miał obiektywne spojrzenie". Niesłychane. Chodzi przecież nie o jakieś tam nieporozumienie, nie o jakieś tam niedoczytanie, ale najpierw o negację ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach na Wołyniu, a następnie dodanie, że „podobne masakry dokonywane były przez Polaków na Ukraińcach, dziesiątki tysięcy. Trwała wojna". Co więcej, pan Melnyk oskarżył faktycznie o zbrodniczość II Rzeczpospolitą, twierdząc, że prześladowała ona Ukraińców w „sposób, który trudno sobie wyobrazić". Z kontekstu wynikało, że przypominało to działania Trzeciej Rzeszy i Związku Sowieckiego.

Po tych wypowiedziach, gdzie bronił też przed zarzutami Stepana Banderę, Andrij Melnyk właściwie nie przeprosił, bo trudno za przeprosiny uznać słowa z lipca tego roku: „Nie doceniłem emocjonalnej wagi tego wciąż drażliwego tematu, zwłaszcza dla naszych polskich przyjaciół. To był błąd, nie chciałem nikogo urazić". Doprawdy, nie wiem, jak można nad tym przejść do porządku dziennego. Tym bardziej że ledwo Melnyk został mianowany, zaczął działalność twitterową, obsobaczając kilku polskich publicystów. Znowu nie słyszałem, żeby został za to upomniany przez naszych kijowskich sprzymierzeńców. Jedynym przedstawicielem władz w Warszawie, który zdobył się na coś więcej niż na ezopowe wygibasy, był minister obrony, wicepremier Mariusz Błaszczak. „Moim zdaniem to zła decyzja. Uważam, że oprócz samego zainteresowanego z tej decyzji cieszy się jeszcze jeden – lokator Kremla". Przynajmniej tyle.

Powtarzam: nie rozumiem zachowania polskich władz. W Polsce często się mówi o tym, jak sprawna jest, jeśli chodzi o ochronę swojej pamięci, polityka prowadzona przez państwo Izrael. Ileż to razy wysłuchałem różnych polskich prawicowych polityków mówiących, że Polska musi brać z Izraela przykład i walczyć równie skutecznie o swoje. Ogarniał mnie wtedy, a teraz jeszcze bardziej, przyznaję, pusty śmiech. Po prostu nie jestem w stanie wyobrazić sobie, żeby jakikolwiek poważny izraelski polityk w jakichkolwiek okolicznościach pogodził się z twierdzeniem praktycznie dezawuującym skalę zbrodni na Żydach. Zresztą dlatego ambasador Melnyk, który powątpiewał w udział UPA w zbrodniach na Żydach, natychmiast ich przeprosił. Polaków nie.

Niestety, w sprawach polityki reguła jest prosta: jeśli chcesz, żeby inni szanowali ciebie, to musisz sam szanować siebie. Obowiązkiem polskich władz jest – niezależnie, czy im się to podoba czy nie – twarda obrona pamięci niewinnych polskich ofiar. To jest właśnie ten warunek sine qua non, to jest coś, co nie może podlegać grze. Jeśli Polska chce, żeby ją traktować poważnie, to nie może na takie lekceważenie własnej pamięci nikomu pozwalać. Dlatego ta nominacja i tolerancja dla niej są nie do obrony. ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

KRAJ

16 MAREK JUREK
ALARM W PRZEWODOWIE
Polska wobec wojny na Ukrainie

18 PIOTR SEMKA
POLITYKA DLA DOROSŁYCH

21 ROZMOWA Z ROBERTEM WINNICKIM
SMUTNA HISTORIA

24 KAROL GAC
WOJNA O POKÓJ

26 TOMASZ ROWIŃSKI
BÓJ O OPINIĘ KOBIET

28 ZUZANNA DĄBROWSKA
Z „MIŁOŚCI" DO ZWIERZĄT

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
PRAWDZIWY POLSKI SUKCES

KULTURA

32 WIESŁAW CHEŁMINIAK
ANARCHISTKA Z PAŁACU LWÓW
Peggy Guggenheim. Życie uzależnione od sztuki

36 PIOTR GOCIEK
MOJA PÓŁKA – MOJE ZASADY

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

TEMAT TYGODNIA

12 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
UPADEK RODU STUHRÓW
Straszna Polska według znanych aktorów

45
OD PŁYNNEJ RZECZYWISTOŚCI DO PŁYNNEJ PŁCI
Prawna obrona wolności sumienia i ideologia LGBT

OPINIE

64 WOJCIECH GOLONKA
KRONIKA ZDZICZENIA FRANCJI
Jak migranci zmienili kraj

66 ŁUKASZ WARZECHA
KOBIETY Z PUNKTAMI ZA PŁEĆ

HISTORIA

68 GRZEGORZ MAJCHRZAK
HISTORIA PEWNEGO LISTU
Rozgrywka Wałęsy z władzami PRL

ŚWIAT

74 MACIEJ PIECZYŃSKI
KIJÓW GRA WARSZAWIE NA NOSIE
Niewdzięczność Ukrainy, naiwność Polski

76 PIOTR WŁOCZYK
GIERKI GIRKINA

EKONOMIA

80 JACEK PRZYBYLSKI
BANKRUCTWO (KRYPTO)MARZEŃ?
Upadek giełdy FTX niczym plajta Lehman Brothers

PODRÓŻE

84 JACEK PAŁKIEWICZ
ZDUMIEWAJĄCY ŚWIAT AFARÓW
Wojowniczy lud Afryki

O ZDROWIU

88 KATARZYNA PINKOSZ
PATRZEĆ PRZED SIEBIE
Leczenie hemofilii to nie tylko leczenie krwawień

FELIETONY:
SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (72), PRZYBYLSKI (78), GABRYEL, WARZECHA (83), KOMUDA (93), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), NOWAK (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 5fd6eaf378

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselo)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 828, Nakład 53 500 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Kijowskie ciemności", Maciej Pieczyński, „DRz" 47/2022

Droga Redakcjo,
takie teksty są nam dziś bardzo potrzebne. Panie Macieju, dziękuję! Stety czy niestety, codzienność w Kijowie jest mi dobrze znana. Mam tam bliską rodzinę, o którą martwię się każdego dnia, i niemal każdego dnia bliscy próbują dać mi sygnał życia i przekazać, co u nich.

Ostatnia rozmowa po kilku dniach ciszy odbyła się w nocy z 23 na 24 listopada. A w zasadzie o godz. 4. Dlaczego o takiej porze? Ano dlatego, że przez kilka dni nie było u nich prądu, a więc i Internetu w domu, a także, co jeszcze bardziej uciążliwe, zasięgu w sieci GSM. Żadnej więc możliwości kontaktu. Kiedy zatem zasięg wrócił na chwilę, natychmiast skontaktowali się ze mną.

Życie bez prądu, z dużymi przerwami w dostarczaniu bieżącej wody, o ogrzewaniu nie wspominając. W mieszkaniu 10 st. C. W bloku. W domach pewnie jeszcze chłodniej. A mamy dopiero drugą połowę listopada. Nie wspominam o alarmach w środku nocy i rakietach, które czasem przelatują niepokojąco nisko nad ich głowami.

Pamiętajmy o tych „kijowskich ciemnościach", o tej codzienności, gdy komentujemy, „ile nas ta pomoc kosztuje". Pamiętajmy, gdy czytamy publicystów i „autorytety" nawołujące do „nieeskalowania konfliktu". Pamiętajmy o tym, gdy

spotykamy w Polsce rodziny z Ukrainy. Znajoma Ukrainka, będąc na zakupach, usłyszała ostatnio od obcej sobie klientki sklepu: „Gdyby pani tu nie przyjechała, to na Polskę nie spadałyby rakiety".

Marcin Janicki, Poznań

„Wielkie postacie polskiej nauki"

Szanowna Redakcjo,
dziwnie niezauważalnie trwa od jakiegoś czasu Wasza cenna inicjatywa na rzecz ukazywania oraz popularyzowania polskiego dorobku w różnych dziedzinach. Zaczęło się od polskiego wkładu w podbój kosmosu, potem było o polskich nafciarzach, gigantach medycyny, genialnych polskich matematykach, o polskiej myśli technicznej w lotnictwie, o podróżnikach i odkrywcach, o archeologach, a teraz czytamy o wybitnych architektach. Ten cykl to swego rodzaju kanonada, serwująca wiedzę niewielu rodakom znaną. To ważne nie tylko dla leczenia nas z kompleksów. To przede wszystkim ciekawie i miarodajnie podana ważna część prawdy o Polsce i Polakach. Świetna robota!

Z wyrazami uznania dla PT Redakcji
Jacek Jakubiec, Jelenia Góra

NEKROLOG

Z wielkim smutkiem i bólem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

Elżbiety Morawiec

wybitnej publicystki oraz krytyk teatralnej i literackiej, współpracowniczki tygodnika „Do Rzeczy"

Wszystkim Jej bliskim składamy wyrazy głębokiego współczucia

redakcja tygodnika „Do Rzeczy"

eprasa.pl 5fd6eaf378

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Bliscy płaczu

Postępowy świat zaszokowany jest przebiegiem mundialu w arabskim Katarze. Narzucony w ostatniej chwili zakaz spożywania piwa na stadionach i wymuszona na FIFA groźba ukarania piłkarzy żółtymi kartkami za noszenie opasek solidarności z grupami LGBT pokazały, że pozujący na światowość szejkowie znad Zatoki Perskiej posiedli techniki owijania sobie wokół palca Zachodu lepiej, niż to komukolwiek się wcześniej zdawało.

Najbardziej płomienny manifest oburzenia przebiegiem wydarzeń w Katarze ogłosiła „Gazeta Wyborcza". Jej publicysta Rafał Stec oznajmił hiobowym tonem: „Żółta kartka dla niewiernych. Katar wygrywa wojnę kulturową z Zachodem". Stec pisze: „Sądziliśmy, że gospodarze mundialu chcą upiększyć swój wizerunek, przypodobać się Zachodowi. Chcą znacznie więcej. Kto wie, może Katarczycy nie tyle triumfują, ile spoglądają na nas z pogardą. Kapitanowie siedmiu europejskich reprezentacji obiecywali, że w geście solidarności z prześladowanymi tutaj osobami LGBT będą grali w tęczowych opaskach z napisem »One Love«, ale ich nie założyli. [...] Okazało się, że piłkarze nie są gotowi poświęcić niczego. [...] Wraz ze zbliżaniem się mistrzostw ich postawa radykalnie ewoluowała. Latami przysięgali, że będą elastyczni, gościom z całego świata przychylą nieba, ale gdy pojęli, iż nie grozi im już odebranie turnieju, przestali czuć się petentami i coraz śmielej sugerowali: teraz wy macie grać według naszych reguł. Przejęli kontrolę, przeszli do ofensywy. Z każdym dniem coraz bardziej czuć, że Katarczykom nie zależy na tym, byśmy ich polubili. Raczej wypowiedzą wojnę. Nie zamierzają respektować naszych zasad, lecz oczekują, że my podporządkujemy się ich zasadom".

Nie każcie mi przejmować się dyskomfortem Rafała Steca. Dziennikarz „Wyborczej" nagle obudził się ze snu o ponadkulturowym braterstwie, bo ktoś zablokował piłkarzom tęczowe opaski. Dopiero teraz odkrył, że istnieją jakieś zderzenia cywilizacji. Wcześniej jego koledzy wpadali w histerię i oburzali się, gdy ktoś mówił, że w szwedzkich czy francuskich metropoliach istnieją strefy „no-go", gdzie rządzą arabskie gangi. Gdy wskazywano, że wielu imigrantów z krajów islamskich nie szanuje zasad Zachodu w europejskich krajach, które udzieliły im gościny, publicyści „Wyborczej" reagowali oskarżeniami o rasizm. I dopiero teraz, gdy zderzają się z tym, jak katarscy szejkowie egzekwują swoje zasady, tacy mędrcy jak Rafał Stec czują niepokój. A Monika Olejnik odreagowuje kulturowy szok okrzykiem: „Danke Deutschland!".

Dopiero teraz widzicie, co znaczy konflikt kultur? Nie będę się przejmował waszymi zawodzeniami. Już jutro znów zapłoniecie gniewem na push-backi i rzucicie gromy na włoskich polityków chcących zablokować nielegalną imigrację. Żaden Katar niczego was nie nauczy. ©℗

FOT. KRZYSZTOF NALEWAJKO/GODKIA

KRET GIGANT, CZYLI PIERWSZY TAKI TRANSPORT

Takiego konwoju w Polsce nie pamiętają najstarsi drogowcy. W tym tygodniu do celu powinna dotrzeć wreszcie olbrzymia tarcza TBM, która wykopie tunel w biegu drogi S19 Via Carpatia. Maszyna ma 112 m długości, waży 4 tys. ton, a jej główne elementy są przewożone na naczepie złożonej z dwóch platform, które razem liczą aż 68 kół. Transport, który na niektórych odcinkach musiał poruszać się z prędkością zaledwie 10 km/godz., a zazwyczaj „pędził" 20–30 km/godz., 29 listopada ma już w końcu dotrzeć do celu, czyli na plac budowy we wsi Babica pod Rzeszowem. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

dwaj panowie g

Nie milkną echa akcji sabotażowo-dywersyjnej na Śląsku, w której wyniku PiS utracił władzę w sejmiku. Ludzie premiera Mateusza oskarżają ziobrystów, gdyż jeden z rozłamowców to pani związana z Solidarną Polską. Ziobryści oskarżają premiera Mateusza, gdyż to on hodował na własnej piersi i hołubił głównego zdrajcę, Jakuba Chełstowskiego. Oficjalnie zaś nikt nie zawinił, bo wszystko jest skutkiem knowań złej Platformy. Wiecie, jak to jest. Sukces ma wielu ojców. Tylko porażka jest sierotą.

Wszystkiemu z uwagą przygląda się „stary" PiS, który ma własne uwagi. Jedną z nich usłyszeliśmy i wiąże się z tym, że to premier Mateusz jest przecież w strukturach PiS oficjalnym partyjnym opiekunem województwa śląskiego. No i jest to uwaga, niestety, szydercza. Brzmi tak: „Mateusz nie miał czasu zająć się Śląskiem, gdyż w tym czasie zajmował się ocieplaniem relacji z Unią Europejską". Tak, wiemy, brzmi to jak Terlecki, ale usłyszeliśmy ją od kogoś innego.

Z kolei ci, którzy w partii sympatyzują z ojcem Mateuszem, znaczy z premierem, wskazują, że wszystkiemu winien jest brak Michała Dworczyka na czele kancelarii premiera. Dworczyk był od zawsze specjalnym wysłannikiem ds. zakulisowych negocjacji w terenie i niejedną koalicję stworzył/uratował (niepotrzebne skreślić). Jako minister bez teki nie jest jednak traktowany tak poważnie w terenie, stąd problemy, bo nie wiadomo, kogo posłać.

My tu gadu-gadu, a w Eine Totalopposition zawarto anty-Donaldowy triumwirat. Chodzi o trójkę w składzie Rafcio Czajkowski vel Trzaskowski, Władek Tygrysek-Kamysz oraz Szymon Hołownia Płaczliwy. Łączy ich głęboka niechęć wobec Złego Donalda z Sopotu i jego planów dominacji nad światem, to znaczy wspólną listą opozycji. Wspomniana trójka nie tylko spotyka się na pogaduszkach. Zamierza też przejść do działań.

Bawiąc, uczyć. To nasze hasło. Dla tych, którzy nie pamiętają, co to był triumwirat: pierwszy zawarli Pompejusz, Krassus i Juliusz Cezar. Trzech mocnych gości. Do nich nasza polska gromadka mało pasuje. Ciekawszy był drugi triumwirat: Oktawian, Marek Antoniusz i Marek Lepidus. Dwóch mocnych gości i fajtłapa. Otóż triumwirat Szymona, Władka i Rafcia to pierwszy w dziejach triumwirat zawarty przez trzech Lepidusów.

W prasie – pożegnania. Największy brodaty krasnal prawicy, człowiek w sandałach, druh Andrzeja Sebastiana, czyli Marcin Kędryna, przestaje być wicenaczelnym „Gazety Lubuskiej". Co sprawiło, że w miejscowej Peło strzeliły korki od szampanów. Tak się bowiem zdarzyło, że za kadencji Kędryny notowania Platformy w Lubuskiem poleciały na łeb na szyję. I nie była to zasługa miejscowego dość niemrawego PiS. Po prostu „Lubuska" zaczęła patrzeć na ręce władzy. A że od wieków władzą w województwie jest Platforma, to zaczęło jej spadać.

Jednych żegnamy, innych witamy. Na przykład Tyszkę Stanisława witamy w Konfederacji. Jego transfer mocno zmartwił PiS. Nie dlatego, że jako kukista Tyszka głosował razem z PiS – gdyż głosował właśnie przeciw. I zaciekła antypisowskość Tyszki budzi obawy, że po najbliższych wyborach, gdyby trzeba było dobrać skądś – np. z Konfederacji – kilku posłów dla stworzenia większości, Tyszka będzie w gronie tych, którzy będą to blokować.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Witamy też Rafała Bochenka jako nowego rzecznika PiS. Ze starym, czyli Radkiem Foglem, był pewien problem: złapał za wiele fuch naraz. Był nie tylko rzecznikiem w kraju, lecz także rzecznikiem międzynarodowym, wiceprzewodniczącym Sojuszu Europejskich Konserwatystów i Reformatorów oraz ostatnio przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. Wszystko to doprowadziło do sytuacji, w której pogrążyły go alkohol i kobiety. Ale nie nadużywanie, nie. Rzecz wygląda inaczej.

Otóż przesilenie w karierze Fogla wywołała sytuacja z Ełku, kiedy to Naczelnik Jarosław (wcześniej szeregowy wicepremier) mówił o kobietach dających w szyję. Co wywołało chryję. Rzecznik Fogiel zaczął gasić pożar dopiero w poniedziałek, w stylu, który uznano w partii za niezbyt udany. Grupa złych ludzi udała się więc do Naczelnika z petycją, by Radkowi trochę ująć obowiązków. Naczelnik petycję rozpatrzył pozytywnie.

Skoro już o złych ludziach: jak zapewne wiecie, w europarlamencie setka posłów okazała się ruskimi onucami, głosując przeciw uznaniu Rosji za sponsora terroryzmu. Nasze zaciekawienie wzbudziło nie to, że przeważali Francuzi i Niemcy, ale to, że wśród Niemców było dwóch partyjnych kolegów kanclerza Olafa Scholza. Jak widać, nie tylko partia cioci Merkel wciąż marzy o dobrej atmosferze rosyjsko-niemieckiej.

Najlepszym ancymonkiem w tym gronie jest jednak eurodep Sergej Staniszew, były bułgarski premier. Ten miły pan urodził się w Sowietach, a bułgarskie obywatelstwo uzyskał jakoś w wieku lat 30. Co nie przeszkodziło mu w karierze politycznej, wręcz przeciwnie. Czemu o nim wspominamy? Bo to europejski socjalista. Prawdziwy człowiek lewicy.

Wiecie, jak to jest z lewicą: międzynarodówka. Więc życiorys Staniszewa przypomniał nam, jak to niedawno poseł Andrzej Szejna z Nowej Lewicy oświadczył, że „wolałby być w Związku Radzieckim niż w PiS". My też byśmy woleli, żeby był akurat tam. Nie on jeden. ©℗

eprasa.pl:5006ea137

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Transfer

Platforma Obywatelska odzyskała władzę nad sejmikiem województwa śląskiego. Problem w tym, że w sposób, delikatnie mówiąc, budzący niesmak – i jedynym, co ten niesmak łagodzi, jest fakt, że przed kilkoma laty dokładnie w taki sam sposób ją straciła. Wtedy wybrany z list opozycji pan Kałuża przeszedł na stronę PiS i został marszałkiem; teraz wybrany z list PiS – i dotąd z jego nominacji sprawujący funkcję wicemarszałka – pan Chełstowski przeszedł z kilkoma swoimi zwolennikami na stronę opozycji. W tle jest gruba kasa, głównie z UE, której dzieleniem zajmują się takie sejmiki – i zapewne nieco mniejsza, związana z zatrudnieniem Chełstowskiego w radzie nadzorczej spółki samorządowej rządzonego przez PO Opola. Na wierzchu natomiast frazesy o kierowaniu się dobrem regionu i kraju. Swoją grupkę sejmikowych perekińczyków nazwał przekręcony marszałek patetycznie: TAK! Dla Polski. Doprawdy, trudno powstrzymać odruchową reakcję fizjologiczną.

Można jedynie podkreślić, że w przeciwieństwie do samorządowca Kałuży samorządowiec Chełstowski nie został przez polityków partii, którą opuścił, zwyzywany publicznie od ch.... i sk....., nie grożono mu pobiciem, podpaleniem domu i oszczędzono innych uprzejmości towarzyszących poprzedniemu aktowi „korupcji politycznej" (która, oczywiście w dyskursie lewicowo-liberalnych mediów, zachodzi tylko wtedy, gdy ktoś wyciągnąć działacza Kalemu – tu mieliśmy do czynienia, wedle owych mediów, z „opowiedzeniem się za demokracją"). Sam nie wiem, czy uznać to za potwierdzenie głośnych badań zespołu prof. Bilewicza z UW, według których agresja i nienawiść są znacznie silniejsze po stronie PO niż PiS, czy działa efekt „powtórki z rozrywki", znużenia. Po prostu fakt, że politycy łażą z partii do partii, niekiedy wprost sprzedając się jak… jak na targu, powiedzmy, choć niewątpliwie naganny, spowszechniał już. Jest, jak jest, nawet nie chce się już człowiekowi oburzać.

Na pewno w każdym razie nie jest to, jak głosi PO, przełom, który przyciągnie do niej wyborców. Ale jeśli się nie ma co świętować, to się świętuje, co się ma. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Upadek pewnej tradycji

Kiedyś po niedzielnej Mszy, na murze w pobliżu zwykłego parafialnego kościoła w Paryżu, zobaczyłem napis: „Przeciw dekadencji, aborcji, pornografii – Le Pen!". Było to podczas mego pierwszego pobytu we Francji, 34 lata temu. Nie interesowałem się wtedy specjalnie Frontem Narodowym, ale napis mnie zaintrygował. Wybrałem się z przyjacielem na doroczny pochód Frontu ku czci Joanny d'Arc – świętej ojczyzny – po którym uczestnicy obchodów wzięli udział we wspaniałej Mszy polowej, odprawionej w jednym z paryskich parków. Do tej pory dźwięczy mi w uszach potężne „Kyrie"; brzmiało jak echo modlitw rycerstwa św. Ludwika.

Potem te wspomnienia się mnożą, przywołam tylko jedno. Gdy zmarła Simone Veil, inicjatorka aborcyjnej rewolucji we Francji, z żałobnego punktu na posiedzeniu Parlamentu Europejskiego wyszła (dyskretnie, żałobę należy uszanować) garść posłów. Stanęliśmy razem przy wejściu na salę, pamiętam, że był tam i Jacek Saryusz-Wolski, i Bruno Gollnisch, nestor Frontu Narodowego, i przede wszystkim Anna Záborská, słowacka posłanka i najwybitniejsza obrończyni życia w PE. „To jest nasza Simone Veil!" – zawołałem do kolegów, a Bruno Gollnisch ucałował Anny ręce.

A teraz czytam, że Zjednoczenie Narodowe (czyli totalnie „odmłodzona" kontynuacja Frontu) proponuje wpisanie dzieła pani Veil, osławionego „prawa do własnego ciała", do konstytucji! Choć wyborcze prawice na gwałt się modernizują, to wiadomość ta mnie nie tylko poruszyła, lecz także autentycznie zaskoczyła. Ale jaki morał płynie z tej historii? Właściwie dwa. Cywilizacja chrześcijańska musi mieć wyraz polityczny, ale jej sprawy nie wolno zredukować do partyjnej polityki. Bronimy cywilizacji życia, dobra wspólnego narodu, praw rodziny, a nie takiej czy innej wyborczej opcji, czy nawet prawicy w ogóle.
I drugi, ważniejszy: „Nie pokładajcie ufności w książętach ani w człowieku, u którego nie ma wybawienia" (Ps 146/145,3). ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

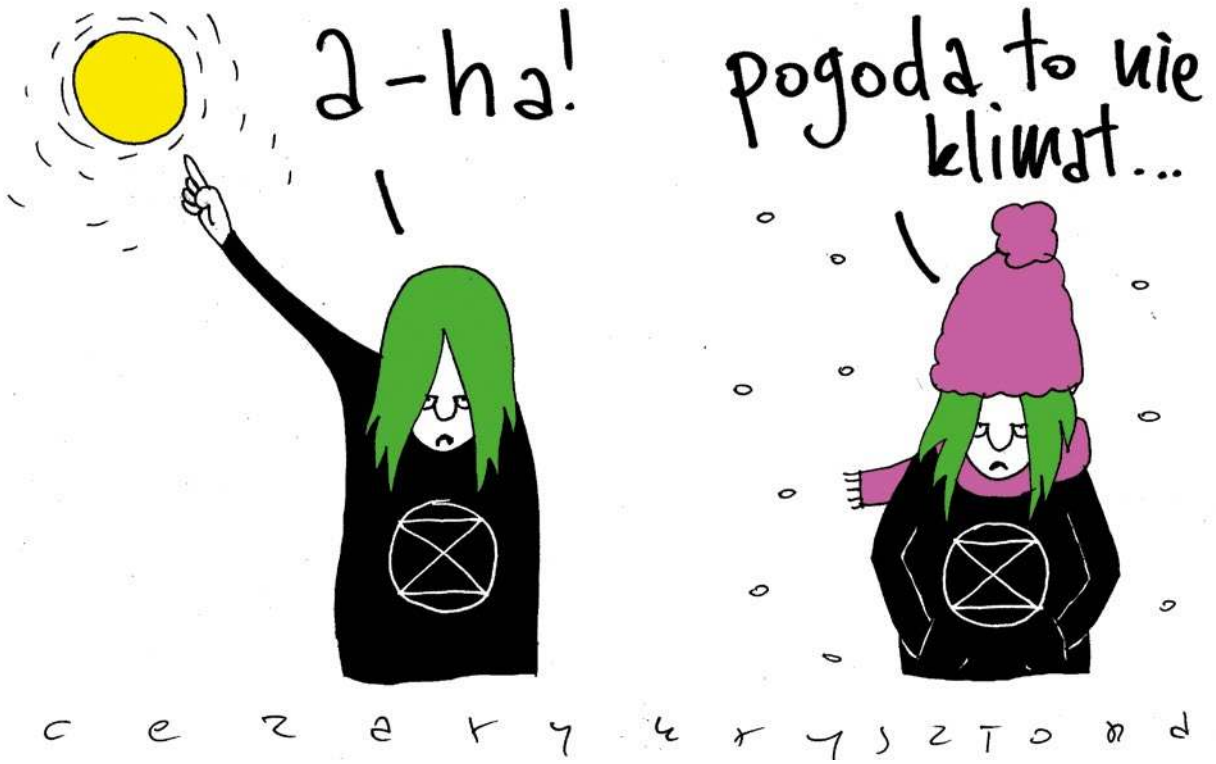

PIECZEŃ RZYMSKA

Ruch Pięciu Czerwonych Gwiazd

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Populistyczni, lewicowi kontestatorzy z Ruchu Pięciu Gwiazd po dojściu do władzy (w 2018 r. jedna trzecia wszystkich głosów w wyborach parlamentarnych) szybko przepoczwarzyli się w partię establishmentu biorącą udział we wszystkich godnych Bizancjum intrygach włoskiej polityki.

Najpierw okazało się, że Ruchowi, który wypożyczył z kręgów uniwersyteckich nieznanego profesora prawa i uczynił go premierem, jest absolutnie wszystko jedno, z kim wchodzi w alianse, byle tylko być u władzy. Początkowo skumał się z prawicową Ligą Salviniego, a potem, gdy koalicja się rozpadła, z postkomunistyczną Partią Demokratyczną. Kiedy Ruch stracił władzę, a premierem został Mario Draghi, kontestatorzy doprowadzili do upadku rządu apolitycznego superbankiera.

Gdy Putin zaatakował Ukrainę, a premier Draghi stał się jednym z najbardziej proukraińskich europejskich przywódców, Conte i jego Ruch – wówczas najsilniejsza partia w parlamencie i szerokiej koalicji jedności narodowej, wspierającej rząd – gardłowali przeciw zbrojeniu Ukrainy.

Teraz europarlamentarzyści Ruchu jako jedni z nielicznych wstrzymali się od głosu nad rezolucją PE uznającą Rosję za państwo wspierające terroryzm. Jak wyjaśnił Conte, mimo że Rosja złamała prawo międzynarodowe i morduje z premedytacją cywili, nadszedł czas zakończenia wojny i rozmów pokojowych. Sugerował, że Zachód, który militarnie od miesięcy wspiera Ukrainę, powinien zmusić prezydenta Zełenskiego do rozmów pokojowych z Rosją na warunkach, które ustalą między sobą zachodni przywódcy. Słowa „dyktat" Conte nie użył. O szantażu „albo się zgodzisz, albo wstrzymamy dostawy broni" też nie mówił, ale wiadomo, że o tu mu właśnie chodzi. Władimir Putin musiał się ucieszyć.

Jak się domyślają włoscy komentatorzy, Conte liczy na polityczne zyski. Wskazują, że bardzo wielu Włochów jest tak antyamerykańskich jak mieszkańcy Ameryki Południowej. Dla nich wróg Waszyngtonu jest sprzymierzeńcem. Nawet jak ma ręce tak unurzane we krwi jak Putin. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 5fd6eaf378

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

FOT. JERZY DĄBROWSKI/ONS

WYŻSZOŚĆ ARTYSTY NAD SKLEPOWĄ

Wypsnęło się. Ralphowi Kamińskiemu się wypsnęło. Ale co? A to, że niby równość i wszyscy jesteśmy tacy sami, ale jednak taki artysta to jest prawdziwie obciążony. Nie to, co jakiś zwykły pracownik – tfu – sklepu. – Wczoraj rozmawiałem z topową gwiazdą polskiej sceny. Rozmawialiśmy o chodzeniu do psychologa. Ta osoba chodzi do psychologa. Ja też chodzę na terapię. Uważam, że to powinien być obowiązek, jeżeli się jest w biznesie artystycznym, bo to bardzo pomaga – jeżeli masz ciężkie, skrajne emocje – przekonywał wokalista w jednym z wywiadów. – Co innego, jak się pracuje w sklepie – podsumował Kamiński. No właśnie, jak się pracuje w sklepie, to się zdaniem pana Ralpha TYLKO PRACUJE. A jak się występuje na scenie, to jest to PRACA W BIZNESIE i masz ciężko. Zero żenady.

POLSKO, NIE JESTEŚ GOTOWA

A skoro już o żenadzie – tej w polskim show-biznesie nie brakuje. Człowiek odczuwa ją za każdym razem, gdy jedna gwiazda poucza drugą na tematy, najdelikatniej pisząc, mało istotne. Tym razem nestor muzyki cygańskiej Don Vasyl uznał, że musi koniecznie przekazać światu, co sądzi o nastoletniej piosenkarce Viki Gabor. Stwierdził pewnie, że skoro 15-latka ma romskie korzenie, to powinien. Ale do rzeczy – muzyk ogłosił, że nie podobają mu się stroje i makijaże Viki, bo są „zbyt dorosłe". Obrotna nastolatka nie pozostawiła przytyków Don Vasyla bez komentarza. – To jest mój wizerunek sceniczny. Kamery i scena wymagają tego makijażu, stylizacji. Na co dzień jest tego makijażu mniej [...]. Za granicą jest inaczej. Byłam ostatnio w Londynie i tam nastolatki na co dzień się tak malują. Ludzie z Polski, którzy nie widzieli takich makijaży, nie są jeszcze na to gotowi, mówią, że jest tego za dużo – stwierdziła Viki. Dodała, że skoro jej rodzicom wizerunek sceniczny nie przeszkadza, to innym też nie powinien. W sumie racja. Tylko po co się czepiać tej biednej Polski?

DLA DOBRA DZIECI

Jednym rodzicom nie przeszkadza mocny makijaż u nastolatki, a innym angażowanie kilkuletnich dzieci do reklam. Ba, opowiadają, że to same dzieci domagają się, aby w takiej reklamie wystąpić. A wtedy cóż można poradzić? Otóż taki właśnie debiut reklamowy zaliczyło troje pociech aktorki Małgorzaty Sochy. Cała rodzina wystąpiła w świątecznej reklamie znanej marki biżuteryjnej. Jak zwykle znalazło się kilku malkontentów, których cieszy psucie zabawy innym – internauci zarzucali Sosze, że do tej pory broniła wizerunku swoich dzieci, ale nagle zechciała na nich zarobić. Gwiazda pospieszyła z wyjaśnieniem. – Dzieci bardzo się cieszyły i w sumie to one nas namówiły, aby wziąć udział w tej kampanii. Przede wszystkim w końcu powiedziały, że nie będą występowały tyłem, plecami, głową. Że one chcą być widoczne, więc to była w sumie ich decyzja. To było urocze – przekonuje. Małgosia dodaje, że gaża dla małych aktorów będzie zabezpieczać ich przyszłość. Widocznie skończył się czas pozowania do zdjęć „plecami" i „głową".

WYJĄTKOWE I LUKSUSOWE

Gdyby ktoś chciał podbić w tym przedświątecznym sezonie Instagram, to może zapozować z doprawdy wyjątkowymi produktami oferowanymi przez projektantkę Joannę Przetakiewicz. Joasia nie kryje, że kocha luksus. I tym luksusem chce się dzielić ze światem. Wiadomo, nie za darmo. W swoim – a jakże – luksusowym butiku oferuje przedświąteczne luksusowe gadżety. I tak np. za akrylowy koc z domieszką bawełny Przetakiewicz życzy sobie bagatela 419 zł. A jeśli ktoś ma ochotę na świąteczną skarpetę udekorowaną futerkiem, to musi szykować 249 zł. Pomyśleć można, że to absurd. Projektantka nie narzeka jednak na brak chętnych. – To prawda, jest droga – przyznała pytana o skarpetę. – Jest popyt, bo to są produkty wyjątkowe. [...] Naszą siłą jest wyjątkowość. Jest to bardzo limitowana liczba rzeczy, bardzo wyjątkowe wzory, które robimy w wysokiej jakości – tłumaczy. Kto bogatemu zabroni? No właśnie. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 5fd6eaf378

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, piszemy do was na gorąco tuż po tym, jak Robert Lewandowski nie wykorzystał rzutu karnego w meczu przeciwko reprezentacji Meksyku. Stało się to parę dni po tym, jak działaczka Razem naświetliła, iż pół miliona złotych, które Lewandowski ofiarował któremuś ze szpitali w Polsce, to tak naprawdę jakieś kilka procent jego miesięcznych zarobków.

Może Lewandowski nie mógł się skoncentrować, iż dotarło do niego, że działacze Lewicy, posiłkując się kalkulatorem, odkryli, jak małą część swoich miesięcznych dochodów przeznacza na pomoc potrzebującym.

Of kors my uważamy, iż w ogóle majątek Lewandowskiego należałoby znacjonalizować, iżby każdy coś z tego miał, poza samym Lewandowskim of kors, a rzuty karne w reprezentacji winny być wykonywane kolektywnie przez zarząd krajowy Partii Razem.

No, chociaż w sumie rzut karny to opresja, drużyna, przeciw której został podyktowany, z pewnością zasługuje na resocjalizację i drugą szansę, a nie od razu jakieś karne, które nawet nazywają się tak z jakiegoś średniowiecznego kodeksu przepisów grania w piłkę nożną.

Obserwujcie bacznie w środę waszych znajomych z mniejszych ośrodków, iż jest możliwość, że ci z nich, którzy nie będą oglądali meczu z Argentyną, będą się oddawać zabobonnym zwyczajom wprost ze średniowiecznego podkarpacia, a więc będą celebrować andrzejki.

Wtf w ogóle, nawet ta sama nazwa sugeruje, iż mamy do czynienia z eventem przeznaczonym dla wąsatych osób niewykształconych, starszych i pochodzących z mniejszych ośrodków miejskich, a nawet wiejskich.

Strasznie nas rozwala takie średniowieczne wróżenie, jakieś lanie wosku przez dziurkę od klucza i takie tam. Zamiast poszukać odpowiedzi na ważne życiowe pytania u tarocistów, bioenergoterapeutów i innych postępowych i nowoczesnych osób, mających dar rozpoznawania przyszłości, wąsate Andrzeje oddają się prymitywnym i nieskutecznym zwyczajom.

Na szczęście taki dzień w roku jest tylko jeden, ale i tak nas zawsze zaskakuje skala zabobonu, ciemnoty i wiary w gusła. Dobrze, że w wielkich ośrodkach nie ma andrzejek, tylko normalnie można pójść do wróżki, postawić sobie horoskop i po prostu wiedzieć, iż będziemy mieć mnóstwo szans, które się spełnią lub nie.

Wogóle to musimy wam powiedzieć, iż się cieszymy, że nareszcie kończy się listopad. Nie dość, iż tradycyjny grobbing, to jeszcze w tym roku wypadła rocznica zawłaszczenia niepodległości, za chwilę rocznica wybuchu jednego z 15 643 powstań w historii tego kraju, a na dokładkę jeszcze mistrzostwa świata, ale tu, jak dobrze pójdzie, Polacy skończą je jeszcze w listopadzie.

A tak w ogóle, jak popatrzeć na kalendarz, to listopad z nagromadzeniem tych wszystkich katofashystoffskich okazji jest najgorszy. Dobrze, że chociaż jest Black Friday i można sobie kupić coś drożej niż na co dzień albo przynajmniej poprzeglądać oferty e-sklepów. Takie świecko zakupów.

No, a potem już grudzień, Winter Holidays, Sylwestra, narty w Białce albo przynajmniej wolna Wigilia, więc nie jest źle. Dobrze natomiast, iż kolejny listopad dopiero za rok, nie będziemy tęsknić (chociaż of kors to nie jest tak, iż dyskryminujemy listopad, traktujemy wszystkie miesiące równo itd.). ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Żartownisie

Andrzej, dzień dobry, tu Jarosław.
Tak, jasne, Jarosław. A po tej stronie Ronald Reagan.

Coś mnie może źle połączyli... Że kto? Donald?
Nie Donald, tylko Ronald. Reagan.

Ale jak Reagan, jak on nie żyje.
Ano tak. Tak samo, jak ty tam, żartownisiu, jesteś Jarosławem.

Przestań się wygłupiać. Musimy porozmawiać, jest kwestia twojego podpisu pod zmianami w Kodeksie karnym...
Z tobą to ja mogę najwyżej porozmawiać o podpisie na zdjęciu ze mną, jak ładnie poprosisz.

Tobie już kompletnie odwaliło?! Z Nowogrodzkiej dzwonię!
Oczywiście. A ten niby Makaron dzwonił z Paryża. Ja się już trzeci raz nabrać nie dam.

No ja cię nie mogę...
He, he, dobra próba, ale to nie przejdzie. Kontrwywiad już po ciebie jedzie, ruski trollu! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] środowisko PiS należy do jakiegoś klubu psychofanów Niemiec, w którym wszystko, co Niemcy zaproponują, trzeba natychmiast ofukać".

PAWEŁ PONCYLJUSZ, *poseł PO, w RMF FM*

eprasa.pl 5fd6eaf378

Upadek rodu Stuhrów

Rafał A. Ziemkiewicz

O ile publiczna aktywność Stuhra seniora wydaje się zakończona, o tyle jego syn chyba z roli „autorytetu moralnego" rezygnować nie zamierza. Cała publiczna działalność Jerzego i Macieja Stuhrów każe uznać ich przypadek za ciekawszy niż wielu innych antypisowskich celebrytów

Oskar Stuhr był ważną postacią międzywojennego Krakowa. Przede wszystkim jako prawnik – przez wiele lat, zanim został prezesem Sądu Dyscyplinarnego w Krakowie, słynął jako adwokat, szczególnie za sprawą procesów politycznych. Bronił działacza narodowego Jana Stoszki, sądzonego za to, że strzelał (celnie) do lewicowych bojówkarzy, bronił też Adama Doboszyńskiego, jednego z liderów ruchu narodowo-radykalnego, w procesie wytoczonym mu po słynnej „wyprawie na Myślenice". Reprezentował również przed sądem Polaków sądzonych po tzw. pogromie w Przytyku (piszę „tak zwanym", bo wbrew skojarzeniom narzucanym przez określenie „pogrom" śmiertelnymi ofiarami zajść w Przytyku byli polscy chłopi, zastrzeleni przez policję podczas próby odbicia swych towarzyszy, aresztowanych po bijatyce z Żydami na miejscowym targowisku). Ale jego kariera prawnicza i wybór prowadzonych spraw zgodne były z aktywnością społeczną i polityczną mecenasa Stuhra, wiceprezesa Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" i radnego miasta Krakowa, wybranego z rekomendacji Stronnictwa Narodowego.

Trudno nie użyć zdartego, potocznego powiedzenia, że patrząc na działalność

eprasa.pl 5fd6eaf378

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

swojego wnuka i prawnuka, aktorów Jerzego i Macieja, mecenas Stuhr musi się obracać w grobie.

ENDEK STUHR

Gdyby nie dzisiejsze zaanagażowanie polityczne dwóch ostatnich, byłby może Oskar Stuhr podawany obecnie jako wspaniały przykład „Polaka ochotniczego", jak nazywał sam siebie Marian Hemar, i działania „polskości jako straszliwej siły duchowej", która potrafi uczynić Polaka patriotę z człowieka, „w którym nie ma ani kropli polskiej krwi", o czym tak znakomicie mówił kiedyś, odbierając naszą nagrodę Strażnik Pamięci, śp. Jarosław Marek Rymkiewicz. A także tradycji polskiego ruchu narodowego, w przeciwieństwie do współczesnych mu nacjonalizmów inkluzywnego, zgodnie z formułą Wincentego Lutosławskiego, że prawdziwym Polakiem może być spolszczony Żyd, Tatar, Niemiec, Ormianin, Murzyn i czerwonoskóry, jeśli przyjmie polskie dziedzictwo kulturowe i wykaże się wolą pracy dla rozwoju Polski. Nestor znanego aktorskiego rodu był przecież synem dwojga austriackich Niemców, którzy do Krakowa, jako po prostu jednego z miast cesarsko-królewskiego imperium Habsburgów, przenieśli się ze względów biznesowych, by otworzyć tu restaurację. Z takim rodowodem nie miałby w czasie okupacji niemieckiej najmniejszych problemów z wpisem na volkslistę, a podczas następującej po niej sowieckiej – z przeniesieniem się z całą rodziną na Zachód i uzyskaniem tam obywatelstwa. Ani jedno, ani drugie najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, choć w PRL z racji swej przedwojennej działalności czekały go tylko szykany.

Z powodów, których łatwo się domyślić, pamięć Oskara Stuhra nie jest dziś jednak zbyt intensywnie kultywowana. Wikipedia podaje nawet, że to wcale nie on był dziadkiem aktora Jerzego, ale jego brat imieniem Tadeusz (w istocie bracia Oskara nosili imiona Rudolf i Leopold) – przy czym w odnośniku powołuje się anonimowy autor biogramu, jako na podstawę tego twierdzenia, na książkę Jerzego „Stuhrowie – historie rodzinne". Być może Jerzy Oskar Stuhr (samo drugie imię aktora, nieużywane przez niego publicznie, jest w tej kwestii wymowne) żadnej odpowiedzialności za tę pomyłkę nie ponosi. W wywiadzie dla „Gazety Krakowskiej" z 2019 r. mówi wyraźnie o „moim dziadku", a nie „bracie mojego dziadka". Co prawda, mówi o nim niemal wyłącznie dla zaprotestowania przeciwko „zawłaszczaniu przez PiS historii", podczas gdy historia bywa „nieoczywista", i akcentuje przy tym raczej aktywność społeczną niż polityczną przodka.

Generalnie postać endeka Oskara Stuhra, skrywana w rodowodzie wnuka, który zasłynął licznymi stwierdzeniami poniżającymi Polaków, na czele z często cytowaną deklaracją, że na Zachodzie stara się nie mówić po polsku, bo się wstydzi, nie jest wypadkiem odosobnionym – przypomina to trochę przypadek Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, która chlubiąc się swymi pradziadkami, nigdy nie wspomina o dziadku, Grabskim juniorze, współzałożycielu ONR i jednym z jego najbardziej bojowych publicystów. A jednak patriotyczne zaangażowanie przodka musiało w jakiś sposób w rodzinie przetrwać, acz w formie zdegenerowanej. Zakrawa na ponurą kpinę fakt, że Maciej Stuhr, prawnuk Oskara, swą decyzję, aby wystąpić w jednoznacznie antypolskim filmie „Pokłosie", motywował w wywiadach jako swój „patriotyczny obowiązek".

KAZNODZIEJSKIE ZAPĘDY

Nie tylko ta wypowiedź Macieja Stuhra, ale cała publiczna działalność jego i jego ojca każą uznać ich przypadek za ciekawszy niż wielu innych antypisowskich celebrytów, nawet jeśli nie zna się opisanego wyżej kontekstu rodzinnego. Mimo całej niechęci, którą ojciec i syn budzą dziś w środowiskach identyfikujących się z wartościami wyznawanymi niegdyś przez nestora rodu, i entuzjazmu, który wzbudzają na lewicowo-liberalnych salonach, coś zawsze wydawało się ich odróżniać od medialnych histerii Krystyny Jandy, Agnieszki Holland czy Mai Ostaszewskiej. To coś może być po prostu obłudą, ale może być też skutkiem generalnego pomieszania pojęć Dobra i Zła, które dotknęło po 1989 r. formację inteligencką – wielkiej „zapaści semantycznej", jak nazwał to śp. Zbigniew Herbert, spowodowanej zinstrumentalizowaniem etyki i estetyki jako narzędzi propagandy, osłaniającej „proces transformacji ustrojowej". Pomieszania dokonanego świadomie, być może wręcz cynicznie, przez środowiska, których symbolem stał się Adam Michnik.

Z powodów, których łatwo się domyślić, pamięć Oskara Stuhra nie jest dziś zbyt intensywnie kultywowana

Mądra zasada mówi, żeby oceniać artystów przede wszystkim po ich działalności artystycznej, mniej po tym, co wygadują w mediach. W myśl tej zasady kluczem to zrozumienia zaangażowania Jerzego i Macieja Stuhrów nich będzie przede wszystkim ich wspólny (choć z przeważającym udziałem ojca) film z roku 2014 pt. „Obywatel". Nie ulega wątpliwości, że w zamierzeniu

eprasa.pl 5fd6eaf378

twórców miało to być dzieło ważkie, mocny, poruszający głos w debacie o Polsce. Nie ulega też wątpliwości, że film okazał się nudnym, przewidywalnym od pierwszej do ostatniej sceny gniotem, jednym z wielu podobnych propagandowych obrazów, w których twórca, przedstawiciel elity, daje na użytek publiczności międzynarodowych festiwali upust swemu obrzydzeniu do kraju swego pochodzenia i jego mieszkańców. Z punktu widzenia wkładu w sztukę filmową można go spokojnie ustawić na niskiej półce, obok „Twarzy" Szumowskiej, „Mowy ptaków" Żuławskiego czy „Wesela" 2 Smarzowskiego, streścić je wszystkie i parę innych jednym zdaniem i zapomnieć.

Tylko po części wynika to z faktu, że Jerzy Stuhr – jak zresztą wielu aktorów, którym zamarzyło się stanąć po drugiej stronie kamery – o ile jako aktor ma niezaprzeczalne osiągnięcia, o tyle reżyserem jest po prostu marnym. Trudno rzec, co najbardziej sprawia, że ma tak „drewnianą rękę" do budowania postaci, interakcji między nimi, napięcia, magii obrazów, ale decydujący jest chyba fakt, że wszystko to mniej go obchodzi od założonego morału, że robi swoje filmy nie po to, żeby opowiedzieć historię o świecie i ludziach, tylko żeby pouczyć widzów. A że kaznodziejskim talentem też nie błyszczy, ustawia wszystko zbyt dobitnie, łopatologicznie, pod tezę, szafując, jak to jadowicie nazwał Melchior Wańkowicz, „smrodkiem dydaktycznym".

Jeśli „Obywatel", demonstracyjnie odwołujący do „Zezowatego szczęścia" Andrzeja Munka (co samo w sobie było przejawem pychy twórcy), miał wpłynąć na Polaków – a że miał, dowodem nie tylko deklaracje Stuhrów, lecz także książkowe wydanie scenariusza, uzupełnionego wywiadem Ewy Winnickiej z obydwoma Stuhrami, rzecz raczej niespotykana nawet w wypadku filmów, które odniosły sukces – to pod tym względem okazał się klapą jeszcze bardziej dobitną. Środowiska lewicowo liberalne pochwaliły oczywiście, znalazłszy w dziele, wszystkie standardowe elementy prowadzonej przez nie „pedagogiki wstydu": Polacy w PRL niby tu narzekają na Partię, ale dogadują się z nią na płaszczyźnie wspólnej nienawiści do Żydów, Solidarność jest ruchem bardziej antysemickim niż antysowieckim, represje w stanie wojennym to ustawka narcyzów, pajacujących przed kamerami zachodnich dziennikarzy po wymazaniu się farbą, imitującą ślady rzekomego pobicia etc. Ale brawka za odrobione wypracowanie były zdawkowe, a poza jednorazowymi recenzjami dzieło żadnego rozgłosu nie zyskało.

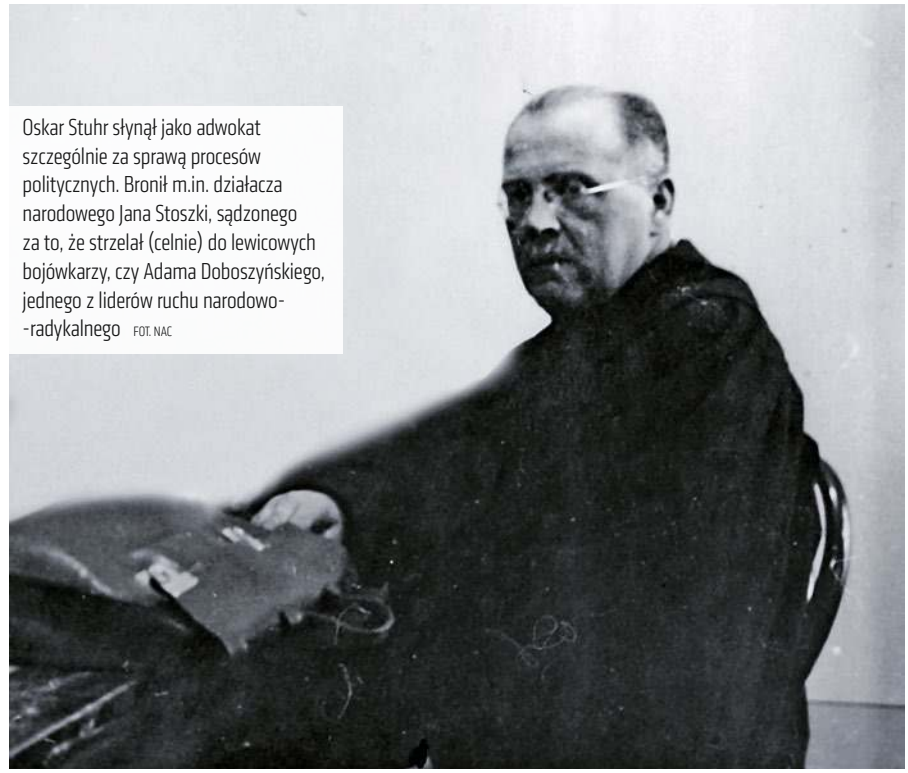

Oskar Stuhr słynął jako adwokat szczególnie za sprawą procesów politycznych. Bronił m.in. działacza narodowego Jana Stoszki, sądzonego za to, że strzelał (celnie) do lewicowych bojówkarzy, czy Adama Doboszyńskiego, jednego z liderów ruchu narodowo-radykalnego FOT. NAC

Wśród licznych przypadków popadnięcia w pułapkę „autorytetu moralnego" Jerzy Stuhr jest jednym z najbardziej wyrazistych

Podobnie było z efektem wypełniania „patriotycznego obowiązku" przez Stuhra juniora. „Pokłosie" okazało się filmem groteskowo przerysowanym; miało wedle zapowiedzi być inspirowane „prawdziwą historią" społecznika z Brańska, który upamiętniał zamordowanych w tej miejscowości Żydów – co zdemaskowało bezmiar nikczemnej głupoty całego przedsięwzięcia, bo realny pierwowzór za swą działalność doczekał się uznania lokalnej wspólnoty, był przez nią wielokrotnie wybierany do lokalnych władz i honorowany, natomiast w groteskowej rzeczywistości filmu, bardziej przypominającej chłopstwo szturmujące z widłami laboratorium szalonego naukowca w klasycznym „Frankensteinie" niż współczesną Polskę, grana przez Macieja Stuhra postać zostaje malowniczo ukrzyżowana na drzwiach stodoły.

Reżyser, wyraźnie świadom niedoskonałości swego dzieła i tego, jak jest ono w kraju odbierane, schował się na drugi plan, natomiast Stuhr junior odkrył w sobie podobną pasję co ojciec i rzucił się zamiast niego w wir wywiadów, w których usiłował przedstawić dzieło jako ważny głos w dyskusji i polskiej historii, poważne dzieło rozrachunkowe – w czym się zresztą zagubił, bo gdy wytykano mu scenariuszowe mielizny i nonsensy, na jednym oddechu bronił się argumentem, że to przecież film rozrywkowy, zgoła komiksowy, a więc uproszczenia są częścią konwencji. Na dodatek wygłupił się, używając jako przykładu polskich historycznych win rzekomego przywiązywania przez wojów Krzywoustego dzieci do machin oblężniczych pod Głogowem (wedle legendy uczynili tak, wiarołomnie używając polskich zakładników jako żywych tarcz, Niemcy), co internetowi szydercy wypominają mu do dziś.

Nawet w mdłym, laurkowym tekście o Stuhrach, którym próbowała ocieplić wizerunek po kompromitacji z prowadzeniem samochodu po alkoholu „Polityka", zauważono, że największe sukcesy aktorskie Jerzego Stuhra wiązały się z rolami „przeciętnego Polaka". Cwaniaczek Lutek Danielak z „Wodzireja", zbuntowany prosty pracownik „socjalistycznego kombinatu" Filip z „Amatora" czy sprytny, wesoły Maks z „Seksmisji", za którą to rolę pokochała go cała Polska – ten typ widzieli w nim i tak go obsadzali wybitni reżyserzy. Gdy

eprasa.pl 5fd6eaf378

Stuhr zaczął obsadzać się sam, grał już niemal wyłącznie inteligentów, wyniosłych przedstawicieli elit. Widać wyraźnie, że tym, co go w aktorstwie pociągało najbardziej, była pozycja człowieka na scenie, pozycja umożliwiająca wygłaszanie kazań, pouczanie i ferowanie moralnych wyroków z pozycji kapłana nie tylko sztuki, lecz także Najwyższych Wartości.

PRAWO DO POUCZANIA

Wśród licznych przypadków popadnięcia w pułapkę „autorytetu moralnego" Jerzy Stuhr jest jednym z najbardziej wyrazistych. Tak jak większość polskiej inteligencji – czy może raczej jej niedobitków, które przetrwały PRL – wychował się w kulcie romantycznych wieszczów, z obrazem artysty jako człowieka zaangażowanego, jako wojownika o polskość i wartości. Tylko że dawni wieszczowie, gdzieś do chyba ostatniego w ich szeregu Żeromskiego, mogli do woli wytykać Polakom „czerep rubaszny" i „szarpać narodowe rany, aby się nie zabliźniały błoną podłości", bo nie sposób było zakwestionować ich pozycji wewnątrz wspólnoty, której chcieli przewodzić. „Żyłem z wami, płakałem i cierpiałem z wami" – zaczynał sławny wiersz Słowacki; Mickiewicz potrafił podskakiwać samemu papieżowi i miał z tego powodu określone trudności; Żeromski, przewodnik duchowy inteligencji międzywojennej, zaszczytów zaznał dopiero u schyłku życia. Od takich facetów mógł naród znosić pouczanie, napominanie i sztorcowanie.

Ale intelektualiści III RP takich tytułów do przewodzenia narodowi już nie mieli, a mądrzyć się chcieli nie mniej, a nawet bardziej, w głębokim przekonaniu, że prawo do pouczania należy im się z racji pozycji społecznej, sławy i formalnych tytułów. I to jest właśnie przypadek Jerzego Stuhra. Jakby nie dość było klapy nakręconego z takim zadęciem „Obywatela", rok po jego premierze społeczeństwo totalnie zawiodło swe elity i wybrało do władzy PiS. Nie tylko Stuhr zareagował na to swego rodzaju amokiem. Ale Stuhr senior chyba ostatecznie uznał wtedy, że jego misją jest wychowywanie narodu nie poprzez sztukę, ale bezpośrednio, za pomocą połajanek w mediach.

O tym, że jego połajanki wyeksponowano w politycznej propagandzie liberalnej lewicy szczególnie, zadecydował przypadek: u schyłku lat 90. wciąż bardzo popularny aktor doznał zawału, a kilka lat potem zdiagnozowano u niego nowotwór. Walka z chorobą pomnożyła skupioną na nim uwagę: Stuhr wydał o niej książkę, rodzaj szpitalnego dziennika „Tak sobie myślę". Jakoś tak myślał w niej sobie nie tylko o sprawach ostatecznych i międzyludzkich, jak większość ludzi w takiej sytuacji, ale i o tym, co oglądał w szpitalnym telewizorze. I to akurat owocowało wpisami najbardziej emocjonalnymi, np. tyradami, jaki to cham z Kaczyńskiego, że idąc na mównicę sejmową, nie przerwał wcześniej rozmowy przez telefon komórkowy.

Internet pełen jest teraz podawanych z szyderstwem filmików, na których wyniszczony chorobą, stary aktor gromi demoralizację Polaków, oskarża, że przez PiS lekceważą prawo, upijają się, są dla siebie agresywni – szczególnie źle wygląda to, gdy wszystkie te uwagi wygłasza w programie potakującego mu Tomasza Lisa. Ale aktor sam w to chętnie wszedł, udzielając niezliczonej liczby takich wywiadów. Poparte oprócz popularności immunitetem choroby, przyjmowane były z nabożna czcią, a próby polemiki gaszone propagandową kanonadą „szydzenia z choroby". Kolejne zawały i udary pozwoliły mediom wylansować Stuhra na lewicowo-liberalny ersatz Hioba: gdy doznał ataku serca po ogłoszeniu wyniku wyborów i kolejnego zwycięstwa PiS w roku 2019, Manuela Gretkowska ogłosiła doprowadzenie Stuhra do tego stanu kolejną „zbrodnią PiS". Co szczególnie groteskowe, jej oskarżenie podchwycili z powagą ci sami, którzy po moich o kilka dni wcześniejszych słowach, że nie warto się za bardzo emocjonować polityką, bo może to zaszkodzić zdrowiu, jak w wypadku pewnego znanego aktora (nie wymieniłem Stuhra z nazwiska), zanosiły się jazgotem oburzenia, że „pisowski dziennikarz" szydził czy wręcz „rechotał" z ciężkiej choroby Jerzego Stuhra.

Problem w kreowaniu się na moralny autorytet jest jednak taki, że ludzie oczekują od takowego moralnej nieskazitelności. Samo porównywanie Kaczyńskiego z Hitlerem i cierpienie z powodu choroby nie wystarcza. Jerzy Stuhr nie za bardzo mógł się pochwalić niezłomnością w czasach PRL – robił karierę, z władzą nie zadzierał, złośliwie mawiano nawet w środowisku aktorskim, że w roli Danielaka wypadł tak przekonująco, bo nie musiał niczego grać. Pozycja na piedestale wymagała wsparcia medialnej klaki, ta zaś domagała się w zamian, żeby „dowalał" wrogom coraz mocniej, a i tak jeszcze jego słowa podkręcała, czyniąc zeń w końcu ikonę pogardy elit dla „zwykłych Polaków". Często i chętnie zatrudniano go w tej roli razem z synem, by uczynić moc autorytetów jeszcze silniejszą – tym chętniej, im częściej Maciej popisywał się kolejnymi wątpliwymi dowcipami, w rodzaju sławnego „państwo mają tu polew".

Trudno się dziwić, że kompromitacja, którą było spowodowanie przez Stuhra seniora po pijaku wypadku i próba ucieczki, podchwycone zostały z pasją i złośliwością przez wszystkich, nad których się wywyższał. Nie miało nawet znaczenia, że nie próbował się bronić ani usprawiedliwiać – do nasilenia emocji wystarczyło, że próbowali go bronić i usprawiedliwiać inni podobnie postrzegani celebryci.

DOBRY, LEPSZY STUHR

O ile jednak publiczna aktywność Stuhra seniora wydaje się po tym wypadku zakończona, o tyle jego syn chyba z roli „autorytetu moralnego" rezygnować nie zamierza. Chyba – bo niekiedy zdarza mu się w wywiadach dystansować od polityki, od bardziej „zaangażowanych" kolegów i koleżanek, podawać w wątpliwość sens ich kolejnych „akcji". Ale po takich deklaracjach Maciej Stuhr zwykle nie wytrzymuje długo i wraca do roli, którą przyjął po „Pokłosiu". Może i w kwestii działalności publicznej ma, podobnie jak w aktorstwie, problem z wyjściem z cienia ojca – a może dociera do niego, że kiedy nie „nadaje" na PiS i „polski ciemnogród", media tracą nim zainteresowanie. Pouczanie narodu z pozycji „autorytetu moralnego" to nie tylko „zuchwałe rzemiosło", bo takowym nie wybacza się żadnego błędu – to także bilet w jedną stronę, nie przewiduje innego zakończenia poza spektakularnym upadkiem.

Ostatnio Maciej Stuhr stał się twarzą kolejnej akcji, mającej promować „pomoc uchodźcom" – nie tym prawdziwym oczywiście, tylko tym cynicznie zwożonym na polską granicę przez Łukaszenkę i Putina. Mamy więc znowu to samo, tylko bardziej: walkę o „sprawę" postrzeganą przez Polaków raczej jako szubrawa i groźna, a w lewicowo-liberalnych elitach jako niezwykle szlachetna, co skazuje orędujących za nią na moralne wynoszenie się ponad społeczeństwo i nadymanie swą lepszością. Potem pozostanie już tylko raz się zapomnieć albo dać na czymś przyłapać…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

Marek Jurek

Eksplozja na Lubelszczyźnie nastąpiła w momencie, gdy do wojny zaczęliśmy się już przyzwyczajać. W dramatyczny sposób przypomniała, że cała tragedia ukraińskich żołnierzy umierających pośród jesiennych słot, tragedia ich żon i dzieci zamarzających w nieogrzewanych blokowiskach, toczy się w naszym bezpośrednim sąsiedztwie. I że żywioł trwającej od miesięcy wojny może nas uderzyć nawet wtedy, gdy nikt do tego świadomie nie będzie dążył

W Przewodowie zabłąkana rakieta zabiła dwóch mężczyzn FOT. WOJTEK RADWAŃSKI/AFP/EAST NEWS

Alarm w Przewodowie

Zaraz po wybuchu rakiety prezydent Biden nie tylko nie zadeklarował gotowości proporcjonalnej reakcji, lecz także już w punkcie wyjścia uznał, że „z punktu widzenia trajektorii jest mało prawdopodobne, że rakieta została wystrzelona z Rosji". Te balistyczne rozważania zaprezentował, gdy nie było jeszcze jasne, kto rakietę wystrzelił, choć było absolutnie pewne, że nie spadłaby nigdy po polskiej stronie granicy, gdyby nie najbardziej masowy atak rakietowy na Ukrainę od początku wojny na obiekty niemilitarne znajdujące się względnie blisko naszego terytorium, a daleko od linii frontu. Po wybuchu jednak taki ton oskarżeń natychmiast przygasł. Przywódcy Zachodu stanęli bowiem wobec ogłuszającego pytania: Co poczną z traktatowymi zobowiązaniami, jeśli – choćby przypadkowo – rosyjskie pociski spadną na państwo należące do NATO?

Prezydent USA wolał więc od razu publicznie zasugerować, że jest bardzo „prawdopodobne", że rakieta została wystrzelona przez Ukraińców, niż stworzyć choćby wrażenie, że Amerykanie przygotowują czy rozważają militarną odpowiedź. Krótko mówiąc, po wybuchu w Przewodowie pierwszym, niejako urzędowym, odruchem prezydenta USA była ostrożność. Naturalny skądinąd odruch przywódcy odpowiadającego za bezpieczeństwo narodowe i pokój globalny.

JUTRO JEST JUŻ JUTRO

Warto mieć świadomość tego, jak bardzo polskie podejście do wojny różni się od kluczowych państw przymierza atlantyckiego. Wojnę potraktowaliśmy nie jako problem wymagający przemyślanej odpowiedzi, ale jako konkurs o tytuł najbardziej zaangażowanego państwa Zachodu.

Widać to było nie tylko w planie militarnym. Prawie dwa tygodnie przed wybuchem działań wojennych, gdy Amerykanie, Francuzi, Niemcy dwoili się i troili, by do wojny nie doszło, i gdy Polska obejmowała przewodnictwo w Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (a minister Rau wybierał się z tego tytułu do Moskwy), nasze władze w kraju zapowiedziały, że przygotowujemy się na przyjęcie uchodźców wojennych, co w chwili wybuchu wojny jeszcze wzmocniono deklaracją, że jesteśmy do tego „w pełni przygotowani".

Władze nie mówiły o tym, że zrobimy wszystko, żeby pomóc, że podejmiemy to trudne zadanie, tak jak nie bilansowały potem publicznie jego kosztów. Od początku od problemów abstrahowały. Tymczasem problemy te szybko spadły na społeczeństwo, czym władza się już szczególnie

eprasa.pl 5fd6eaf378

nie martwiła. Owszem, wprowadzono ograniczone zasiłki dla rodzin pomagających uchodźcom, ale poza tym władze nie wykazały większego zainteresowania przejmowaniem pomocy od pomagających bezpośrednio. Warto to przypomnieć teraz, gdy Putin świadomie chce wypędzać Ukraińców z domów, biorąc Ukrainę chłodem. Być może w stronę Polski ruszy kolejna fala uciekinierów, co wymagać będzie nowego wysiłku. Właśnie ze względu na tę konieczność tak ważne było zachowanie „rezerwy humanitarnej", aby naszą polityką również w tym wymiarze kierowała determinacja, a nie egzaltacja.

GORĄCO NA ŁĄCZACH

Apele o to, by naszą politykę dostosować do poziomu zaangażowania innych państw, pozostały bez echa, mimo iż od początku było wiadomo, że dla obrony Ukrainy najważniejsze są solidarność i materialne zaangażowanie Zachodu, a nie radykalizm deklaracji poszczególnych rządów i polityków.

Prezydent Macron wprawdzie nie chwali się już swymi tyleż długimi, ile bezowocnymi rozmowami z Władimirem Putinem, ale niedawno pochwalił się nimi Olaf Scholz. Również Amerykanie utrzymują stały, „deeskalacyjny" kontakt z Moskwą. Jake Sullivan („Brzeziński Bidena") rozmawiał niedawno ze swoim rosyjskim odpowiednikiem, Nikołajem Patruszewem, reprezentantem zwolenników twardej rozprawy z Ukrainą. Cóż, rozmawiać trzeba nie tyle z tymi, którzy chcą przerwania ognia, ile z tymi, którzy mogą go efektywnie przerwać.

Gdyby Konfederacja, aspirująca do roli prawicowej opozycji, chciała w sprawie wojny zrobić coś pożytecznego, zamiast podburzającej kampanii „przeciw ukrainizacji Polski", zapytałaby władze, czy one również utrzymują nieformalne kontakty z Kremlem. Jestem przekonany, że odpowiedź byłaby jednoznaczna i szczera. Zresztą dał ją już pół roku temu premier Morawiecki, gdy zarzucał prezydentowi Francji, że w ogóle takie rozmowy prowadzi. I również w ostatnich dniach, wypraszając Rosję z narady Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w Łodzi. A jeśli to nie czas na prace OBWE (będącej rzeczywiście reliktem polityki „odprężenia" ze schyłkowego okresu zimnej wojny), to prościej byłoby po prostu odwołać konferencję. Znalezienie pretekstu nie jest wielką dyplomatyczną sztuką. Skutek byłby ten sam, bez mnożenia niepotrzebnych „efektów specjalnych". Bo chyba czcza demonstracja stanowiska, które i tak powszechnie jest znane, nie jest tu celem samym w sobie?

I tak znaleźliśmy się w sytuacji, gdy nad naszymi głowami toczą się rozmowy o naszym regionie, o naszym bezpieczeństwie, a my programowo nie chcemy mieć na nie żadnego wpływu

I tak znaleźliśmy się w sytuacji, gdy najdosłowniej nad naszymi głowami toczą się rozmowy o naszym regionie, o naszym bezpieczeństwie, o ładzie europejskim po wojnie, a my programowo nie chcemy mieć na nie żadnego wpływu. I cóż to ma wspólnego z urządzaniem Europy Środkowo-Wschodniej, co przecież szeroki narodowy consensus uznaje za geopolityczne powołanie Polski.

ŚWIAT POWOJENNY I POLSKA

Adolf Bocheński, jeden z największych orędowników ukraińskiej niepodległości w okresie dwudziestolecia międzywojennego, przestrzegał przed wizją „idyllicznych stosunków z Polską" przyszłej Ukrainy. Za najważniejsze uważał powstanie tego państwa, zmniejszające perspektywę zmiażdżenia naszej niepodległości przez porozumienie niemiecko-sowieckie. Zakładając, że antagonizm między Moskwą a Kijowem będzie trwał po uzyskaniu niepodległości przez Ukrainę, pisał, że „jest dla nas rzeczą obojętną, czy Polska będzie kiedyś w złych stosunkach z Ukrainą, a dobrych z Rosją czy też odwrotnie". Istotne dla niego było to, by spośród trzech państw – Niemiec, Ukrainy i Rosji – przynajmniej jedno traktowało Polskę jako egzystencjalnie ważnego sojusznika. I to nie w okresie walki o niepodległość, ale w warunkach przyszłej konkurencji mocarstw.

Dziś brak tej perspektywy, choć przekonaliśmy się, że Ukraina nie jest jedynie bezradną ofiarą potrzebującą głównie humanitarnej pomocy, ale silnym państwem, zdolnym do stawiania oporu agresji. A myliłby się ten, kto zakładałby, że Adolf Bocheński „Między Niemcami a Rosją" pisał w okolicznościach mniej dramatycznych niż dziś. Przeciwnie, pisał to w okresie ludobójstwa popełnianego przez Sowiety na ukraińskich chłopach, i pisał to, życząc Ukrainie z całego serca wolności. Nie przestawał jednak myśleć o Polsce.

Na planie psychologicznym założyć można, że im bardziej narzucamy się Ukrainie z „bezinteresowną" pomocą, tym bardziej po wojnie Ukraińcy będą przekonani, że działaliśmy wyłącznie w interesie własnego bezpieczeństwa. I odwrotnie, tym bardziej będą musieli polską pomoc pamiętać, im bardziej będzie uwarunkowana, choćby jasno deklarowanymi polskimi możliwościami i jasno wyrażanymi ukraińskimi oczekiwaniami. Najgorsze, co możemy robić, to pomniejszać i bagatelizować koszty naszego zaangażowania. Przeciwnie, należy o nich mówić i je uświadamiać. To obowiązek choćby wobec społeczeństwa, które wzięło na siebie ogromną część pomocy humanitarnej i wynikających z wojny ciężarów putinflacji.

JAKA UKRAINA?

Tymczasem tak problemy zakończenia wojny, jak powojennej roli Ukrainy zajmują w naszej polityce niewiele miejsca. Gdy Ukraina padła ofiarą nacisków Unii Europejskiej, domagającej się ratyfikacji genderowej konwencji stambulskiej, Polska zareagowała kompletną obojętnością. Prezydent Duda nie skorzystał z osobistych relacji z prezydentem Zełenskim, by zachęcić go do oporu i zapewnić, że Ukraina ma takie samo prawo nie przyjmować stambulskiej konwencji jak wiele pomagających jej państw środkowoeuropejskich. Nasze władze potraktowały sprawę jako nieważną, choć przeszłość dowiodła, że Ukraina może prowadzić politykę na takie naciski odporną. Prezydent Poroszenko stawiał na bliskie stosunki z Niemcami, od Polski pomoc „brał, nie kwitował", jednak na planie moralno-ustrojowym słuchał apeli metropolitów Epifaniusza i Szewczuka o nieratyfikowanie genderowego układu, a zasadniczym (i skutecznie zrealizowanym) celem swej polityki uczynił uzyskanie autokefalii kościelnej od Konstantynopola.

Dziś Ołeksij Arestowycz, doradca prezydenta Ukrainy, mówi o aspiracjach Kijowa do pokierowania w przyszłości sprawami Europy Środkowo-Wschodniej. W wypadku państwa o tych rozmiarach i zdolnościach militarnych to pragnienie jest zrozumiałe. Ukraina będzie współkształtować nasz region i Europę w ogóle. W jakim duchu i z kim? Polska powinna interesować się tą kwestią, bo w relacjach z Ukrainą nie powinna nas zajmować jedynie Rosja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

Polityka dla dorosłych

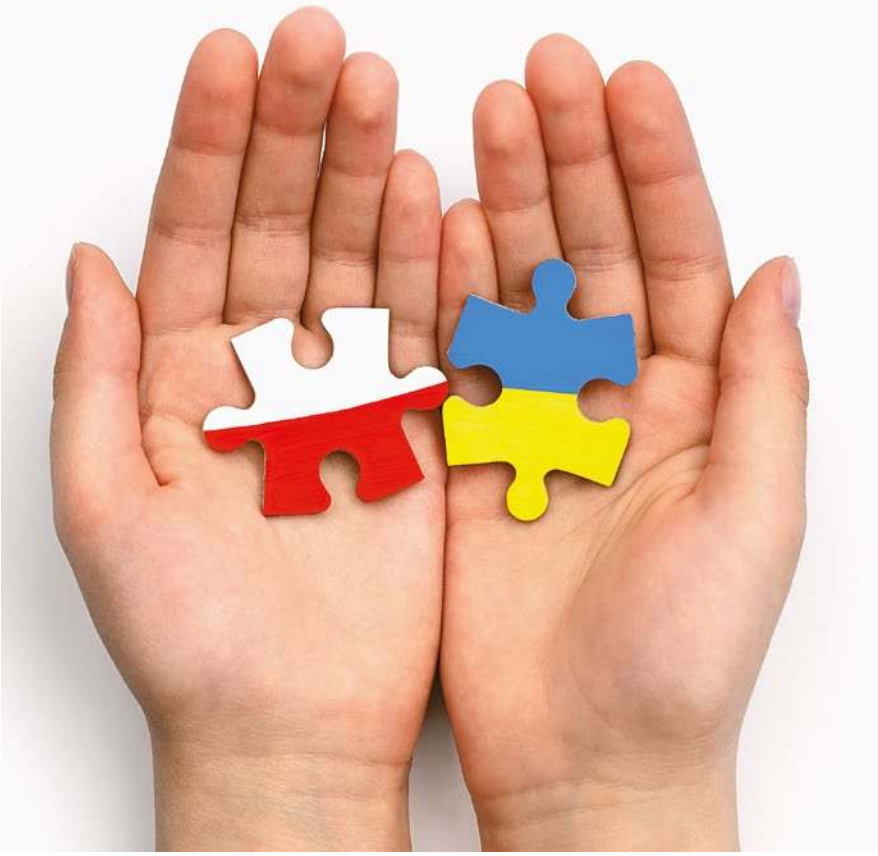

FOT. ADOBE STOCK

Piotr Semka

Powraca teza, że im dłużej ten konflikt będzie trwać, tym większe staje się prawdopodobieństwo niekontrolowanej eskalacji. Literalne stosowanie tej zasady to wspaniały prezent dla wszelkiej maści agresorów. Nie dziwię się, że jacyś dyplomaci rosyjscy w kuluarach międzynarodowych gremiów mogą snuć narrację: „Skończmy tę wojnę, bo stracimy nad nią kontrolę". Takie rozwiązanie premiuje kogoś, kto najpierw zabiera cudze ziemie, a potem chce się targować

Kiedyś zdarzyło mi się wertować tom dokumentów dotyczących recepcji wielkiego głodu na Ukrainie z lat 30. w Polsce. Moją uwagę zwrócił raport policji z jednej z kresowych miejscowości przy granicy RP ze Związkiem Sowieckim, w której działała ukraińska szkoła. Jak raportował miejscowy szef posterunku policji, nauczycielka szkoły poprosiła dzieci, aby przez 24 godziny nic nie jadły i pomyślały o tym, co czuć muszą dzieci po drugiej stronie sowieckiej granicy, gdzie głód zbierał żniwo od wielu miesięcy.

Wiem, że ściągnę na siebie zarzut wprowadzenia do analizy politycznej elementów emocjonalnych, ale zastanawiam się, jak zmieniłoby dyskusję o polityce wobec Ukrainy doświadczenie wielu Polaków, którzy przypomnieliby sobie lata 80., kiedy zdarzały się wyłączenia prądu, kiedy trzeba było rozstawać się z najbliższymi, którzy udawali się na emigrację. Ale nawet i to doświadczenie, które jest udziałem pokolenia 50+, nie daje wiedzy o tym, jak to jest żyć w społeczeństwie, w którym dosłownie codziennie do setek rodzin przychodzą informacje, że ich najbliżsi polegli w czasie walk. A teraz dodatkowo pomnożyć to przez ostatnie osiem lat. Z poprawką, że ostatni okres ostatnich dziewięciu miesięcy to skokowy wzrost ofiar wśród najbliższych.

NATURALNE KONSEKWENCJE

Ten wstęp moim zdaniem jest niezbędny, aby spróbować podsumować dyskusję, którą wywołał incydent z ukraińską – jak wszystko wskazuje – rakietą, która spowodowała śmierć dwóch Polaków pod wschodnią granicą naszego kraju. Zgadzam się z opinią, że do takiego incydentu prędzej czy później musiało dojść, że zwykły arytmetyczny przypadek musiał doprowadzić do tego, że któraś z rakiet czy to rosyjskich, czy to antyrakiet ukraińskich musiała spaść na nasze terytorium. Takie są konsekwencje bycia krajem, który przylega do pola walki, a w aktualnej taktyce Kremla w równym stopniu na śmierć od rakiety narażeni są zarówno żołnierze na froncie pod Chersoniem, jak i ludzie żyjący niedaleko sieci przesyłowych w Drohobyczu, Rawie Ruskiej czy tuż przy polskiej granicy w Medyce. A wraz z nimi mieszkańcy terenów polskich przylegających do granicy z Ukrainą.

Usłyszeliśmy znowu o rzekomym wyścigu między władzą i opozycją na

eprasa.pl 5fd6eaf378

zaklęcia, pohukiwania i gesty oburzenia na Rosjan. Po co używać tego sugerującego jakąś tromtadrację języka? Proces myślowy pokazujący, że to agresja wywołana przez Rosję doprowadziła do tego, że Ukraina broni się przed atakami z powietrza i taka obrona może wywołać efekt rykoszetu, nie jest żadnym antyrosyjskim rauszem, tylko stwierdzeniem prostego faktu. Czytam u moich kolegów po piórze, że jacyś publicyści mieli namawiać do odpalenia rakiet na Rosję, a kolejni rzekomo się zaklinali, że teza o innym wyjaśnieniu incydentu niż atak rosyjską rakietą to zdrada.

Z dziesiątek opinii, szczególnie tuż po tak bulwersującym wydarzeniu jak śmierć dwóch Polaków, można jak z bufetu wybierać sobie dowolne dania. Ja usłyszałem po tragedii w Przewodowie spokojne deklaracje prezydenta. Czy pojawiły się one zbyt późno? Aby to ocenić, musimy się zastanowić, czy lepsze jest szybsze deklarowanie, co się stało, co w razie jakiegoś kiksu może wywołać potem ogromne zamieszanie, czy też lepsza jest pewna powściągliwość i staranie się najpierw o ustalenie faktów. Czy rząd zwlekał, bo bał się ogłosić, że był to ukraiński pocisk? Nie; myślę, że po prostu sam chciał najpierw jednoznacznie ustalić, co się stało. Myślę, że najpierw chciano skontaktować się z USA i to nie dlatego, że jest to jakiś rytuał podległości wobec nowego wielkiego brata, po prostu to Ameryka ma dziś dostatecznie zaawansowany system obserwacji satelitarnej i programy śledzenia ruchów rakiet, aby takie rzeczy móc zbadać w możliwie najdoskonalszy sposób.

Po drugie, naturalna była chęć zapoznania się, co o incydencie ma do powiedzenia strona ukraińska. Po trzecie wreszcie, czekano na wyniki oględzin specjalnych ekip polskich, które badały miejsce tragedii pod Hrubieszowem. Ci sami publicyści, którzy dziś się obruszają, że prezydent i premier Morawiecki zwlekali z jasnym komunikatem, surowo osądzaliby przywódców państwa, gdyby ci ogłosili jakiś pochopny sąd, a potem rakiem wycofywaliby się z wcześniejszych twierdzeń.

Całą sprawę bada teraz komisja, w której biorą udział przedstawiciele Ukrainy. Czy wyjdą w toku jej prac jakieś kontrowersje na linii Warszawa – Kijów? Nie wiem. Wiem, że polski rząd ma prawo prowadzić w tej dziedzinie swoją politykę, a ja jako dziennikarz mam prawo rozliczać organa MON z tego, jak zostanie wykonana ta praca. Ale nie ma sensu już teraz sypać podejrzeniami i wskakiwać na ulubionego konika ukrainosceptyków. Czyli tezy, że obecna ekipa w o wiele większym stopniu kieruje się obsesją na punkcie Rosji, niż chce dbać o polski interes. Jeśli bowiem stawia się tezę, że prezydent i premier to dogmatycy sparaliżowani zasadą, iż interes Ukrainy trzeba stawiać wyżej niż Polski, to akurat zachowanie naszych przywódców przy okazji ostatniego kryzysu pokazuje coś zupełnie innego. Prezydent Duda informował w bardzo spokojny sposób, że była to rakieta ukraińska, mimo że prezydent Zełenski bardzo wyraźnie mówił coś innego.

W SOJUSZU, ALE NIE Z ZAMKNIĘTYMI OCZYMA

Przy okazji tragedii w Przewodowie usłyszeliśmy, że incydent stanowi gorzkie odarcie ze złudzeń, że interesy polsko-ukraińskie są identyczne. Szczerze mówiąc, irytuje mnie maniera publicystyczna, w której na zasadzie

REKLAMA

Natychmiastowa ulga dla cierpiących na stawy i opuchnięcia rewelacyjny balsam z USA

Tajemnicza mikstura lecznicza, prawdziwy skarb Indian Pueblo teraz pomaga tysiącom Polaków

Moja walka o zdrowe stawy Dzięki skuteczności kowbojskiego balsamu mogę znowu swobodnie wstać z fotela

Jestem emerytowanym nauczycielem. Mam już 78 lat, więc jestem niemłody. Dużą część mojej emerytury wydaję na ratowanie zdrowia. Reszta idzie na rachunki i bieżące wydatki. Nie jest mi lekko szczególnie teraz gdy inflacja jest dwucyfrowa. Kilka tygodni temu wyczytałem w mojej ulubionej gazecie o amerykańskim balsamie na chore stawy. Ponieważ potrzebowałem czegoś naprawdę dobrego na moje schorowane i powykręcane, bolące stawy, zdecydowałem się zakupić ten amerykański balsam. Już po 14 dniach smarowania moich zbolałych kolan, bioder, łokci i nadgarstków poczułem się lepiej. Poskutkowało! **Mogłem znowu wyprostować ręce i wstać z fotela.** Bardzo mnie to ucieszyło i podniosło na duchu! Żona zauważyła nawet, że częściej się śmieję i raźniej chodzę po domu. Dla mnie każda poprawa zdrowia stawów jest jak rewolucja w moim życiu. A teraz dzięki temu balsamowi kowbojów lepiej się czuję i w końcu mnie nie boli! **– Krzysztof Dąbrowski, Wrocław**

Kowboje z Dzikiego Zachodu poszukując złota znaleźli bezcenny indiański skarb ratujący zdrowie stawów

Z balsamem kowbojskim zetknęłam się niedawno. Choć jak czytałam ma on kilkusetletnią tradycję. W moim przypadku najgorsze są stawy w palcach u rąk i nadgarstki. Zazdroszczę ludziom, którzy mają zdrowe ręce. Mnie jest trudno nawet pisać. Robię to wolno i co najgorsze u Nas ta choroba jest dziedziczna. Wieczorem dosłownie wykręca mi palce, a w szczególności gdy są zmiany pogody. Kupiłam balsam kowbojski przez telefon i stosuję już miesiąc. Wcześniej stosowałam już wiele preparatów, więc nie miałam wielkich nadziei na poprawę, jednak po regularnym smarowaniu rąk jest mi lepiej. **Poznaję to łatwo, gdyż sprawniej piszę zarówno piórem, jak i na klawiaturze komputera.** Dzielę się tą dobrą wiadomością. **– Anna Chmielewicz, Kraków**

Rewelacyjny balsam z USA na Twoje stawy

Kowbojski balsam z USA na stawy to **WIELKA NADZIEJA** dla cierpiących. Wszyscy znamy książkę Karola Maya „Skarb w srebrnym jeziorze", a większość dziewcząt kochało się „na zabój" w dzielnym i zjawiskowo pięknym Winnetou-Wodzu Apaczów. Mało kto jednak wie, że prawdziwym skarbem Indian Pueblo były ich tajemnicze mikstury lecznicze. **Dzięki nim nawet starcy byli niezwykle sprawni i potrafili tańczyć przez wiele godzin przy ogniach ofiarnych.** Z biegiem czasu w posiadanie tajemnicy weszli kowboje amerykańscy. Dzięki działającemu cuda balsamowi mogli oni do starości brać udział i nawet wygrywać w turniejach rodeo! Kilka lat temu grupa lekarzy z Arizony wyprodukowała na bazie kowbojskich przepisów balsam na stawy. Okazało się, że dosłownie **stawia on na nogi nawet przewlekle chorych.**

Poznaj opinie internautów:

★ Warto spróbować, w końcu właściwości kremu były cenione już dawno temu. Kupiłam sobie i rodzicom ponieważ poleciła mi ten krem jedna kobieta, która twierdziła że pomogło jej na silne bóle kręgosłupa (przez przesuwające się chyba dyski), przy których codziennie musiała brać mocniejsze leki przeciwbólowe, a po kilku dniach smarowania je odstawiła. - *Magdalena*

★ Produkt najwyższej jakości. Bardzo mi pomógł po trzech miesiącach stosowania. Po prostu zapomniałem co to ból stawów. Polecam z czystym sumieniem. - *Grzegorz*

★ Balsam to produkt wspaniały, choruję na RZS i bardzo dobrze wspomaga leczenie, jestem bardzo zadowolona, polecam warto. - *Danuta*

eprasa.pl 5fd6eaf378

umowności stawia się tezę, że jakieś nadzieje (koniecznie z przymiotnikiem naiwne) są żywione, by potem z triumfującą miną demaskatora ogłaszać, że jakieś iluzje prysły. Oto właśnie Polska odróżniła poparcie dla Ukrainy w tej wojnie od przekonania, że solidarność z Kijowem nakazuje firmować wszystko, cokolwiek przywódcy tego państwa powiedzą.

W kontekście dyskusji o incydencie we wsi koło Hrubieszowa wspomniano kontrowersje w sprawie migów sprzed paru miesięcy – jako dowód, że wówczas po raz pierwszy interes ukraiński zagroził interesom Polski. Istotnie, pewna kontrowersja wówczas była. Kijów potrzebował polskich myśliwców na gwałt, a my nie chcieliśmy zostać sprowadzeni do roli jedynego państwa NATO, które dostarcza stosunkowo zaawansowany rodzaj broni Ukraińcom w konflikcie z Rosją. Wówczas nie daliśmy się podpuścić Amerykanom i spokojnie zaznaczyliśmy, że jeżeli chcą wspomóc migami Ukrainę, to niech nasi piloci polecą z nimi najpierw do bazy w Ramstein, a stamtąd już będzie można je przekazać ukraińskim lotnikom. Publicyści, którzy zazwyczaj w swoich polemikach z polityką polskiego rządu wobec Ukrainy zalecają zimną krew i brak emocji, sami zdają się żądać, aby o wszystkich niuansach relacji Warszawa – Kijów opowiadać publicznie i wszystkie nasze postulaty egzekwować z głośną ostentacją. A przecież na tym polega dyplomacja, aby zauważać rozmaite niuanse, pewne rzeczy mówić partnerom w cztery oczy i pewne cele osiągać wskutek cierpliwej perswazji.

I jeszcze jedna nuta z dyskusji, która pojawiła się w wypadku przy granicy polsko-ukraińskiej. Powraca teza, że im dłużej ten konflikt będzie trwać, tym większe staje się prawdopodobieństwo niekontrolowanej eskalacji. Literalne stosowanie tej zasady to wspaniały prezent dla wszelkiej maści agresorów. Wystarczy za pomocą zbrojnej agresji zabrać komuś kawał terytorium, potem próbować ten kraj podbić, a gdy ten się broni i wojna zamienia się w przewlekły konflikt, skorzystać z argumentu o groźbie eskalacji i trwania konfliktu dla wszystkich państw Europy.

Nie dziwię się, że jacyś dyplomaci rosyjscy w kuluarach międzynarodowych gremiów mogą snuć narrację: „Skończmy tę wojnę, bo stracimy nad nią kontrolę". To naturalna taktyka dla agresora, który nie tylko nie wygrał, lecz także ma kłopot z zakończeniem tej wojny. Ale takie rozwiązanie premiuje kogoś, kto najpierw zabiera cudze ziemie, a potem chce się targować, czy zachowa 100 proc., 50 proc. czy może 30 proc. zrabowanego łupu.

Europa ma ten przywilej, że front trzymają ukraińscy żołnierze i nie muszą tego robić wojskowi z Francji, RFN czy Wielkiej Brytanii. Ale oznacza to konieczność elastycznego dozowania dostaw broni dla Ukrainy

Czy mamy interes w tym, żeby zachęcać Ukrainę do spisania na straty Krymu? Myślę, że nie. Zasada podmiotowości państw środkowej Europy i szacunku dla całości terytoriów państw europejskich winna trzymać nas jak najdalej od tego typu perswazji wobec Kijowa. Być może tendencja do naciskania na Ukrainę w sprawie gorzkiego pokoju i potrzeby wyzbycia się Krymu z czasem zwycięży. Ale my w tym sporze powinniśmy trzymać się raczej doktryny szanowania zasad prawa międzynarodowego. W przeciwnym wypadku w naszym regionie, gdzie groźba rosyjskiego imperializmu jest wciąż silna, sami staniemy się daniem dla któregoś z rosyjskich szowinistów u władzy.

Relacje z Ukrainą będą przechodzić jeszcze wiele rozmaitych testów. To nie musi być łatwy partner. Wojna zamroziła wiele bardzo niedobrych cech, które występowały w państwie ukraińskim. Specjalnej pozycji, korupcji oligarchów, którą przysłoniła obecna mobilizacja obronna czy kształtujący się dopiero system partii politycznych. Być może unikalna sytuacja skupienia całych wysiłków obronnych Ukraińców wokół jednej postaci prezydenta Zełenskiego doprowadzi z czasem do monopolu władzy obozu prezydenckiego kosztem partii politycznej i parlamentu. Ukrainie może też grozić coś w rodzaju syndromu izraelskiego. Sytuacja, w której państwo, które musi przez wiele lat walczyć o byt, nabiera pewnej arogancji i nawyku stawiania swoich interesów jako ultima ratio.

NIE BĄDŹMY NAIWNI

Tyle że my musimy na wszystkie te ewentualne zagrożenia wypracowywać rozwiązania, które powinny skłaniać Ukrainę do bycia państwem lepszym niż gorszym. Musimy spokojnie tłumaczyć Ukraińcom, dlaczego nasze wątpliwości budzi np. nominacja Andrija Melnyka na szefa ukraińskiego MSZ.

Niezwykle ciężko budować koordynację polityki między krajem, który toczy walkę na śmierć i życie, z krajem, który chce pomagać, ale nie może w imię tej idei uświęcać każdego życzenia swego partnera. A jednak tę trudną sztukę ćwiczą od lutego zarówno nasi dyplomaci z MSZ, jak i urzędnicy z Kancelarii Prezydenta Andrzeja Dudy. Ja życzę im dobrze i dlatego nie będę wyłapywał każdego rozczarowującego głosu zza naszej wschodniej granicy jako dowodu, że ten wysiłek nie ma sensu. I nie będę mieszał publicznych wypowiedzi ukraińskich polityków z opiniami rozmaitych ukraińskich portali, nawet jeśli te mają stosunkowo dużo followersów.

Bądźmy w stanie prowadzić jakąś politykę konsekwentnie. Starajmy się zrozumieć, że pewne cele trzeba realizować wiele lat z udziałem najrozmaitszych środków. Starajmy się zrozumieć, że program uzbrojenia Polski wymaga cięć na innych polach. Teza, że z chwilą jakiegoś brudnego pokoju, między Rosją a Polską nagle wszystko zmieni się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na lepsze, jest naiwna. Prowadźmy politykę dla dorosłych, a nie dla dzieci, które marzą, by wszelkie zagrożenia zniknęły tylko dlatego, że chcielibyśmy powrotu do dawnego ustabilizowanego świata lat 1990–2014.

Europa ma ten przywilej, że front trzymają ukraińscy żołnierze i nie muszą tego robić wojskowi z Francji, RFN czy Wielkiej Brytanii. Ale oznacza to konieczność elastycznego dozowania dostaw broni dla Ukrainy. Jeśli rosyjskie rakiety sparaliżują trwale system energetyki Ukrainy, to dotknięta zimnem i ciemnością nowa fala ukraińskich uchodźców ruszy nie tylko na Polskę, lecz także na Niemcy, Francję czy kraje Beneluxu.

Być może dlatego minister Mariusz Błaszczak zaproponował, by Niemcy objęły ochroną swoich rakiet Patriot niebo nad frontem ukraińsko-rosyjskim, a nie granicę polsko-ukraińską. Linią frontu dla Europy winny być wschodnia linia walk Ukrainy z Rosją. I w tej rozgrywce potrzeba wytrwałości, a nie szukania pierwszej okazji, by dać Putinowi odetchnąć i usankcjonować zabór choć części cudzej ziemi. Bo wtedy za parę miesięcy czy lat czeka nas powtórka z wielkorosyjskiej agresji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

Z Robertem Winnickim, posłem Konfederacji, prezesem Ruchu Narodowego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Smutna historia

RYSZARD GROMADZKI: Jaki obraz państwa polskiego wyłania się po wydarzeniach w Przewodowie?

ROBERT WINNICKI: Jest to państwo słabe, w którym PR ma prymat przed polityką. W Przewodowie doszło do tragedii, w której zginęło dwóch polskich obywateli. Z drugiej strony, jak zresztą rząd później komunikował, liczono się z możliwością takiej sytuacji. Przecież Rosjanie regularnie ostrzeliwują cele blisko naszej granicy, a Ukraińcy strzelają w obronie, więc taki incydent mógł się wydarzyć. To, co jest niepokojące, to ukrywanie przez rząd informacji o tym, co naprawdę się stało w Przewodowie.

Właściwie pełną informację o tragedii poznaliśmy 24 godziny po fakcie. Wcześniej informowały Biały Dom, amerykański wywiad, agencja AP i inne światowe media. Swoje oświadczenie wydała Moskwa, własną wersję zdążył też przedstawić prezydent Zełenski. A polski rząd kisił prawdę o tym, co się stało w Przewodowie przez 24 godziny, chociaż wiedzę na ten temat miał już ok. godz. 19, a jej źródłem były dane z amerykańskich samolotów wywiadowczych, które latają nad Polską. Wskazywały one niezbicie, że na terytorium Polski spadła ukraińska rakieta wystrzelona w kierunku rosyjskiego pocisku. Wystarczyło tego wieczora wyjść i powiedzieć ludziom prawdę o wypadku, który miał miejsce w Przewodowie, i wyrazić oczekiwanie, by Ukraina przeprosiła i zadośćuczyniła rodzinom ofiar. Oczywiście rozumiejąc, że Ukraińcy mają prawo się bronić przeciw rosyjskiej agresji. Trzeba było stanąć w prawdzie i zachować się godnie. Zamiast tego było kręcenie i wmawianie, że rakieta była sowieckiej czy rosyjskiej produkcji. Przecież powszechnie wiadomo, że Ukraińcy wykorzystują rakiety wyprodukowane jeszcze w ZSRS. Przyjęcie narracji Kijowa w pierwszych godzinach po tragedii ośmieszyło państwo polskie. Nie rozumiem, dlaczego nie można było po prostu wyjść i powiedzieć, jak jest. Dopiero Waszyngton musiał korygować przekaz rządu nad Wisłą.

Jak to możliwe, że po tragedii w Przewodowie rosyjski haker, podający się za prezydenta Francji, bez przeszkód rozmawiał z prezydentem Dudą?

Nie rozumiem, dlaczego drugi raz dochodzi do takiej sytuacji. Oczywiście jest gorąca linia, jest jakiś trick hakerski, który zresztą powinien zostać udaremniony przez służby. Na litość boską, jeśli nawet w Kancelarii Prezydenta wyświetla się połączenie jako telefon z Pałacu Elizejskiego, to powinny być jakieś mechanizmy zabezpieczające połączenia między pałacami prezydenckimi, weryfikujące, czy to na pewno jest ten telefon. Będąc laikiem w zakresie zabezpieczenia rozmów prowadzonych z Kancelarii Prezydenta czy premiera, wiem jedno, że na pewno są mechanizmy pozwalające zweryfikować autentyczność połączenia z Pałacu Elizejskiego. Takiej staranności nie dochowano. To kompromitujące. Moim zdaniem po tym wydarzeniu powinny polecieć głowy przede wszystkim ministra ds. służb specjalnych, bo to on ostatecznie odpowiada za bezpieczeństwo głowy państwa, a po drugie szefa Kancelarii Prezydenta, bo takie rzeczy nie mają prawa się zdarzać. Tym bardziej że to się powtórzyło.

Powiedział pan, że po tragicznym wypadku w Przewodowie Polska powinna wyrazić wobec władz w Kijowie oczekiwanie przeprosin i zadośćuczynienia. Takiego gestu ze strony Ukrainy nie

REKLAMA

WYTNIJ I POKAŻ W APTECE

BALSAM KOWBOJSKI
na Twoje stawy prosto z USA

Polecany nawet przy największym dyskomforcie

ASEPTA
Zasilamy naturą od 1998
Tylko najlepsze produkty

Dla szybkiej realizacji podaj w aptece: KOD BLOZ 7089175

Arthemisan J11
Joint relieve balm
INNOVATIVE FORMULA

Dosłownie stawia na nogi

Nie czekaj na cud! Tylko pierwsze 100 osób, które zadzwonią do 28.12.22 otrzymają specjalną zniżkę! Liczba produktów na promocji jest limitowana.

Zamów: 33 476 26 64 • dostępny w APTEKACH u farmaceuty (dostępny w hurtowniach farmaceutycznych), oraz sklepach zielarskich • sklep internetowy www.asepta.pro

WYTNIJ I POKAŻ W APTECE

eprasa.pl 5fd6eaf378

było, lecz pomimo to sondaże, które zostały ogłoszone po incydencie w Przewodowie, wskazują, że pozytywne nastawienie Polaków do Ukrainy w zasadzie nie uległo zmianie.

Nie dziwi mnie to dlatego, że polskim interesem narodowym jest, aby Ukraina się obroniła, a Rosjanie ponieśli klęskę. Stacjonowanie rosyjskiej armii nie tylko wzdłuż naszej granicy północnej czy przy granicy z Białorusią, lecz także na naszej granicy południowo-wschodniej, jest wbrew polskim interesom. Z tych względów nie dziwi mnie, że Polacy wspierają Ukrainę w tej wojnie. Pojawia się jednak rysa pewnej nieszczerości i braku partnerstwa w relacji pomiędzy Polską a Ukrainą, to znaczy my robimy dla Ukrainy wszystko, a Ukraina nawet w tak wyjątkowym momencie nie okazuje nam szczerości. To nie zmienia obrazu wojny i priorytetów polskiego interesu narodowego w tej wojnie, niemniej świadczy o tym, że Polska powinna wobec Ukrainy zachowywać się bardziej asertywnie. To, co rząd robił przez kilkanaście godzin po tragedii w Przewodowie, nie miało nic wspólnego z asertywnością. Zresztą kilka dni później Ukraińcy zachowali się wobec Polski w sposób ostentacyjnie nieprzyjazny, mianując na wiceszefa MSZ Andrija Melnyka, byłego ambasadora Ukrainy w Berlinie. Melnyka, którego można śmiało nazwać negacjonistą wołyńskim. To nie jest gest przyjazny wobec Polski. Jak widać, strona ukraińska pozwala sobie na bardzo wiele w sytuacji, w której jest dla wszystkich jasne, że Ukraina już dawno by tę wojnę przegrała, gdyby nie postawa Polski.

Skoro już mówimy o wymowie politycznych gestów... Czy to nie paradoks, że nieba nad wschodnią Polską będą broniły niemieckie baterie rakiet Patriot?

Jesteśmy w jednym sojuszu północnoatlantyckim, więc nie jest to bardzo dziwne. Martwi mnie co innego. Zapowiedzi składane od wielu lat przez kolejne rządy o tym, jak to polskie niebo będzie świetnie bronione, realizują się w bardzo niewielkim stopniu. Była o tym dyskusja także przy okazji incydentu w Przewodowie. Usłyszeliśmy wtedy ze strony rządu, że nie możemy nic na to poradzić, iż przy granicy spadają rakiety, że przecież nie damy rady obronić całości polskiego nieba, bo żadne państwo nie jest w stanie obronić całości swojego terytorium powietrznego. Zgoda, całego nie, ale wojna szczęśliwie toczy się nie u wszystkich granic, tylko przy jednej z granic. Z tego powodu nasycenie sprzętem i techniką wojskową granicy polsko-ukraińskiej powinno mieć absolutny priorytet. Jestem głęboko rozczarowany tym, jak to wygląda. A na dokładkę dostaliśmy jeszcze oświadczenie ministra Błaszczaka, że rząd chce jednak te niemieckie baterie przekazać na Ukrainę. Ja rozumiem, że jest wojna, ale minister powinien jednak w pierwszym rzędzie dbać o polskie bezpieczeństwo.

Czy wojna na Ukrainie będzie determinowała wynik przyszłorocznych wyborów parlamentarnych w Polsce?

Myślę, że do pewnego stopnia wojna na Ukrainie będzie determinować przyszłoroczne wybory. Ta oś podziału jest w naszym społeczeństwie coraz bardziej widoczna. W moim przekonaniu oddziela ona Konfederację od całej reszty sceny politycznej. Konfederacja jako jedyna partia mówi o tym, że w polskim interesie jest, żeby Rosja tę wojnę przegrała, ale równocześnie podkreślamy, że racją stanu jest, by Polska nie została do tej wojny wciągnięta. Nie dać się wciągnąć do wojny – dziś mówi o tym mocno tylko Konfederacja. Według mnie będzie to jeden z czynników polaryzujących scenę polityczną. Reszta sceny politycznej deklaruje przecież wprost: „Tak, to jest nasza wojna". My mówimy: „Nie. To jest wojna, która nie jest obojętna dla Polski, ale którą toczy Ukraina, i należy zrobić wszystko, żeby Polska nie brała bezpośredniego udziału w tym konflikcie".

Stanowisko Konfederacji wobec wojny na Ukrainie można by przyrównać do polityki premiera Węgier, Viktora Orbána. Taka polityka zagwarantowała Orbánowi kolejne spektakularne zwycięstwo wyborcze. Poparcie dla Konfederacji oscyluje wokół

eprasa.pl 5fd6eaf378

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

10 proc. głosów. Skąd tak różny odbiór polityki wobec Ukrainy w Polsce i na Węgrzech?

Viktor Orbán jest politykiem, który całkowicie zdominował węgierską centroprawicę. W Polsce to miejsce na scenie politycznej jeszcze zajmuje PiS. Jeszcze, bo ta przewaga się kruszy i będzie się kruszyć ze względu na nieudolność ich rządów. To podstawowa różnica. Oczywiście między Polską a Węgrami istnieją zasadnicze różnice, wynikające z położenia geopolitycznego. Lubię powtarzać, że Karpaty robią różnicę. Polskie doświadczenie historyczne mimo wspólnych epizodów jest inne niż węgierskie. Pamiętajmy też o tym, że Viktor Orbán zdefiniował już w 2018 r. swoją politykę jako opierającą się na aksjomacie, że Węgry leżą między Niemcami, Rosją i Turcją – i tu umieścił jej zasadnicze wektory. Bardzo konsekwentnie tę politykę realizuje. Mało się o tym mówi, bo nikomu nie jest to do końca w smak w Unii Europejskiej czy nawet w Polsce, ale Orbán – widać to wyraźnie po wybuchu wojny na Ukrainie – prowadzi bardzo zorkiestrowaną grę z Berlinem. To, czego Niemcom nie wypada mówić głośno, mówi premier Węgier. W zamian dostaje ciche, ale jednoznaczne poparcie z Berlina dla swoich kolejnych kroków. Musimy pamiętać, że polityka międzynarodowa, polityka interesu narodowego jest dużo bardzie złożona, niż się niektórym wydaje.

I niż widzimy to w telewizyjnych przekazach...

Tak. W przekazie telewizyjnym, w poklepywaniu się po ramionach lub groźnych minach, które robią politycy w przestrzeni międzynarodowej. Orbán bardzo czytelnie zdefiniował oś geopolityczną, na której mu zależy, i jest w tym bardzo konsekwentny. Polska leży gdzie indziej, więc i nastawienie Polaków jest inne. Jeśli chodzi o kwestię niewciągania Polski do wojny toczonej za naszą wschodnią granicą i poparcia dla Konfederacji, to kluczowy jest tu fakt, że w ciągu ostatniej półtorej dekady Jarosław Kaczyński i Donald Tusk bardzo skutecznie zagospodarowali emocje Polaków. W tym schemacie Kaczyński stroi się w szaty tradycji i patriotyzmu, a Tusk w szatę zwolennika nowoczesności, tak jakby były to wartości przeciwstawne. Konfederacja zdecydowanie odrzuca tę dychotomię. My mówimy, że trzeba budować nowoczesne państwo narodów zakorzenione w tradycji i tożsamości. Tak jak narody Azji Południowo-Wschodniej, które zyskują, łącząc tradycję z nowoczesnością, bo te dwie sfery tak naprawdę doskonale się uzupełniają.

Czego właściwie dotyczy spór, który ma miejsce w środowisku narodowym, czyli pomiędzy grupą Roberta Bąkiewicza a Ruchem Narodowym? Chodzi o aktywa kontrolowane przez Stowarzyszenie Marsz Niepodległości, o ambicje polityczne?

Ciężko mówić o sporze w środowisku narodowym, dlatego że w Polsce mamy do czynienia z trzema największymi, ogólnokrajowymi organizacjami narodowymi: z partią polityczną, którą jest Ruch Narodowy sprzymierzony w Konfederacji, z organizacją młodzieżową, czyli Młodzieżą Wszechpolską, i ze związkiem kombatanckim w postaci Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. Założyliśmy Stowarzyszenie Marsz Niepodległości w 2011 r. jako platformę współpracy właśnie między największymi organizacjami narodowymi. Bąkiewicz pojawił się tam w 2017 r. jako reprezentant ONR. Wkrótce zerwał z nimi, a przed zjazdem w 2020 r. udało mu się za pomocą sztuczek uzyskać chwilową przewagę w SMN. Trochę machnęliśmy na to ręką i nie toczyliśmy wojny, bo jawił się jako dobry organizator i miał dopiero co swoje pięć minut w 2019 r. jako lider ważnej, potrzebnej akcji „Stop 447".

Dziś z tego potencjału już nic, poza wypromowaniem nazwiska, nie zostało. Ma on za sobą ok. 20 osób w Warszawie i może drugie tyle w kraju, a połowa z nich trzyma z nim, bo im płaci albo pozałatwiał im robotę na państwowych posadach. Bąkiewicz co jakiś czas powołuje kolejne szyldy, takie jak Roty Marszu Niepodległości czy Straż Narodowa, tylko że dziś są to stowarzyszenia kilkuosobowe, w których mieszają się ci sami ludzie. Dlaczego? Począwszy od 2020 r. jego modus operandi skupiło się nie na tym, żeby budować organizacje, tylko na tym, by brać pieniądze od rządu i pójść za narracją PiS. Akcje społeczne, dobrze rozwijające się przy SMN Media Narodowe, zostały zaorane. Na początku konkurowały z np. wRealu24, a teraz zasięgów nie mają żadnych. Bo po co oglądać w Internecie to samo, co można zobaczyć w TVP Info?

Myślę, że do pewnego stopnia wojna na Ukrainie będzie determinować przyszłoroczne wybory. Ta oś podziału jest w naszym społeczeństwie coraz bardziej widoczna

Tak że to nie jest jakiś wielki spór, tylko smutna historia z kupieniem szefa jakiejś organizacji i kilku osób z jego otoczenia przez obóz rządzący. Nie pierwsza, a pewnie i nie ostatnia w dziejach świata i polityki. Ale ta historia skończy się na początku przyszłego roku wyborami w Stowarzyszeniu Marsz Niepodległości, w którym Bąkiewicz nie ma większości. Oferowaliśmy mu partnerstwo, ale on wolał brać pieniądze od rządu i liczyć na miejsce na listach PiS. Może mu się to nawet uda, ale będzie już tylko liderem marginalnej grupki, a nie organizatorem Marszu Niepodległości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

Wojna o pokój

Karol Gac

Wokół wprowadzenia w Polsce sędziów pokoju toczy się wyrafinowana gra polityczna. I choć projekty ustaw od roku są w parlamencie, to impas wciąż trwa. Czy to się zmieni?

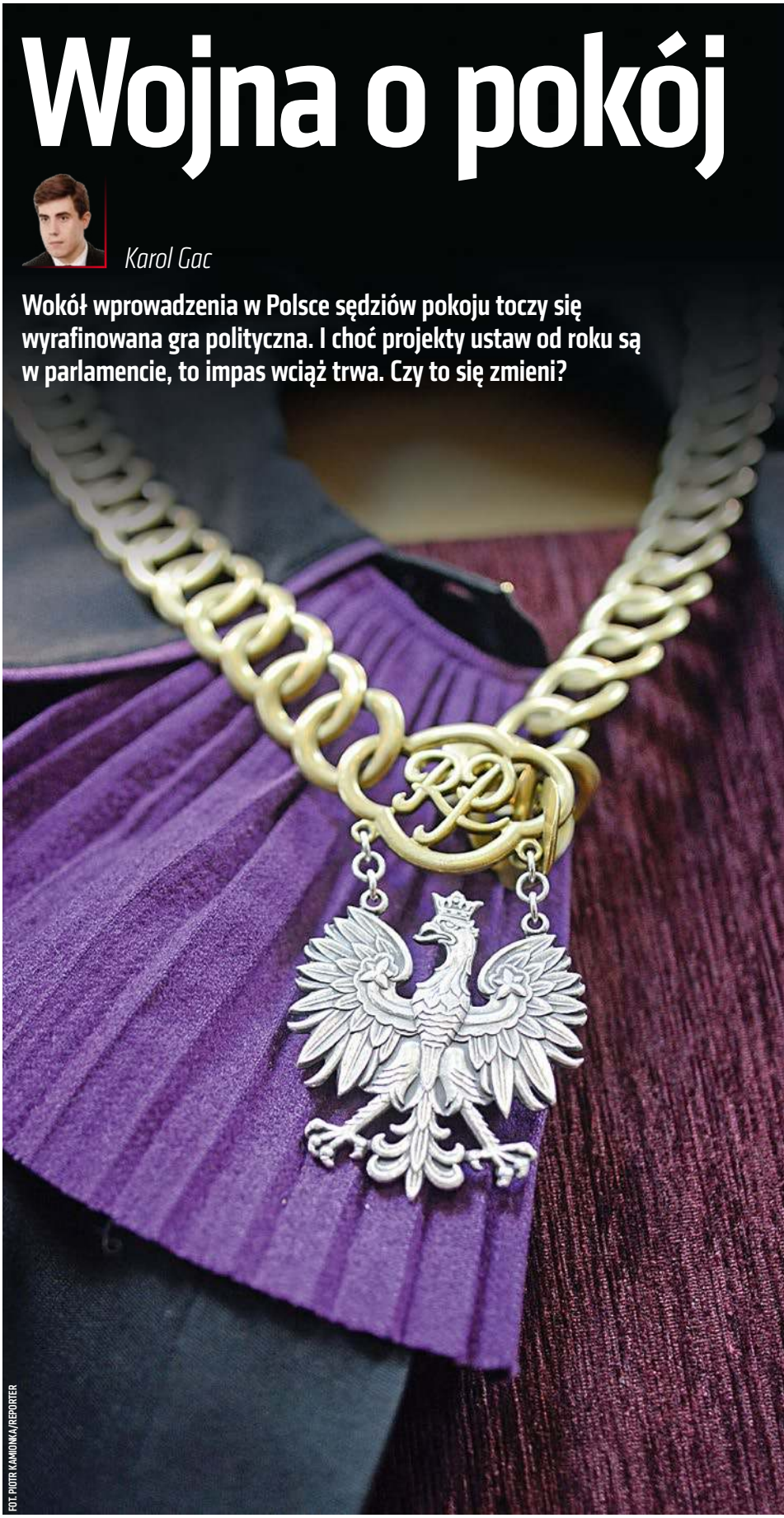

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

To nie jest tak, że ja się obrażam [...]. Zawieszam głosowania [z PiS – przyp. red.] aż do momentu, kiedy to zostanie uchwalone i PiS nie może liczyć na moich posłów" – oznajmił pod koniec września Paweł Kukiz, elektryzując na chwilę media. Powodem takiej deklaracji były przeciągające się w Sejmie prace nad projektem dotyczącym wprowadzenia instytucji sędziów pokoju, czyli jednej ze sztandarowych propozycji programowych Kukiz'15. Te mają szansę przyspieszyć, choć nie jest to przesądzone, ponieważ wokół sprawy sędziów pokoju toczą się polityczne szachy.

Prace nad rozwiązaniami dotyczącymi sędziów pokoju przez ponad rok prowadził zespół pod kierownictwem prof. Piotra Kruszyńskiego, który rozpoczął działalność po rozmowach Pawła Kukiza z Andrzejem Dudą. W efekcie 4 listopada ub.r. prezydent skierował do Sejmu dwa projekty ustaw w sprawie sędziów pokoju. – Przez sędziów pokoju będą rozstrzygane sprawy najprostsze, które dzisiaj bardzo często stanowią utrapienie sądów rejonowych – mówił wówczas. Szybko okazało się, że prośba prezydenta o „spokojną" debatę została potraktowana dosłownie. O ile pierwsze czytanie projektu odbyło się w Sejmie w grudniu, o tyle później prace nad projektem wyraźnie zwolniły. Pod koniec stycznia powołano specjalną podkomisję, która miała zająć się projektami głowy państwa. Do tej pory zebrała się ona tylko siedem razy (z czego w samym wrześniu – trzy). Nie może więc dziwić, że lider Kukiz'15 postanowił dać wyraz swojemu niezadowoleniu. Tyle tylko, że sprawa nie jest prosta z dwóch powodów – politycznego i merytorycznego. Efektem tego jest pat, który trwa od kilku miesięcy.

DIABEŁ TKWI W SZCZEGÓŁACH

Proponowane zmiany zakładają wprowadzenie sądów pokoju jako najniższego szczebla w ramach sądownictwa powszechnego (szczebel niżej niż sądy rejonowe). Mieliby w nich orzekać tzw. sędziowie pokoju, posiadający wykształcenie prawnicze i co najmniej trzyletnie doświadczenie w wykonywaniu czynności wymagających wiedzy prawniczej bezpośrednio związanych ze świadczeniem pomocy prawnej, stosowaniem lub tworzeniem prawa. Byliby oni wybierani przez lokalną społeczność w wyborach powszechnych, bezpośrednich i w głosowaniu tajnym. Zgodnie z założeniami pełniliby swoją funkcję przez okres sze-

eprasa.pl 5fd6eaf378

ścioletniej kadencji, a do pełnienia urzędu powoływałby ich prezydent na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa. Sędziowie pokoju mieliby orzekać w drobnych sprawach karnych i w sprawach o wykroczenia m.in. o przestępstwa do 10 tys. zł oraz w sprawach przeciwko mieniu (pod warunkiem że sprawa nie wymaga powołania biegłych i jest prosta dowodowo).
– Artykuł 4. konstytucji mówi, że władzę zwierzchnią sprawuje naród. Może on wybrać prezydenta, parlament, ale obywatele mają bardzo pośredni wpływ na władzę sądowniczą [...]. Warto też zwrócić uwagę na zaufanie do władzy sądowniczej. Możemy mieć do niej zaufanie, gdy mamy na nią wpływ. Jakie zaufanie możemy mieć do sędziego, na którego nie mamy wpływu? – mówi „Do Rzeczy" Jarosław Sachajko z koła Kukiz'15-Demokracja Bezpośrednia, który zaangażował się w prace przy tym projekcie. Jego zdaniem proponowane zmiany przyniosą wyłącznie dobre efekty.
– Jeśli wprowadzimy sędziów pokoju, to żaden Parlament Europejski czy Komisja Europejska nie będą mogły nam zarzucić, że mamy zaburzoną demokrację, bo to ludzie będą wybierać sędziów. Ten projekt ma tylko jeden minus – pewna grupa uprzywilejowanych ludzi będzie miała konkurencję, bo dojdą osoby spoza środowiska – dodaje.

Mniej entuzjastyczni są jednak przedstawiciele Ministerstwa Sprawiedliwości, którzy w nieoficjalnych rozmowach przyznają, że proponowane rozwiązania mogłyby okazać się przeciwskuteczne, co tylko pogłębiłoby chaos w wymiarze sprawiedliwości. – To, co zaplanowano w projekcie, oznacza bardzo duże koszty. Trzeba byłoby wybrać ok. 4 tys. sędziów pokoju, z których każdy zarabiałby ok. 8–10 tys. zł brutto. Do tego dochodzi koszt samego procesu wyborczego, a jest duże prawdopodobieństwo, że frekwencja byłaby niska, co oznacza, że tacy sędziowie orzekaliby w imieniu małego procentu społeczeństwa. To z kolei stwarza ryzyko, że wygrywałyby osoby popierane przez zdyscyplinowane grupy, które rekrutują się ze środowisk politycznych – mówi nam nasz rozmówca, który zwraca jednocześnie uwagę na zapis o jednokadencyjności. – Taki limit działa też demotywująco na potencjalnych kandydatów, którym może się zwyczajnie nie chcieć. W dodatku może to też zwiększać zagrożenia korupcyjne – dodaje.

Niektórzy z przeciwników sądów pokoju wskazują również, że finalnie mogą się one przyczynić do rozbudowania i skomplikowania całej struktury sądownictwa. Zgodnie z prezydenckim projektem od wyroku sądu pokoju będzie można odwołać się do sądu rejonowego. O tym, że musi to być niezbędny element, mówiła również m.in. I prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzata Manowska. – W praktyce oznacza to wprowadzenie czwartej instancji w polskim sądownictwie. A więc zamiast uproszczenia struktury, co postuluje Zbigniew Ziobro, mamy mieć system jeszcze bardziej rozbudowany – mówi nam osoba z kierownictwa resortu sprawiedliwości.

Krytyczną opinię w sprawie prezydenckich projektów wydała także Krajowa Rada Sądownictwa. „Projekty zawierają także szereg innych rozwiązań, które muszą zostać poddane gruntownej krytyce, a także powinny ulec zasadniczym zmianom w toku dalszych prac legislacyjnych […]. Proponowane zmiany faktycznie nie zbliżą sądownictwa do społeczeństwa i jedynie pozornie otworzą drogę dla obywatela do udziału w wymiarze sprawiedliwości" – czytamy w stanowisku KRS.

CO Z KONSTYTUCJĄ?

Niezależnie od powyższych zastrzeżeń w debacie publicznej najczęściej podnoszony jest także argument dotyczący potrzeby zmiany konstytucji. Wspomniała o tym również w swojej opinii KRS, stwierdzając, że „powstają zasadnicze wątpliwości co do konstytucyjności projektowanych przepisów". Nasi rozmówcy z Ministerstwa Sprawiedliwości zwracają np. uwagę, że konstytucja nie przewiduje powoływania sędziów w wyborach powszechnych, więc trzeba byłoby ją zmienić. Z takim postawieniem sprawy zupełnie nie zgadza się jednak Jarosław Sachajko, który podkreśla, że zmiana ustawy zasadniczej nie jest konieczna. – Od tego, czy coś jest zgodne z konstytucją czy też nie, jest Trybunał Konstytucyjny. Jeśli czytamy literę prawa, to kandydat na sędziego musi być „prześwietlony" przez KRS oraz nominowany przez prezydenta. W tych projektach oba te elementy są spełnione. Jedyna różnica jest taka, że tych kandydatów nie wybiera zamknięta grupa ludzi, ale obywatele, jednak takiego ograniczenia nie ma w konstytucji. Nie ma więc powodu, by obawiać się o zgodność z ustawą zasadniczą – ocenia poseł Kukiz'15.

POLITYKA W TLE

Wątpliwości natury prawnej to tylko jedna z przeszkód na drodze do sędziów pokoju. Kolejną są skomplikowane relacje polityczne, których wypadkową jest obecny pat. Pod koniec kwietnia do konsultacji skierowane zostały projekty Ministerstwa Sprawiedliwości dotyczące reformy sądów. Jednym z głównych założeń jest tzw. spłaszczenie struktury sądów. We wrześniu wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta zapowiedział, że zostanie przedstawiony poprawiony projekt reformy sądów powszechnych, poszerzony o komponent sędziów pokoju. – Nie mamy nic przeciwko temu, ale problem jest taki, że to pomysł, którego jeszcze nikt nie widział. W dodatku nie jest popierany przez Kancelarię Prezydenta w zakresie odbierania kompetencji głowie państwa, czemu trudno się dziwić. W ten sposób mamy pat – mówi nam Sachajko. Rzeczywiście, szef gabinetu prezydenta Paweł Szrot stawia sprawę jasno.

– Jeśli nowa ustawa będzie dotyczyć spłaszczenia struktury polskiego sądownictwa, to warta jest rzeczowej analizy i dyskusji z prezydentem; jeśli będzie również ustawą o naruszeniu jego prerogatyw, to wtedy ta dyskusja będzie skrajnie trudna – powiedział w rozmowie z portalem gazeta.pl. W podobnym duchu wypowiedziała się dla PAP Małgorzata Paprocka z Kancelarii Prezydenta, która oceniła, że część zapisów budzi zastrzeżenia konstytucyjne. Inaczej widzi to jednak Solidarna Polska. – Nie możemy wziąć odpowiedzialności za projekt Pawła Kukiza. Nie dość, że nie możemy reformować sądów, to wciska się nam nie nasze rzeczy – najpierw kompromisy premiera, a później pomysły Pawła Kukiza. Każdy wie lepiej, co zrobić z sądami, tylko nie ci, którzy za to odpowiadają. Finalnie nie ma niczego – mówi nam jeden z polityków tej partii.

Jakby tego było mało, Paweł Kukiz zaproponował opozycji wniosek o wotum nieufności wobec ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. Ta co prawda pomysł odrzuciła, ale niedługo później złożyła własny wniosek. Zamierza go poprzeć lider Kukiz'15, „jeśli do czasu rozpatrywania wniosku opozycji nie zostanie uchwalona ustawa o sędziach pokoju". Na to się jednak nie zanosi. Chociaż w ostatnich wystąpieniach Jarosław Kaczyński stwierdził, że prace nad reformą wymiaru sprawiedliwości nabiorą tempa, to w tej sprawie – przynajmniej na razie – trwa w najlepsze wzajemne przeciąganie liny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

Grę na skłócenie kobiet i prawicy da się zauważyć choćby w uporczywym podtrzymywaniu, szczególnie przez polityków Lewicy, kłamstwa o przyczynach śmierci Izabeli z Pszczyny. Na zdjęciu: demonstracja po śmierci kobiety

FOT. ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

Wojna o opinię kobiet

Tomasz Rowiński

Można by sądzić, że sprawa jest prosta. Każde słowo Jarosława Kaczyńskiego jest potencjalnie interesujące dla opozycji i jej mediów, jeśli tylko nadaje się do użycia jako polityczna amunicja. Sądzę raczej, że konsekwentnie podejmowana jest każda sposobność, by formować niechętne nastawienie kobiet wobec rządzącej Zjednoczonej Prawicy

Może wydawać się zaskakujące, że opozycja i media, które jej kibicują, starają się ukręcać „poważne" afery z takich sytuacji, jak nieco zawstydzające w formie ostatnie wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego. Jedna, przypomnijmy, dotyczyła rozwijającego się problemu alkoholowego wśród kobiet i kryzysu demograficznego, druga coraz szerzej zauważalnego społecznie kryzysu związanego z zaburzeniami tożsamości płciowej.

Ten drugi problem szczególnie dotyczy dorastających dziewczyn i młodych kobiet. Wprawdzie aktualnie najbardziej na czasie i w modzie jest tzw. transseksualność, również dyskusja publiczna tocząca się wokół płci skupia się na problemach, które wynikają z tranzycji, czyli okaleczeń nazywanych zmianą płci, to jednak prezes PiS, mówiąc o 12-latkach deklarujących się jako lesbijki, wstrzelił się w temat.

ŻEROWANIE NA TRAGEDII

Można by sądzić, że sprawa jest prosta. Każde słowo Jarosława Kaczyńskiego jest potencjalnie interesujące zarówno dla rządzących, opozycji, jak i dla mediów, jeśli tylko nadaje się do użycia jako polityczna amunicja. Tego typu działania opozycji wydają się jednak dość rozpaczliwe. Szczególnie że – mówiąc kolokwialnie – wypowiedzi prezesa PiS były podgrzewane. Dotyczyło to przede wszystkim medialnej ofensywy przeprowadzonej po wypowiedzi na temat „dawania w szyję". Jednak kolejny „skandal" nakręcony w związku z opublikowaniem przez rząd „Strategii Demograficznej 2040" pokazuje, że chodzi o coś innego niż tylko o szukanie marnych sposobów na podtrzymanie uwagi politycznej publiczności. Sądzę raczej, że konsekwentnie podejmowana jest każda sposobność, by formować niechętne nastawienie kobiet wobec rządzącej Zjednoczonej Prawicy.

Chociaż rozkład poparcia dla obozu rządzącego pomiędzy płciami w wyborach parlamentarnych z 2019 r. był niemal równy – z niewielką tylko przewagą mężczyzn – to trzeba pamiętać, że po drodze mieliśmy wydarzenia z jesieni roku 2020. Wtedy to Trybunał Konstytucyjny potwierdził, że aborcja ze względów eugenicznych jest niezgodna z polską ustawą zasadniczą. Udało się wówczas wytworzyć, przynajmniej wśród opozycyjnie nastawionej części społeczeństwa, atmosferę, wedle której PiS, a szczególnie prezes tej partii, czyha na dobro kobiet. Demonstracje organizowane przez tzw. Strajk Kobiet znalazły jednak poparcie także wśród części wyborców centroprawicy, co było widać w słabszych wynikach sondażowych PiS.

Grę na skłócenie kobiet i prawicy da się zauważyć choćby w uporczywym podtrzymywaniu, szczególnie przez polityków Lewicy, kłamstwa o przyczynach śmierci Izabeli z Pszczyny. Doszło do niej z powodu niedopełnienia obowiązków przez lekarzy, a nie z powodu orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, co wciąż słyszymy. Wyrok TK dotyczył zabijania dzieci obarczonych „dużym prawdopodobieństwem ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia albo nieuleczalnej choroby zagrażającej ich życiu". Tymczasem w przypadku pszczyńskim po prostu nie podjęto działań ratunkowych wobec pacjentki zagrożonej wstrząsem septycznym, z czego lekarze zdawali sobie sprawę. Jednak do pszczyńskiej tragedii w mediach wciąż się wraca, powtarzając, że to „wina PiS". Jest czymś naturalnym, że odbiorcy pamiętają coraz mniej szcze-

eprasa.pl 5fd6eaf378

gółów tej sprawy – jeśli w ogóle mieli w niej rozeznanie – pozostają w nich natomiast oburzenie lub bezradna zgoda na powtórzoną setki razy nieprawdę.

PODGRZEWANIE NASTROJÓW

Ostatnia „afera" została sklecona z fragmentów „Strategii Demograficznej 2040", które dotyczyły stosowania w Polsce urodzenia przez cesarskie cięcie. W części dokumentu poświęconej „usługom okołoporodowym" czytamy: „Wyzwaniem dla zdrowia matki i dziecka jest sposób porodu. W Polsce istnieje jeden z najwyższych w Europie odsetek urodzeń poprzez cesarskie cięcie, który w 2018 r. wyniósł 44,7 proc. Jest to zabieg szybszy niż poród fizjologiczny, jednak wiąże się z ryzykiem powikłań". Temat cesarskiego cięcia pojawia się w jeszcze jednym miejscu „Strategii…" poświęconym „rozwojowi opieki zdrowotnej". „Istotne jest zatem dobre przygotowanie rodziców do porodu, dostępność wysokospecjalistycznej opieki nad rodziną spodziewającą się dziecka, unikanie zbędnych procedur medycznych, zmniejszenie skali porodów poprzez cesarskie cięcia czy wsparcie rodziców w przypadkach szczególnych – w tym poronienia, powikłań, urodzenia dziecka chorego" – piszą autorzy.

W dokumencie przygotowanym pod egidą pełnomocnika rządu ds. polityki demograficznej odniesiono się pozytywnie także do rodzenia dzieci „siłami natury", które najczęściej jest możliwe w przypadku kobiet między 20. a 30. rokiem życia. Te oczywiste stwierdzenia spotkały się z gwałtowną reakcją. Donald Tusk 18 listopada br., odnosząc się do raportu, stwierdził, że „żyjemy w państwie, które jest rządzone przez mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet". Uzasadnił to w zasadzie tylko nieokreślonym dopowiedzeniem, że przecież „dobrze wiemy", co oznacza postulat zmniejszenia odsetka porodów, które odbywają się poprzez cesarskie cięcie. Czy wiemy? Zapewne chodziło o zasugerowanie odbiorcom, że rządząca centroprawica zamierza ograniczać „prawa kobiet". Tyle że stawianie w jednym rzędzie, jak zrobił to Tusk w swojej wypowiedzi inaugurującej akcję zbierania podpisów pod obywatelskim projektem dotyczącym refundacji procedury in vitro, tzw. rejestru ciąż, postulatu ograniczenia cesarskich cięć i decyzji Trybunału Konstytucyjnego, nie ma żadnego waloru merytorycznego. Jest to jedynie retoryczna zbitka mająca podgrzewać nastroje kobiet przeciwko prawicy.

Mamy do czynienia z ewidentną dwulicowością i, jak się zdaje, świadomym rozgrywaniem emocji kobiet. Opozycja jest gotowa cofnąć świadomość Polek o dekady, byle tylko przejąć władzę

Joanna Ćwiek na łamach „Rzeczpospolitej" 15 listopada br. pytała ironicznie: „Dlaczego więc aż tak wiele kobiet decyduje się na poród zmedykalizowany? Są wyrodne czy nieświadome? A może im się gdzieś spieszy, bo strategia demograficzna wskazuje, że cesarskie cięcie »jest szybsze«?". Jaką odpowiedź daje publicystka? Zaiste kuriozalną. „Decydując się na cesarskie cięcie, kobiety mają poczucie, że uchronią dziecko przed niedotlenieniem okołoporodowym i niepełnosprawnością. Boją się też, że w razie komplikacji zabieg nie odbędzie się na czas". Problem w tym, że Ćwiek nie podała żadnych źródeł, które potwierdzałyby jej opinie – „dane" do swojego felietonu wzięła z sufitu.

Jednak najistotniejsze było inne zdanie z tekstu autorki. „Wprowadzając nakazy ograniczenia liczby wykonywanych cesarek, jeszcze bardziej odbiera się kobietom poczucie bezpieczeństwa na sali porodowej". „Strategia Demograficzna 2040" nigdzie nie mówi o nakazach, chodzi raczej o to, by lekarze zachęcali kobiety do porodów siłami natury w sytuacjach, kiedy cesarskie cięcie po prostu nie jest potrzebne. To bowiem jest obecnie europejski i polski problem, że cięcia są wykonywane w całkowicie nieuzasadnionych sytuacjach. I rzeczywiście wydaje się, że jest w tym element wygody, a czasem też nieświadomości, że cesarka nie jest dobra ani dla matki, ani dla dziecka.

Na stronie Wydziału Położnictwa Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu możemy znaleźć tekst Joanny Moćkun i Jolanty Olszewskiej zatytułowany „Wpływ cięcia cesarskiego na rozwój psychomotoryczny dziecka", którego lektura pozostawia jednoznaczne wrażenia. „Z badań wynika, że dzieci urodzone poprzez CC znajdują się w grupie zwiększonego ryzyka wystąpienia zaburzeń w funkcjonowaniu układu oddechowego, pokarmowego, zwiększonego ryzyka wystąpienia otyłości, a także alergii. Nie bez znaczenia jest także wpływ operacyjnego zakończenia ciąży na psychikę dziecka".

Autorki przypominają także, że według tak cenionych przez liberalną i lewicową opinię wskazań Światowej Organizacji Zdrowia „tylko 10–15 proc. wszystkich porodów powinno kończyć się CC z powodów medycznych, tymczasem w 2008 r. odsetek cesarskich cięć wynosił w Polsce 30 proc.". Te dane są już bardzo nieaktualne, ponieważ w sprinterskim tempie zbliżamy się do 50 proc.

Jeśli coś dziś kształtuje postawy lękowe kobiet wobec porodu, to nieodpowiedzialna publicystyka i polityczna retoryka opozycji oderwana od medycznych faktów. Niestety, przykładów analogicznego manipulowania tekstem „Strategii Demograficznej 2040" było znacznie więcej, w mediach społecznościowych były wręcz niepoliczalne.

CYNICZNA GRA NA EMOCJACH

W omawianej tu sprawie mamy do czynienia z ewidentną dwulicowością i, jak się zdaje, świadomym rozgrywaniem emocji kobiet. Każdy, komu w ostatnich dwóch dekadach urodziło się dziecko, zapewne czytał artykuły regularnie publikowane w mediach głównego nurtu czy w ich dodatkach parentingowych o zaletach rodzenia siłami natury. Można śmiało powiedzieć, że wylano w Polsce wiele atramentu, by promować, zupełnie zresztą słusznie, świadomość pozytywnego wpływu naturalnego porodu na matkę i dziecko. Dziś te lata ważnej pracy edukacyjnej, co do której panował ponadpolityczny konsensus, idą do kosza. Dlaczego? Z prostego powodu, ponieważ PiS wprowadził ten temat do swojej agendy. Opozycja jest gotowa cofnąć świadomość Polek o dekady, byle tylko przejąć władzę.

Część kobiet chciałaby, żeby wszystko, co ich dotyczy, zamknięto w sferze prywatności. Tak jednak nie może być i nigdzie tak nie jest. Nie może być dla państwa i społeczeństwa obojętne, że kobiety masowo narażają się na komplikacje porodowe, które w poważny sposób zagrażają ich zdrowiu, a nawet życiu, a także w zauważalny sposób ograniczają ich zdolność do przyjmowania kolejnych dzieci. Cesarskie cięcie ma sens tylko wtedy, gdy ratuje życie. I dobrze, że urząd pełnomocnika ds. demografii o tym mówi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

Z „miłości” do zwierząt

Zuzanna Dąbrowska

Z 25 do 16 lat więzienia złagodził sąd karę kobiecie, która zamordowała i próbowała rozczłonkować zwłoki swojego sąsiada. Wcześniej on w okrutny sposób pozbawił życia jej psa. Wyrok ten każe sądzić, że mamy do czynienia z próbą zrównywania wartości życia człowieka i zwierzęcia na kolejnym ważnym polu, czyli w sferze prawnej

To historia, która mrozi krew w żyłach. Ze względu na brutalność i drastyczne szczegóły. W kwietniu 2019 r. w lesie w miejscowości Wierzchowiska znaleziono poranione ciało 36-latka. Okazało się, że to mieszkający w tej wsi Daniel S. Policja szybko ujęła podejrzanych – 29-letnią wówczas Justynę K. i jej 51-letniego partnera Krzysztofa Ł. (byłego policjanta). Para trafiła do aresztu. Jak opisywały lokalne media, nie byli lubiani w okolicy – Justyna i Krzysztof znani byli ze swojej skłonności do alkoholu, która skutkowała częstymi awanturami. Podczas jednej z suto zakrapianych imprez w ich domu Daniel S. wyznał, że to on stoi za zaginięciem pupila Justyny K., do którego doszło kilka lat wcześniej. Mężczyzna przyznał, że zabił psa, oskórował, przetopił na smalec, a potem sprzedał na targowisku jako leczniczy wyrób z borsuka. Wyznanie to wywołało furię kobiety, która do dziś, również w czasie procesu, szczyciła się miłością do zwierząt i działalnością na ich rzecz. K. wzięła nóż i zaczęła dźgać sąsiada. Mężczyzna zmarł. Wtedy wraz z partnerem próbowała rozczłonkować ciało m.in. przy użyciu piły spalinowej, jednak nie dali rady. Postanowili pozbyć się zwłok inaczej – próbowali utopić je w studni na posesji letników, jednak ostatecznie porzucili w lesie. Ciało znalazł miejscowy rolnik.

24 maja 2021 r. Sąd Okręgowy w Zamościu skazał Justynę K. za zabójstwo, sprofanowanie zwłok i udział w pobiciu na 25 lat więzienia. Obrońcy kobiety odwołali się od decyzji i teraz Sąd Apelacyjny w Lublinie wyrok złagodził do 16 lat pozbawienia wolności. O wcześniejsze zwolnienie będzie mogła ubiegać się już po 12 latach. Mimo że sędzia Elżbieta Jóźwiakowska podkreśliła w uzasadnieniu, że nie może być mowy o działaniu w afekcie, co jako argument za złagodzeniem kary podnosił pełnomocnik. – Jest to osoba dominująca, dla której własna osoba, własne osądy są najważniejsze, i przy tym ma ponadprzeciętny iloraz inteligencji. Musiała sobie zdawać sprawę, co robi – wskazała sędzia. Ponadto sąd uniewinnił oskarżoną od zarzutu znieważenia zwłok, który odnosił się do próby ich rozczłonkowania. – Głównym celem oskarżonej było ukrycie zwłok, a nie ich znieważenie – wyjaśniono.

USPRAWIEDLIWIANIE ZBRODNI

W tej opowieści nie ma pozytywnych bohaterów. Zarówno Daniel S., jak i Justyna K. pokazali swoje najgorsze oblicze. Jednak różnica między nimi jest zasadnicza – on zabił zwierzę, a ona człowieka. Tak łagodne potraktowanie brutalnej morderczyni wywołało zrozumiałą dyskusję. Mamy bowiem do czynienia z wyrokiem, który może stanowić w przyszłości punkt odniesienia w innych sprawach – orzecznictwo będzie kształtowane w sposób łagodny wobec ludzi, którzy popełnili przestępstwo „z miłości do zwierząt”. Nawet, jeśli było to przestępstwo najcięższe. I tak z jednej strony stanęli wyznawcy „bambinizmu”, którzy stawiają życie zwierzęcia (jako istoty łagodnej, niezdolnej do nienawiści) ponad życiem człowieka (zgodnie z teorią, że człowiek to najokrutniejsze ze zwierząt). Oto zaledwie kilka z dziesiątków komentarzy na Twitterze, w których de facto bronione jest „prawo” Justyny K. do odebrania życia: „No jak dla mnie typ był śmieciem”, „Pies jest więcej wart niż taki »człowiek«”, „Człowiek, który zabija bestialsko psa, równie dobrze zabije człowieka, gdy mu się coś nie spodoba”, „Uważam, że uchroniła wielu ludzi przed krzywdą, która mogła by ich spotkać, gdyby ten debil żył”. Komentujący de facto już nie tyle wyrażają częściowe zrozumienie dla emocji Justyny K., ile usprawiedliwiają jej czyn i twierdzą, że wyświadczyła społeczeństwu przysługę.

Z drugiej strony sporu są osoby przekonane, że szacunek do „braci mniejszych” nie jest równoznaczny ze zrównywaniem ich w prawach z osobą ludzką. A co dopiero, gdy w grę wchodzi prawo do życia, będące prawem podstawowym, bez którego inne nie mogą być realizowane. Wynika to z moralności, a także jest poglądem racjonalnym. „Racjonaliści” nie podważają faktu, że krzywdzenie zwierząt jest jednoznacznie złe. Podważają za to pogląd, zgodnie z którym zabicie psa jest takim samym złem jak zabicie człowieka albo krzywda wyrządzona zwierzęciu jest usprawiedliwieniem dla zabicia krzywdzącego.

Decyzję Sądu Apelacyjnego krytykuje wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski. – Jesteśmy świadkami negatywnego trendu w polskim sądownictwie. Kara 25 lat pozbawienia wolności została obniżona do zaledwie 16, mimo że sąd potwierdził działanie skazanej z pełną premedytacją. Choć odmawiała współpracy na etapie postępowania i nie okazała żadnej skruchy, to sąd drugiej instancji nie uznał bestialskich metod mordu i bezczeszczenia zwłok za element zaostrzający karę. Wręcz przeciwnie, strata po zabitym zwierzęciu okazała się większą wartością niż godność drugiego człowieka – wskazuje w rozmowie z „Do Rzeczy”. Jak dodaje wiceszef MS, „wyrok ten jest tylko potwierdzeniem niebezpiecznego zjawiska”. – Polega ono na zrównaniu „praw” zwierząt z prawami ludzi. Zabicie człowieka nie jest i nigdy nie będzie równoznaczne z zabiciem zwierzęcia. Znęcanie się nad zwierzętami jest czynem karygodnym, ale nie może stanowić przesłanki do zatarcia dzielących ich różnic – wyjaśnia Marcin Romanowski.

Ksiądz profesor Paweł Bortkiewicz, dyrektor Centrum Etyki UAM w Poznaniu, mówi z kolei, że niezgoda na okrucieństwo wobec zwierząt, która jest naszym obowiązkiem, nie może wiązać się z brakiem szacunku dla człowieka. – Godność przysługuje tylko człowiekowi i w ramach tej godności tworzymy szacunek dla zwierząt.

eprasa.pl 5fd6eaf378

Oczywiście jestem poruszony dogłębnie informacją o tym wyroku i dogłębnie się z nim nie zgadzam, choć w pewnym sensie rozumiem – w tym sensie, że odzwierciedla on naszą kulturę, która jest naznaczona utylitaryzmem i ekologizmem. Sprawiają one, że tzw. prawa zwierząt są równane z faktycznie istniejącymi prawami człowieka, a niejednokrotnie je przewyższają – wskazuje ksiądz profesor.

NASI BRACIA... RÓWNI?

Współczesne ruchy prozwierzęce, które z dużym powodzeniem implementują w społeczeństwach pojęcie „praw zwierząt", czerpią m.in. z książki Petera Singera „Wyzwolenie zwierząt". Jest ona reklamowana jako „biblia obrońców praw zwierząt i każdego, komu nieobce jest cierpienie naszych braci mniejszych". Singer głosi tezę, że skoro „zwierzęta głosu nie mają", to ludzie powinni stanąć w ich obronie. – Wtedy właśnie na Zachodzie pojawiły się pierwsze teorie dotyczące praw zwierząt, które znalazły swój wyraz w kodyfikacji z 1978 r., kiedy ogłoszono Światową deklarację praw zwierząt, do złudzenia przypominającą Deklarację praw człowieka i obywatela. Tendencje te przybrały „zwartą" formę za pomocą wydanej w 2021 r. pracy „Zoopolis: A political theory od animal righst", autorstwa Sue Donaldson oraz Willa Kymlicka. Ta pseudonaukowa pozycja zyskała rozgłos w Polsce dzięki wypowiedzi prof. Magdaleny Środy, która w oparciu o nią stwierdziła, że zwierzęta domowe powinny zyskać prawa obywatelskie, a zwierzęta liminalne [graniczne – przyp. aut.], jak szczury, status uchodźców. – To pokazuje, że dokonuje się import myśli zachodniej do Polski – zwraca uwagę ks. prof. Bortkiewicz. Dodaje, że wyrok w sprawie Justyny K. jest dowodem, iż inwazja „bambinizmu" odbywa się nie tylko w sferze czysto mentalnej, lecz także prawnej. – Obok niepokoju fakt ten musi budzić sprzeciw – zaznacza etyk.

Przywołane słowa prof. Środy, wypowiedziane w 2019 r., spotkały się przede wszystkim z rozbawieniem i ze zdziwieniem. Trudno poważnie traktować przecież postulaty o nadaniu szczurom i karaluchom statusu uchodźców. Jednak o ile wypowiadane przez zideologizowane „autorytety" absurdalne opinie pozostają opiniami, o tyle wyrok sądu jest faktem stanowiącym o rzeczywistości.

– Coraz częściej miłość do zwierząt jest jednym z dóbr osobistych i na gruncie Kodeksu cywilnego stanowi podstawę zadośćuczynienia. Jednocześnie widzimy, jak często ci sami ludzie lekceważąco odnoszą się do wartości życia ludzkiego czy człowieczeństwa jako takiego. Pogarda dla nienarodzonych, dzieci i macierzyństwa czy popieranie eutanazji na życzenie to często stały element ich światopoglądu. Ile razy słyszymy slogan, że „człowiek jest najniebezpieczniejszym stworzeniem na Ziemi"? Zatarcie granicy między cywilizacją a przyrodą, zwierzęciem a człowiekiem, przybiera charakter powolnej autodestrukcji ludzkiej kultury – ocenia wiceminister Marcin Romanowski.

Aby uznać, że życie człowieka jest najważniejsze, nie trzeba być koniecznie chrześcijaninem. Jest to konstatacja wypływająca wprost z racjonalnego myślenia, która towarzyszyła ludzkości przez wieki. – Myślenie racjonalne wyklucza instrumentalizację człowieka, a to oznacza, że człowiek jest jedynym podmiotem pośród przedmiotów. Do tej idei nawiązywały starożytność helleńska uosabiana przez Arystotelesa, myśl antyczna-niechrześcijańska, także judaizm. To myśl, która wynika po prostu z racjonalnej obserwacji świata – konkluduje ks. prof. Paweł Bortkiewicz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

#Mazurek
symetrysta i bufon

#Szczuka
upadła gwiazda lewackich mediów

#Terlikowski
katooszołom

Trolle swoje...
...a my swoje!
Radio RMF24 – jedno studio, różne poglądy!

RADIO RMF 24
rmf24.pl/radio

eprasa.pl 5fd6eaf378

FOT. ADOBE STOCK

Prawdziwy polski sukces

Łukasz Zboralski

Lepsze prawo, urealnione kary za wykroczenia – to spowodowało, że w tym roku Polska notuje znaczący spadek liczby osób ginących w wypadkach drogowych. Na tle innych państw Europy, w których liczby wypadków wracają do poziomów sprzed pandemii, jesteśmy niekwestionowanym liderem

Gdyby dekadę temu ktoś powiedział, że w UE największą poprawę w tej dziedzinie zanotuje Polska, trudno byłoby uwierzyć. Oczywiście potencjał do zmiany mieliśmy ogromny, ale niechęć polityków wszystkich opcji do zmian w prawie drogowym była wielka. Nikt nie chciał się tego podjąć, bo zdawało się, że zostanie to odebrane jako coś „przeciw" kierowcom, a politycy niczego tak się nie obawiają jak utraty poparcia. Dlatego od lat w statystykach liczby zgonów w wypadkach drogowych na milion mieszkańców tkwiliśmy na szarym końcu europejskich zestawień – w okolicach Bułgarii, Chorwacji, Litwy. Gdy w UE średnio w wypadkach ginęło 50 osób na milion mieszkańców, to u nas ok. 80. To się właśnie zmieniło. Jak wynika z danych Komendy Głównej Policji, od stycznia do końca października w Polsce doszło do 18 472 wypadków, w których zginęło 1596 osób, a 21 462 osoby zostały ranne. W porównaniu z tym samym okresem poprzedniego – jednak pandemicznego jeszcze – roku oznacza to spadek liczby wypadków o 3,5 proc. (19 136 – w tym okresie 2021 r.), spadek liczby rannych w wypadkach o 3,5 proc. (22 238) oraz spadek aż o 15 proc. liczby zabitych w wypadkach (1876).

POLSKA JASNYM PUNKTEM W UE

Wszystko wskazuje więc na to, że w tym roku po raz pierwszy na polskich drogach może zginąć mniej niż 2 tys. osób. To oznacza, że co roku pochowamy na cmentarzach aż o tysiąc ludzi mniej. Bowiem od 2016 r. liczba ginących w wypadkach drogowych oscylowała wokół 3 tys. rocznie.

Jeszcze lepiej tę poprawę widać na tle innych krajów Unii Europejskiej. Już po trzech pierwszych miesiącach tego roku Komisja Europejska raportowała, że średnio w UE liczba ofiar wypadków drogowych rośnie o 10 proc. w stosunku do poprzedniego roku. Dziś już wiadomo, że jest jeszcze gorzej. W październiku na spotkaniu w KE prezentowano dane, z których wynikało, że w wielu krajach liczba zabitych w wypadkach wraca do poziomów sprzed pandemii. W niektórych państwach liczba drogowych śmierci urosła więc nawet o kilkadziesiąt procent. Na palcach jednej ręki można policzyć te, które zanotowały choćby minimalną poprawę. Takiej poprawy jak Polska nie odnotował żaden z nich.

Gdy poprosiłem o te dane, urzędnicy Komisji Europejskiej odesłali mnie do oficjalnego komunikatu na stronie, w którym nie podano liczb dla każdego z krajów. A gdy domagałem się szczegółowych danych, służby prasowe KE po prostu zignorowały te pytania. Tak, niestety, wyglądają jawność i dostęp do informacji w UE… Powody tego milczenia są zapewne dwa. Pierwszy to ten, że UE dawno temu postawiła sobie ambitny cel redukcji wypadków drogowych o 50 proc. Dane, które pokazują, że oprócz pandemii w tej sprawie nie udało się nic (prawie nic – bo Polsce jednak się udało), są po prostu ciosem dla urzędników, którzy odpowiadają za pilnowanie tej strategii. Drugim powodem może być fakt, że liderem jest akurat Polska. Sukces kraju, który oficjalnie wciąż jest rugany za rozmaite kwestie, na pewno nie jest łatwy do przełknięcia w Brukseli (choć bezpieczeństwo drogowe powinno stać poza wszelkimi politycznymi starciami).

Oczywiście nasz niewątpliwy sukces ma też gorzki posmak. Trudno nie być liderem, gdy przez dekady nie wprowadzało się takich zmian, jakie na zachodzie Europy wdrażano i testowano latami. Byliśmy – i w niektórych obszarach jeszcze jesteśmy – po prostu mocno zapóźnieni.

Od lat 90. żaden polski rząd nie miał odwagi na taką reformę jak gabinet Mateusza Morawieckiego. I wiadomo, że to sam premier stał za forsowaniem tych zmian. Pojawiły się one w jego exposé wygłaszanym z okazji wygrania wyborów i drugiej kadencji. Oczywiście prawdą jest również, że znacznie zmieniło się podejście społeczne do tych kwestii. Ministerstwo Infrastruktury miało w swoich szufladach od dawna badania społeczne, w których zdecydowana większość ankietowanych

eprasa.pl 5fd6eaf378

zgadzała się, że należy znacznie podnieść kary dla piratów drogowych.

Przełomowy okazał się projekt urealnienia kar drogowych. Wszyscy na zachodzie Europy od dawna wskazywali, że choć nadzór nad kierowcami nie jest jedynym elementem dbania o bezpieczne drogi, to jednak musi on być realny. – Po pierwsze, kara musi być na tyle wysoka, żeby trochę bolała – tłumaczył mi w styczniu tego roku dr Werhner Brucks, kierownik bezpieczeństwa ruchu drogowego policji drogowej w Zurychu, który prowadził też projekty BRD w Polsce w ramach Swiss-Contribution. – Jednocześnie grzywny muszą być stopniowane. Za małe naruszenia kary powinny być niewielkie, ale muszą być za to znacznie wyższe kary za najbardziej ryzykowne zachowania na drogach – dodawał. Tłumaczył, że system nadzoru musi być tak zbudowany, iż kierowca musi mieć świadomość, że słono zapłaci za poważne wykroczenia, oraz musi mieć przeświadczenie, że jest duża szansa na to, iż zostanie przyłapany. Jeśli jeden z tych składników nie działa, to cały nadzór nie działa.

Tymczasem w Polsce eksperci, policjanci i politycy przez 30 lat upierali się, że wysokość kar nie ma znaczenia. Zresztą takie argumenty padały i wówczas, gdy w Sejmie procedowano projekt podwyższenia mandatów.

NAPRAWDĘ WYSOKIE MANDATY

Ostatecznie jednak PiS w tej sprawie miał szerokie poparcie opozycji (wyłączając Konfederację i Polskę 2050, które wstrzymała się od głosu). Od stycznia za poważne wykroczenia kierowcy płacą naprawdę wysokie mandaty. Wprowadzono też od września tzw. recydywę – czyli podwójne mandaty za poważne wykroczenia, których kierowcy dopuszczą się ponownie w ciągu dwóch lat od pierwszego ukarania, podwyższono do 15 liczbę punktów karnych przyznawanych za niektóre wykroczenia oraz zlikwidowano kursy, na których kierowcy za relatywnie niewielką opłatą co jakiś czas mogli likwidować połowę limitu punktów karnych.

I to zadziałało. Najlepszym dowodem są wykroczenia rejestrowane przez fotoradary. Automaty pracują wciąż tak samo, a od tego roku liczba naruszeń wykrywanych przez nie spadła o 30 proc. I są to najczęściej niewielkie naruszenia prędkości. Wniosek jest prosty: polscy kierowcy zdjęli nogę z gazu i częściej jeżdżą zgodnie z tym, co nakazują im znaki.

Drugim przełomowym projektem była prawna poprawa pierwszeństwa pieszych i zmuszenie kierowców do bycia gotowym do ustąpienia ludziom, zanim wejdą na „zebrę". W tym miesiącu pojawiło się pierwsze orzeczenie sądu w takiej sprawie, w którym sędzia po raz pierwszy zinterpretował nowe przepisy i uznał, że kierowca w Polsce ma po prostu ustąpić temu pieszemu, który wyraża zamiar przejścia (tak samo ucierało się to w orzecznictwie innych krajów UE, doszli tam również do tego, że taki zamiar musi być dla kierowcy czytelny i jasny). W porównaniu ze średnią liczbą pieszych ginących na przejściach w latach 2016–2019 w tym roku ginie ich mniej o blisko 30 proc.

A to nie koniec. Niebawem światło dzienne ujrzeć ma projekt, który wzbudzi entuzjazm wśród kierowców, bo takiej zmiany domagali się od dawna. Forum ekspertów pod auspicjami Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad przejrzało oznakowanie dróg i przygotowało wnioski, z których ma wynikać, jak zmniejszyć liczbę znaków na drodze. Wnioski z tych prac miały już trafić do Ministerstwa Infrastruktury.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

NIEZWYKLE ŻYWY I BARWNY OPIS POLSKICH KRESÓW

Seria książek autorstwa Sławomira Kopra i Tomasza Stańczyka

Seria uhonorowana nagrodą „Strażnik Pamięci 2022"

NOWOŚĆ!

PAKIET 5 KSIĄŻEK IDEALNY NA PREZENT!

DO KUPIENIA W KSIĘGARNI INTERNETOWEJ WWW.XLM.PL | TEL.: 22 836 54 45

eprasa.pl 5fd6eaf378

Anarchistka z Pałacu Lwów

Peggy Guggenheim w swoim domu w Wenecji z jednym ze swoich psów i parą bębnów, grudzień 1961 r.

FOT. KEYSTONE FEATURES/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 5fd6eaf378

Wiesław Chełminiak

Sto lat temu nie było jeszcze naftowych szejków i postsowieckich oligarchów, artyści lgnęli więc do bogatych Amerykanów

Miliony mieszkańców Starego Kontynentu szansy na nowe, lepsze życie szukały po drugiej stronie Atlantyku. W przeciwną stronę ruch był mniejszy. Zdarzali się jednak (i wciąż się zdarzają) jankesi tak zafascynowani kulturalnym dziedzictwem, zepsuciem i wyrafinowaniem Europy, że przenoszą się do niej na stałe. Marguerite Guggenheim, dla przyjaciół Peggy, poniekąd kontynuowała rodzinne tradycje. Jej ojciec utracjusz, zanim zginął w katastrofie „Titanica", chętniej rezydował nad Sekwaną niż w Nowym Jorku.

Gdy wujkowie pomnażali rodową fortunę, ona trwoniła pieniądze na artystów i literatów. Bóg poskąpił Peggy twórczych talentów, ale i tak wywarła wpływ na sztukę nowoczesną: jako marszand i mecenas.

Lubiła kubizm, surrealizm, abstrakcję tudzież prymitywną sztukę z Afryki, Ameryki Południowej i Oceanii, choć zdarzyło jej się przyznać, że chętnie zamieniłaby całą swą kolekcję na „Burzę" Giorgiona. Film, najbardziej amerykańska forma sztuki, nie interesował naszej bohaterki w ogóle.

ŻONA WSZYSTKICH MĘŻÓW

Do posiadanych rzeźb i obrazów Guggenheim miała bardzo osobisty stosunek. Nazywała je swoimi dziećmi (o prawdziwe potomstwo troszczyła się mniej). Twórcom pomagała, jak mogła, zyskując w zamian wdzięczność i szacunek. Tylko Picasso jej nie znosił, ale on mógł sobie na to pozwolić: odniósł sukces już wcześniej. Gdy pewnego dnia Peggy ośmieliła się dołączyć do grupy zwiedzających paryską pracownię mistrza, ten najpierw ją ignorował, a potem wypalił: „Dział z bielizną znajdzie pani na drugim piętrze". Przełknęła zniewagę i polowała na dzieła Hiszpana gdzie indziej.

Flirt damy żyjącej z odsetek od kapitału z bohemą nie był aż takim dziwnym zjawiskiem. Jeszcze przed wielką wojną znudzone arystokratki i burżujki animowały rodzący się rynek sztuki. Gdy ucichły armaty, spustoszona i zbiedniała Europa stała się celem pokojowej inwazji Amerykanów. Siła dolara sprawiła, że nawet nie najlepiej sytuowani jankesi mogli używać życia na Lazurowym Wybrzeżu czy w Toskanii, o Andaluzji nie wspominając.

Peggy kochała podróże. Na paryskim albo londyńskim bruku czuła się o wiele lepiej niż w rodzinnym Nowym Jorku, który uchodził wszak za najbardziej europejskie miasto USA. Od 1920 r., z krótkimi przerwami, przebywała w stolicy Francji, włócząc się po salonach, knajpach i muzeach w towarzystwie reprezentantów „straconego pokolenia". Choć na funduszach jej nie zbywało, żyła z ołówkiem w ręku (mniej życzliwi mówili o patologicznym skąpstwie). Czasem jednak zaskakiwała rozrzutnością. Sprzeczności stanowiły bowiem istotę natury Peggy.

Była ambitna i zakompleksiona, uparta i lekkomyślna, nieśmiała i rozwiązła, szczera aż do bólu. Cudacznie się ubierała. Na pytanie, ilu miała mężów, odpowiedziała: „Swoich czy cudzych?". O jej seksualnym apetycie krążyły legendy. Zmarła jednak w samotności i kazała się pochować w ogrodzie w pobliżu grobów swych ukochanych psów, jak król Prus, Fryderyk Wielki.

OD KOMUNIZMU DO AWANGARDY

Familia Guggenheimów dopiero w Ameryce rozwinęła skrzydła. Dziadkowie Peggy – niemieccy Żydzi – byli domokrążcami. Do głowy by im nie przyszło, że ich potomkowie zostaną właścicielami kopalni i hut, rozsianych po całym świecie. Z kolei Seligmanowie – rodzina matki – parali się bankierstwem. Jednych i drugich ranił towarzyski ostracyzm: w elitarnych kręgach WASP-ów nie było miejsca dla nuworyszy, uczęszczających do synagogi. Skutecznym sposobem na poprawę reputacji jawiły się małżeństwa z chrześcijanami tudzież dobroczynność, którą Guggenheimowie uprawiali z rozmachem, zawstydzającym innych bogaczy.

Do posiadanych rzeźb i obrazów Guggenheim miała bardzo osobisty stosunek. Nazywała je swoimi dziećmi (o prawdziwe potomstwo troszczyła się mniej)

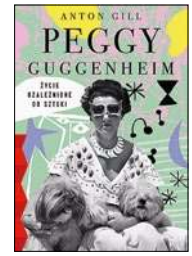

ANTON GILL „PEGGY GUGGENHEIM. ŻYCIE UZALEŻNIONE OD SZTUKI" TŁUM. MARIUSZ FEREK, ZNAK 2022

Solomon, wuj Peggy, zaprzysięgły anglofil, córki powydawał za Brytyjczyków. W Nowym Jorku stworzył zaś fundację, która wypłacała stypendia setkom artystów i pisarzy oraz gromadziła dzieła sztuki nowoczesnej. Jego bratanica nie miała aż takich możliwości, a początkowo również chęci. Lata 20. i 30. spędziła, podróżując i uprawiając intensywne życie towarzyskie. W czasach jej młodości świat szybko się zmieniał. Peggy, urodzona u schyłku epoki wiktoriańskiej, starała się za nim nadążyć.

Nie skończyła nawet college'u, ale dużo czytała. Z natury areligijna i apolityczna, pod wpływem otoczenia odkryła w sobie socjalistkę. Zdarzyło się jej wpłacić 10 tys. dol. na fundusz strajkowy brytyjskich górników, a w 1936 r., chcąc zapunktować u kochanka marksisty, zgłosiła akces do Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii. O dziwo, została przyjęta. Gdy ów zapatrzony w Stalina erudyta chciał lubej dopiec, nazywał ją trockistką.

Pomysł, by wspierać współczesnych artystów, zaświtał Peggy w głowie dopiero, gdy miała lat 40. Po śmierci matki zaczęła dysponować znaczniejszymi funduszami, a literaci już ją trochę nudzili. Na dobry początek nabyła rzeźbę Hansa Arpa „Głowa i muszla". Pół żartem, pół serio twierdziła, że ma ambicję kupować codziennie jedno dzieło sztuki. W londyńskim West Endzie wystawiła prace Kandinsky'ego, prekursora malarstwa abstrakcyjnego. Był to odważny ruch, ponieważ konserwatywni Brytyjczycy ignorowali awangardę.

Działalność galerii przerwał wybuch wojny, który uniemożliwił też realizację innego planu Peggy: stworzenia drugiego, po nowojorskim, muzeum sztuki nowoczesnej. W tym celu wynajęła w Paryżu apartament, w którym umarł Chopin, i zarządziła jego gruntowną przebudowę. Bojkotowała nazistowskie wyprzedaże „sztuki zdegenerowanej", ale gdy spanikowani artyści wyjeżdżali z Europy, pani Guggenheim nie przegapiła okazji, kupując ich prace po okazyjnych

eprasa.pl 5fd6eaf378

cenach. Gwoli sprawiedliwości trzeba zauważyć, że nikt nie uważał wtedy inwestowania w rewolucyjną sztukę za dobry interes. Była to raczej zapomoga dla twórców odmawiających dostosowania się do potocznych gustów.

Takich mecenasów jak Peggy było więcej. Czemu właśnie ona odniosła spektakularny sukces? „Bo była bardziej simpatico" – twierdzi jej biograf. Dodajmy, że miała również talent do autoreklamy i szczęście do doradców. W organizowaniu wystaw pomagali jej np. guru awangardy Marcel Duchamp i poeta Jean Cocteau. Rosnąca jak na drożdżach kolekcja była dla sponsorki z Ameryki substytutem innych życiowych aktywności. Niezaabsorbowana pracą i rodziną mogła poświęcić jej cały swój czas i energię.

KURCZAK W CZEKOLADZIE

Nawet bez hitlerowskiej opresji pod koniec lat 30. europejska awangarda utknęła w martwym punkcie. Wszystko, co najważniejsze, już się zdarzyło, weterani walki o „sztukę godną XX w." kłócili się i odcinali kupony od dawnych osiągnięć. Ameryka ich jednak jeszcze nie znała, potrzebni byli pośrednicy, tacy jak Peggy, która uciekła z Paryża dwa dni przed wkroczeniem Niemców. Opuszczając Europę, zabrała na pamiątkę surrealistę Maxa Ernsta, który został jej drugim i ostatnim mężem.

Kolekcja, ewakuowana w pierwszej kolejności, zrobiła w Nowym Jorku furorę, podobnie jak jej posiadaczka. Peggy, wczuwając się w rolę ambasadora awangardy, otworzyła galerię Art of This Century, która sama w sobie była dziełem sztuki. Otaczał ją dwór złożony z emigrantów. Wynajęty dom na Manhattanie słynął z mocno zakrapianych przyjęć. Gospodyni karmiła gości swoją firmową potrawą – kurczakiem w sosie czekoladowym.

Konkurencja, nie licząc fundacji wuja Solomona, była słaba. Rynek sztuki nowoczesnej dopiero raczkował, w mieście działało kilkunastu marszandów, którzy mieli o niej jakieś pojęcie. Dla porównania – dziś w Nowym Jorku awangardowymi dziełami handluje 650 instytucji. Peggy wspierała młode talenty, na czele z Jacksonem Pollockiem, jako pierwsza odważyła się zorganizować wystawę prac kobiet artystek (choć od feminizmu zawsze się odżegnywała).

Jednak gdy wojna dobiegła końca, nawet najbardziej entuzjastyczne recenzje nie mogły odwieść promotorki sztuki zbuntowanej od powrotu na Stary Kontynent. Tym razem zakotwiczyła w Wenecji, tworząc wyspę modernizmu w morzu renesansu i baroku. Ceny dzieł jej podopiecznych poszybowały, poniewczasie okazując się doskonałą lokatą majątku. Ona sama stała się żywą legendą. Każdy amerykański snob, bawiący nad laguną, czuł się w obowiązku złożyć wizytę w Palazzo dei Leoni. „La Dogaressa" sprawiła sobie gondolę i codziennie pływała po kanałach. Okulary w kształcie nietoperzy i motyli stały się jej znakiem rozpoznawczym. Wiele wody musiało upłynąć w Adriatyku, zanim tubylcy przyzwyczaili się do ekstrawaganckiej cudzoziemki, która oprócz rzeźb i obrazów kolekcjonowała również kolczyki, psy oraz koty.

Na zbiory Peggy, coraz słynniejsze, bo udostępniane publiczności, ostrzyła sobie zęby londyńska Tate Gallery. Skuteczniejsi okazali się jednak krewni z Ameryki. Zapisała Fundacji Guggenheima swoje skarby, pod warunkiem że zostaną w Wenecji. Gill szacuje wartość tej kolekcji na 350 mln dol. Zważywszy na fakt, że powstała kosztem mniej więcej 250 tys., wypadałoby uznać Peggy za urodzoną bizneswoman. Tymczasem według biografa miała „anarchistyczną osobowość". Nigdy nie kalkulowała, kierowała się wyłącznie instynktem.

Ceny dzieł jej podopiecznych poszybowały, poniewczasie okazując się doskonałą lokatą majątku. Ona sama stała się żywą legendą. Każdy amerykański snob, bawiący nad laguną, czuł się w obowiązku złożyć wizytę w Palazzo dei Leoni

DŻEM WE WŁOSACH

Książka Gilla to również galeria barwnych postaci. Dość wspomnieć Hazel Guggenheim – poetkę i malarkę. Młodsza siostra Peggy siedem razy stawała na ślubnym kobiercu, a śmierć jej synów do dziś jest otoczona mgłą tajemnicy. Na czytelnika spada grad szczegółowych informacji (często skandalicznych) o perypetiach i upodobaniach ludzi, którzy nadali kulturze Zachodu nowy kierunek. Zdumiewające, jak wielu z nich miało skłonność do autodestrukcji lub zachowań odbiegających od normy. Autor wziął przykład ze swojej bohaterki, która nie grzeszyła dyskrecją i obsmarowała bliższych i dalszych znajomych w wydanych jeszcze za jej życia pamiętnikach.

Dowiadujemy się np., że malarz Yves Tanguy po pijaku miał zwyczaj prowokować dyskusję o aferze Dreyfusa. Koniec był zawsze taki sam: stwierdziwszy rozbieżność stanowisk, łapał adwersarza za uszy i z całej siły uderzał głową w jego głowę. Za kołnierz nie wylewali także mężczyźni, w których Peggy się zakochiwała. Największą słabość miała do besserwisserów. Pierwszy mąż, Laurence Veil, pozował na króla cyganerii. Przy bliższym poznaniu okazywał się męczybułą i furiatem. Popisowym numerem tego niespełnionego pisarza i artysty było wcieranie dżemu w czuprynę żony. Udawała, że nie robi to na niej wrażenia, co doprowadzało Laurence'a do szewskiej pasji. Żaden z partnerów Peggy, nawet Samuel Beckett, nie potrafił na dłuższą metę zdzierżyć jej zaborczości tudzież finansowej przewagi.

Gdy w 1979 r. lokatorka Palazzo dei Leoni rozstawała się z życiem, była już postacią anachroniczną. Nic nie starzeje się szybciej niż nowoczesność, więc modernizm znalazł się w ogniu krytyki. Nastała era przewartościowań i obalania pomników. Abstrakcję zaczęto nazywać ślepą uliczką w dziejach sztuki. Ostatnio wiatr znów zmienił kierunek, awangarda zdaje się wracać do łask. A największą ciekawość wzbudzają pokręcone życiorysy jej luminarzy.

Wydanie sążnistej biografii Peggy Guggenheim jest tego faktu kolejnym potwierdzeniem. Ze wszystkich cnót i wad, które Gill przypisuje muzie i sponsorce apostołów kulturalnej rewolucji, jedna zdaje się mieć szczególne znaczenie. „Miała dar bycia właściwą osobą we właściwym miejscu i właściwym czasie". Dodajmy do tego siłę dolara.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

KORZYSTNE CENY PRĄDU
DLA GOSPODARSTW DOMOWYCH

PGNiG

Masz dodatkowe pytania?
Wejdź na **www.pgnig.pl**
lub zadzwoń na naszą infolinię: **22 515 15 15**

Od 1 stycznia 2023 r. PGNiG Obrót Detaliczny zakończy sprzedaż energii elektrycznej dla gospodarstw domowych. Na czym polega nasza współpraca z wiodącymi sprzedawcami prądu?

GOSPODARSTWA DOMOWE SKORZYSTAJĄ Z ZAMROŻONYCH PRZEZ RZĄD CEN PRĄDU U NOWYCH SPRZEDAWCÓW

KLIENT NIE MUSI PODEJMOWAĆ ŻADNYCH DZIAŁAŃ – WSZYSTKO ODBĘDZIE SIĘ AUTOMATYCZNIE

KLIENT BĘDZIE MIAŁ ZAPEWNIONĄ CIĄGŁOŚĆ DOSTAW PRĄDU

BEZPIECZNIE I KORZYSTNIE DLA KLIENTA

Od 1 stycznia 2023 roku Klienci w gospodarstwach domowych, którzy dotychczas korzystali z oferty PGNiG Obrót Detaliczny w zakresie sprzedaży energii elektrycznej, otrzymają nowego sprzedawcę prądu. Cały proces nie wymaga od Klientów podejmowania żadnych działań – jest automatyczny, bezpieczny i korzystny cenowo.

WSZYSTKO ODBĘDZIE SIĘ AUTOMATYCZNIE
Jeżeli jesteś Klientem, który kupuje dla swojego gospodarstwa domowego energię elektryczną od PGNiG Obrót Detaliczny – ta informacja jest dla Ciebie. Od 1 stycznia 2023 roku otrzymasz automatycznie nowego sprzedawcę prądu – nie musisz podejmować jakichkolwiek działań. Cały proces przebiega we współpracy PGNiG Obrót Detaliczny z kluczowymi spółkami energetycznymi w Polsce. Największymi z nich są m.in. PGE Polska Grupa Energetyczna, Enea, Energa czy Tauron.

Nowego sprzedawcę prądu otrzymają także te gospodarstwa domowe, które do tej pory korzystały z oferty „Pakiet Prąd i Gaz". Wszyscy Klienci będą mieli także zapewnioną ciągłość dostaw prądu.

DZIĘKI TEMU SKORZYSTASZ Z NIŻSZYCH CEN!
Jaka korzyść płynie z tego rozwiązania dla Klienta? Dzięki objęciu gospodarstw domowych tzw. sprzedażą rezerwową Klienci skorzystają z zamrożonych przez polski rząd cen energii elektrycznej u nowych sprzedawców prądu.

Co ważne – będą to ceny kilkukrotnie niższe niż te, jakie musiałoby obecnie zaoferować PGNiG Obrót Detaliczny w wyniku trwającego kryzysu energetycznego.

Każdy Klient może także podpisać umowę z nowym sprzedawcą na wybranych przez siebie warunkach.

Pamiętaj! PGNiG Obrót Detaliczny nadal pozostaje wiodącym dostawcą gazu ziemnego w Polsce i ta informacja nie dotyczy Klientów, którzy kupują od PGNiG paliwo gazowe.

UWAGA! ZMIANA DOTYCZY TYLKO KLIENTÓW, KTÓRZY KORZYSTALI DOTYCHCZAS Z OFERTY SPRZEDAŻY ENERGII ELEKTRYCZNEJ PGNiG OBRÓT DETALICZNY (RÓWNIEŻ W OFERCIE „PAKIET PRĄD I GAZ"). PGNiG POZOSTAJE WIODĄCYM SPRZEDAWCĄ PALIWA GAZOWEGO W POLSCE.

Moja półka – moje zasady

Piotr Gociek

Kolejne firmy na polskim rynku wycofują się z wydawania płyt DVD. Widzę w tym zjawisku symbol odbieranej nam wolności. Kawałek po kawałku

List przyszedł drogą elektroniczną, jak to zwykle bywa w tych czasach. Zaczynał się od cytatu z Heraklita („Jedyną stałą rzeczą w życiu jest zmiana"), ale reszta była już bardzo współczesna. „Drodzy Państwo, nadeszło to, co nieuniknione... Po ponad 20 latach ekscytującej przygody z filmem wgranym na nośnik fizyczny żegnamy się z dystrybucją płyt DVD i Blu-ray" – napisała sympatyczna pani Anna z firmy Monolith. Redakcyjny kolega, gdy zreferowałem mu ową wiadomość, uniósł brwi w zdziwieniu: „Płyty DVD? To jeszcze jakieś się ukazują?".

Firma Monolith („Nieskromnie powiem, że byliśmy jednym z największych polskich dystrybutorów na rynku Home Video" – przypomina w liście pani Anna) napisała wprost to, co inni zrobili po cichu. W ostatnich latach liczba premier powoli się zmniejszała, ograniczano działania promocyjne. Czasy, w których premiery boxów DVD bywały celebrowane niczym premiery kinowe, odeszły w przeszłość. Podobnie jak gadżetomania, która niegdyś towarzyszyła dystrybucji DVD, wszystkie te pomysły, żeby włożyć produkt w wymyślne, nietypowe opakowanie, dołożyć figurkę, samochodzik, kolekcję slajdów i tak dalej. Zdaje się – i tu przyznaję rację redakcyjnemu koledze – że poza takimi dinozaurami jak ja nikogo nie interesuje zawartość kurczących się zapowiedzi premier na srebrnych krążkach. No, może jeszcze oprócz rodziców polujących na prezenty dla dzieci. Prawdziwy prezent musi być… prawdziwy, to znaczy nie jakiś tam kod do wpisania w telewizorze, tylko taki, który można dotknąć i postawić na półce. Jak płyta z ulubioną bajką.

Pandemia zabiła kino i przyczyniła się do rozkwitu serwisów streamingowych, te z kolei mordują rynek domowego wideo. Bo komu chce się jeszcze płacić za pojedynczą nowość na krążku kwotę, za którą może mieć miesięczny dostęp do popularnego serwisu VOD (wideo na żądanie)? A tam nie jeden film, tylko setki, tysiące. „Chociaż łza się w oku kręci... ekonomia jest nieubłagana". Tak, to też napisała pani Anna z Monolithu w swoim liście do dziennikarzy.

Dzisiejsze zmiany są naturalną konsekwencją wydarzeń ostatnich lat. Rynek domowego wideo w czasach, gdy płyta DVD byłą potęgą, opierał się na pięciu filarach. O pierwszym już wspomniałem: rozrywka familijna. Ten segment jeszcze działa, choć coraz skromniej. Segment drugi – premiery wielkich hitów kinowych. Te wciąż ukazują się na nośnikach przeznaczonych do użytku domowego, ale tracą – i będą lawinowo traciły – popularność z powodu polityki platform streamingowych, które dążą do maksymalnego skrócenia czasu między premierą kinową a premierą w Internecie. Niektóre już oferują takie premiery w tym samym czasie, inne (przoduje tu Disney+) przeniosły część premier tylko do Internetu.

OGROMNE STRATY

Trzecim segmentem rynku domowego wideo były edycje klasyki: zarówno komercyjnej, jak i ambitnej. Tu straty są

eprasa.pl 5fd6eaf378

FOT. ADOBE STOCK

ogromne, tego typu premiery ograniczają się dziś w Polsce niemal wyłącznie do recyklowania w kółko popularnych hollywoodzkich hitów sprzed lat (półka, na której stawiamy i „Przeminęło z wiatrem", i „Ojca chrzestnego", i rozmaite reedycje serii typu „Obcy", „Gwiezdne wojny", „Władca Pierścieni"). O przedsięwzięciach takich jak dawniejsze wydanie dzieł Felliniego czy Kurosawy trudno marzyć, pojedyncze wydania filmów art-house'owych stały się rzadkością.

Segment czwarty: sieczka, mielonka, masówka, jak zwał, tak zwał. Chodzi o olbrzymią większość filmów, które albo przemknęły szybko przez ekrany kin, lecz nie wzbudziły wielkiego entuzjazmu, albo których w kinach nie było w ogóle. Widz, zwłaszcza kina gatunków, jest uzależniony od stałych dawek ukochanego produktu – udany czy nieudany, odpowiednia liczba kryminałów, horrorów, wyciskaczy łez itp. musi zostać wprowadzona do organizmu. Ta masówka także dziś wypełnia zakładki serwisów streamingowych, a coraz rzadziej trafia na płyty DVD czy Blu-ray.

Wreszcie segment piąty: seriale. Część z nich trafia na nośniki domowe, część nie; to też jest element nowej strategii gigantów świata rozrywki i potentatów streamingu. Wszystko sprowadza się do wyboru: czy lepiej zarabiać, dopuszczając edycję na dyskach, czy strzec zazdrośnie swoich sztandarowych produkcji, czyniąc je na innym rynku niedostępnymi – co zmusza potencjalnych widzów do subskrypcji. Oczywiście ten drugi model ma lepszą przyszłość, bo przywiązuje klienta na dłużej. Problem w tym, że tak zbudowany rynek nie jest już wspólnym rynkiem rozrywki i sztuki. Rozpada się na bańki, których użytkownicy tracą kontakt z tytułami, które dostępne są na wyłączność dla użytkowników innej bańki. A nikogo nie stać przecież, żeby wykupić abonament do wszystkich możliwych dostępnych serwisów.

NIE POSIADAĆ NICZEGO?

Na razie mnogość tych serwisów jest namiastką mechanizmu ratującego rynek domowego wideo – coraz częściej filmy, które trafiają do dystrybucji kinowej, są potem udostępniane jednocześnie w kilku serwisach VOD. Czasem trudno się zorientować, gdzie i czego szukać, podpowiadam więc użyteczne narzędzie – na stronie Upflix.pl po wpisaniu tytułu filmu wyskakuje nam informacja, w jakich serwisach i za jaką opłatą jest dostępny. Nie zmienia to faktu, że następuje na naszych oczach bardzo istotna zmiana. Po pierwsze, następuje upośledzenie kulturowe, bo filmy ambitniejsze, które można było kupić w wersji DVD, rzadko kiedy trafiają do popularnych serwisów streamingowych. Już dziś efekt jest taki, że niektóre wydawane w ostatnich dwóch dekadach tytuły osiągają astronomiczne ceny na portalach aukcyjnych. Są do zdobycia tam – albo nigdzie. Oczywiście muszę te rozważania uzupełnić o bardzo ważne rozróżnienie: piszę o kłopotach na rynku polskim. Rynek anglojęzyczny, o wiele rozleglejszy, kłaść do grobu płyt DVD i Blu-ray nie zamierza. A najszybciej rozwijającą się jego częścią są edycje filmów, które bywały dotąd przed masowym odbiorcą ukryte – perły z lamusa.

Kolejna zmiana: w chwili, gdy eliminowany jest trwały nośnik z filmem, widz zamienia się z właściciela w dzierżawcę. To zjawisko charakterystyczne dla współczesnej gospodarki, która dąży do uzależnienia od siebie użytkowników poprzez rozmaite systemy abonamentowe. W chwili, gdy kupujesz film na płycie, stajesz się właścicielem przedmiotu, który posiada określoną wartość. Może ona spaść lub wzrosnąć, ale istnieje. Możesz więc taki przedmiot sprzedać, a odzyskane pieniądze zainwestować w inny sposób. Albo schować do skarbonki. Tak czy inaczej, pozostajesz nabywcą właścicielem. W chwili, gdy dostęp do tego samego filmu otrzymujesz poprzez subskrypcję jakiegoś serwisu VOD, otrzymujesz jedynie prawo do jego obejrzenia tak długo, jak płacisz swój miesięczny haracz, i tak długo, jak tytuł jest w wybranym serwisie dostępny. Na to, czy i jak długo będzie dostępny, nie posiadasz wpływu. Zmiana jest fundamentalna. Serwisy streamingowe teoretycznie kuszą nieograniczonym wyborem – w istocie twój wybór ograniczają.

Powyższe zjawisko niesie ze sobą jeszcze jedno zagrożenie, dużo poważniejsze, bo związane z wolnością wypowiedzi artystycznej. Ustępując przed żądaniami agresywnych grup ideologicznych, serwisy VOD zaczynają swoje zasoby cenzurować. Z seriali komediowych znikają odcinki uznane nagle za zbyt ryzykowne (czytaj: stojące na bakier z polityczną poprawnością). Niektóre filmy opatrywane są „reedukacyjnymi" wstępami czy planszami ostrzegawczymi, ale inne nie trafiają do współczesnej dystrybucji wcale. Spoglądam na półki domowej filmoteki: to, co kupiłem, stoi na nich i nigdzie się nie wybiera, w każdej chwili sięgnąć mogę po filmy Mela Brooksa, po stare boxy Louisa C.K., po pełne sezony sitcomów, których nie wykastrowano z najlepszych żartów, po występy stand-uperów uznawane dziś za niedopuszczalne i skandaliczne. A także po niegłupie filmy, które kiedyś opłacało się komuś wydać nawet jako dodatek do gazety, a które dziś są ignorowane przez gigantów streamingu.

Łatwo kpić ze śmierci płyt DVD, tak jak śmialiśmy się z odejścia w przeszłość kaset VHS. Ale te wąskie pudełka ze srebrnymi płytami, zakurzone, stojące na moich i waszych półkach, pochowane w piwnicznych pudłach, upchnięte w pawlaczu, okazują się bastionem walki o wolność słowa i artystyczną ekspresję. To, co posiadamy, odebrać nam trudno. Dlatego współczesny show-biznes przykłada wielką wagę do tego, byśmy nie posiadali niczego. Jedni chcą po prostu zarobić na niekończących się subskrypcjach, inni – meblować nam głowy. Strzeżmy się jednych i drugich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO max

Wyspy w klatce

★★★★★★

REŻ. STEPHEN KARAM
„LUDZIE" („THE HUMANS")
USA 2021

wyst. Richard Jenkins, Beanie Feldstein, Amy Schumer

Podobnie jak chwalony i nagradzany „Ojciec" Floriana Zellera film „Ludzie" to kinowa wersja hitu teatralnego. I podobnie jak w przypadku „Ojca" przeniesienia dramatu na duży ekran dokonał sam autor tekstu. Stephen Karam zdobył za „Ludzi" nagrodę Tony w 2016 r. (laur dla najlepszej sztuki roku). Film miał amerykańską premierę jesienią ubiegłego roku, u nas przemknął niedawno przez kina studyjne, by zniknąć w czeluściach HBO Max, skąd niniejszym próbuję go wydobyć.

„Ludzie" przynależą do dwóch trudnych podgatunków: po pierwsze, chamber stories, czyli dramatów rozgrywanych w niewielkiej, zamkniętej przestrzeni (niekiedy w czasie rzeczywistym), i po drugie, historii o rodzinnych spotkaniach, które przechodzą w psychodramę. W pierwszym przypadku wymagana jest maestria realizacyjna, by rzecz nie stała się zwyczajnie nudna; w drugim maestria scenariuszowa, bo chwyt jest mocno zużyty. W tym przypadku Stephen Karam zapewnia nam jedno i drugie. Opowieść o Święcie Dziękczynienia w rodzinie Blake'ów to bezlitosna analiza międzyludzkich relacji; analiza, która zamienia się wręcz w wiwisekcję.

Poruszamy się gdzieś pomiędzy „Rzeźnią" Romana Polańskiego a okrutnymi filmami Michela Hanekego, jednak Stephen Karam, kinowy debiutant, okazuje się od nich odważniejszy i bardziej nowatorski. W „Ludziach" kolejną osobą dramatu jest przestrzeń, w której historia została opowiedziana. Ponure, zapuszczone mieszkanie w nowojorskiej czynszówce zdaje się żyć własnym życiem, jego układ nie jest dla nas do końca jasny, przestrzeń w filmie Karama rządzi się prawami jak z koszmaru sennego. Nie jest to horror, ale dostajemy coś w rodzaju upiornego, nawiedzonego domu. Tym, co go nawiedza, są bohaterowie i ich problemy, z którymi nie potrafią sobie poradzić. Mają nawet kłopot z ich komunikowaniem: dramat „Ludzie" znajduje się na biegunie przeciwnym do krzepiących opowieści o tym, że w najbliższych znajdujemy oparcie, i w efekcie remedium na nasze kłopoty. Lekcja Karama jest inna: skoro nie potrafimy się komunikować, nie możemy podzielić się naszymi tragediami, to jesteśmy zatem skazani na samotność i cierpienie w samotności. Unieważnia Karam Hemingwaya – każdy człowiek jest samotną wyspą, więc „Ludzie" to okrutny film o okrutnych czasach. ©℗

NOWE SERIALE: „THE CROWN"

Piąty sezon telewizyjnej sagi o brytyjskiej rodzinie królewskiej rządzi się prawami bajki o skrzywdzonej księżniczce. Zatem księżniczka musi być piękniejsza i bardziej bajkowa niż naprawdę (Elizabeth Debicki w roli księżnej Diany), a domniemani krzywdziciele odpowiednio odrażający (Imelda Stanton jako królowa Elżbieta II ma charyzmę sklepikarki, a Jonathan Pryce kreuje cokolwiek skarlałą wersję księcia Filipa). Historyczna akuratność poszła do kosza, m.in. za sprawą wątku rzekomego spisku księcia Karola (dobra rola Dominica Westa) przeciw własnej matce. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***sezon 5 „The Crown", Wielka Brytania 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 2* ***„Kulawe konie" („Slow Horses")*** *(2 grudnia)* tv
- *sezon 1* ***„Riches"****, USA 2022 (2 grudnia)* prime video
- ***„Zakłamanie" („Tell Me Lies"),*** *USA 2022* Disney+
- *sezon 1* ***„Wednesday"*** *(spin-off „Rodziny Addamsów")*

eprasa.pl 5fd6eaf378

Oszukują nas!

HBO max

Feministyczny manifest w kostiumie dreszczowca. W Hollywood nie od dziś panuje moda na dekonstruowanie landrynkowego wizerunku USA czasów powojennej prosperity. Dzięki produkcjom typu „Daleko od nieba" i „Green Book" wiemy już, że była to kraina zarządzana przez męskich szowinistów, terroryzujących Bogu ducha winnych Murzynów, homoseksualistów i kobiety. Nic więc dziwnego, że w filmie Olivii Wilde amerykański sen okazuje się koszmarem. Główna bohaterka, tak jak inne rezydentki wzorcowego osiedla Victory, spełnia się jako kura domowa. Mężowie pracują na skraju pustyni nad tajnym projektem, który „zmieni świat". Z czasem Alice zaczyna coś podejrzewać. Na przekór propagandzie („tutaj możecie wieść życie, na jakie zasługujecie", „piękno tkwi w kontroli") zapuszcza się w rejony zakazane. Pugh, aktorskie odkrycie ostatnich lat, robi, co może, by uwiarygodnić szytą grubymi nićmi fabułę. Nie oparła się jednak pokusie wykorzystania braku doświadczenia ekranowego partnera (z zawodu piosenkarza) i całkiem go zdominowała. To wersja optymistyczna. Według pesymistycznej Florence zemściła się na Stylesie, bo na planie najpierw romansował z nią, a potem rozbił rodzinę pani reżyser. Oto feminizm w praktyce. Szczęśliwie na wysokości zadania stanęli autorzy zdjęć i oprawy muzycznej, mężczyźni. ©℗

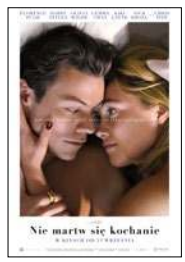

★★☆☆☆☆

REŻ. OLIVIA WILDE
„DON'T WORRY, BABY" („NIE MARTW SIĘ, KOCHANIE")
USA 2022

wyst. Florence Pugh, Harry Styles, Chris Pine

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TATA NIE PŁACI

KINO

Masz już po dziurki w nosie „feel-good movie"? Rzuć okiem na nowe dzieło Ulricha Seidla. „Rimini" jest filmem dość lajtowym jak na reżysera brutalistę, uwielbiającego psuć dobre samopoczucie (zwłaszcza Austriakom). Sporo scen poraża turpizmem, ilustrując nośną społecznie tezę, że co jak co, ale starość się panu Bogu nie udała. Kurort w martwym sezonie jest idealnym tłem dla upadłego szansonisty, który odcina kupony od dawnej sławy, emablując zaawansowane wiekowo fanki. Nie jest to eldorado, lecz na alkohol, fajki i apartament blisko plaży (chwilowo zaśnieżonej) wystarcza. Richie Bravo sprawia wrażenie niezdolnego do autorefleksji kabotyna. Do czasu, gdy na horyzoncie pojawi się zapomniana, 18-letnia córka. On zaoferuje pojednanie, ona jednak domaga się kasy. Stara Europa bardziej powinna się bać samotności niż imigrantów – diagnozuje Seidl, potwierdzając swoją reputację prowokatora. ©℗

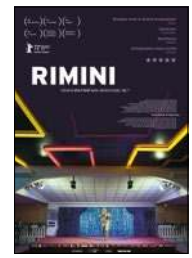

★★★★☆☆

REŻ. ULRICH SEIDL
„RIMINI"
NIEMCY/ AUSTRIA/ FRANCJA 2022

wyst. Michael Thomas, Tessa Göttlicher, Hans Michael Rehberg

ŻURAW I CZAPLA

arte

Poznali się w 1958 r. na planie „Christine". Ona miała 19 lat i gwiazdorski status w strefie niemieckojęzycznej po tym, jak wcieliła się w cesarzową Sissi. On był ciut starszym żigolakiem, szlifującym bruki na placu Pigalle. Potem role się odwróciły. Delon, grając zimnego drania, stał się bożyszczem, a Schneider występowała w ambitniejszym repertuarze. Nie stanęli na ślubnym kobiercu. On skakał z kwiatka na kwiatek, a ona zakochiwała się w reżyserach i partnerach z planu. Rozstanie słynnej pary zmartwiło Francuzów i ucieszyło Niemców (ach, te historyczne zaszłości!). Zawodowe i prywatne ścieżki Romy i Alaina nadal się przecinały. Mieli zagrać w filmie inspirowanym historią ich związku. Opatrzność zdecydowała inaczej. Poczytnych onegdaj autorów przed zapomnieniem bronią już tylko ich biografie. Czyżby ten sam los czekał popularnych aktorów? ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. OLIVIER MONSSENS
„ROMY I ALAIN – WIECZNI NARZECZENI" („ROMY ET ALAIN, LES ÉTERNELS FIANCÉS")
FRANCJA/BELGIA 2022

GRA TYGODNIA: „POKÉMON SCARLET/VIOLET"

★★★★☆☆

Trzy gry z pokemonami rocznie to dla Game Freak chyba za dużo. „Scarlet/Violet" mogła być najlepszą odsłoną serii od lat, ale programistom ewidentnie zabrakło czasu. Kłopoty techniczne i brak płynności (choć granie w trybie przenośnym wypada pod tym względem nieźle) przy kiepskiej grafice bywają irytujące, ale najnowsza odsłona serii łącząca najlepsze mechaniki z „Arceus" (szkoda, że zabrakło łapania pokemonów bez rozpoczynania walki) z klasycznym zdobywaniem odznak, nowe pokemony i świeże rozwiązania, a przy tym dość rozbudowana jak na pokemony fabuła i bardziej otwarty niż kiedykolwiek świat sprawiają, że do gry powraca się chętnie. Brać i grać, czasem tylko przymykając oczy.

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Pokemony*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch*
- ***Producent; wydawca PL:*** *Game Freak, ConQuest Entertainment a.s.*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5fd6eaf378

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Twardoch pisze po polsku

Rok temu pisałem w tym miejscu o absolutnie wyjątkowej książce – „Golgocie narodów" Jerzego Gajdzińskiego, opowieści autora o jego życiu w łagrach i ucieczce z Workuty. Z opisu tej tułaczki po nieludzkiej ziemi, obfitującej w miejscami wręcz nieprawdopodobne zdarzenia, wynika, że z całą pewnością nie zakończyłaby się ona powodzeniem, gdyby nie pomoc, której zbieg doznał od Nieńców, syberyjskiego ludu znanego nam wcześniej głównie dzięki Wacławowi Sieroszewskiemu.

„Golgota narodów" miała ogromne trudności wydawnicze, wydana została w śladowym nakładzie, a i dziś, choć egzemplarze książki są już dostępne, znana jest nielicznym czytelnikom. Za to przebojem na nasze listy bestsellerów weszła najnowsza powieść Szczepana Twardocha „Chołod" – o polarnych przygodach zbiega z łagru, pochodzącego z Górnego Śląska ekskomunisty, weterana wojny 1920 r., w której walczył – jakżeby inaczej – po stronie bolszewii, wcześniej krótko kadeta i esera, a także marynarza Hochseeflotte i górnika, a w rezultacie zeka, w momencie ucieczki z obozu po ośmioletniej odsiadce pogubionego w czasie, niewiedzącego, kto wygrał wojnę, o której informacja przypadkowo do niego dotarła, a i niepewnego, czy po łagiernych przejściach jest jeszcze człowiekiem czy już nie.

Konrad Widuch, bo tak się ten bohater powieści nazywa, korzystając z okazji, zabija strażników, dwóch straszliwych współtowarzyszy ucieczki, których jak najsłuszniej podejrzewa, że zabrali go ze sobą wyłącznie w celach konsumpcyjnych, trzeciego okrutnie okalecza, a następnie wlecze ze sobą tego wora-kalekę, spotyka na swej drodze jeszcze jednego potwora, tym razem płci przeciwnej, też zbiegłą z łagru błatną, i w tej doborowej kompanii docierają do zapomnianej przez Boga i ludzi osady nazywanej przez mieszkańców Chołodem. Żyje tam tajemniczy lud niemający pojęcia o współczesnym mu świecie, o Leninie i Stalinie niesłyszący, zajęty polowaniem na foki i niedźwiedzie, rozmnażaniem się i wprowadzaniem w euforyczny stan za pomocą grzybów i sfermentowanych jagód. Od sąsiednich plemion drogą barterową uzyskiwał jednak bimber, a i, rzadziej, wódkę, co dowodzi, że jednak zdobyczami cywilizacyjnymi był w jakimś stopniu zainteresowany.

FOT. ZBYSZEK KALCMAREK/REPORTER

Co się z Widuchem stało, jakie były dalsze jego losy, czytelnik dowie się z powieści, w której najwięcej jest okrucieństwa i dewiacji, a także świadczących o niemałej erudycji i wyobraźni autora opisów obyczajów społeczności, powiedziałbym, okołojakuckich. Przy okazji, bo powieść rozgrywa się w dwóch planach, Twardoch serwuje nam wiadomości nabyte w swoich wyprawach polarnych, nieco przynudzając opowieściami żeglarskimi. Żeby też nie było wątpliwości, już na samym początku jasno stawia sprawę, że choć pochodzi z Polski, to nie jest Polakiem, ale tym razem nie wdaje się w zawiłe kwestie „złożonych tożsamości etnicznych dawnego polsko-niemiecko-czeskiego pogranicza".

Swojemu bohaterowi każe spisywać wspomnienia po polsku, gdyż okazało się – tłumaczy Widuch – „że ten polski całkiem podobny do tej naszej godki, chociaż bardziej taki nadęty, trochę jakby taki śmiesz-ny hrabia jakiś mówił i mnie się zdaje, że przez to nadęcie bardziej do pisania zdatny, chociaż mówić po polsku strasznie głupio i mnie zawsze mówić po polsku było wstyd, bo jak człowiek po polsku mówi, z tymi wszystkiemi panami i paniami, ą i ę, to brzmi od razu, jakby się nadął niczym jakiś polski szlachcic i jakby mały paluszek przy piciu herbaty odchylał niczym skrzydełko ptaszyny delikatnej, no groteskowo człowiek brzmi, jak po polsku mówi, jak pajac zawsze, a po naszemu to jak trzeba, normalnie, bez nadymania się, jak swój człowiek, normalnie. I po rosyjsku też normalnie, bez nadęcia, bez panów i pań, i ą, i ę, jak chłop albo baba, normalni, a nie jakieś tam państwo chuj ich tam wie co". Na marginesie: „chujów" w tej powieści jest więcej niż czegokolwiek innego.

„Chołod" Szczepana Twardocha kończy się wyjaśnieniami autora, dlaczego m.in. zastosował taką, a nie inną pisownię niektórych fragmentów książki, uprawdopodabnia też, na ile to możliwe, postać bohatera powieści. Pisarz nie kryje, że najwięcej trudności sprawia mu wymyślenie teorii tłumaczącej zbieg okoliczności, dzięki któremu spotkać miał rzekomo w arktycznych lodach córkę uciekiniera z sowieckiego łagru, „pochodzącego – jak się dowiedział – z Pilchowic i noszącego nazwisko popularne w Przyszowicach, skąd pochodzą rodziny moich rodziców, nazwisko, które nosiła również moja prapraprababka, więc może mojego dalekiego kuzyna?". „No cóż – komentuje Twardoch w swojej niepowtarzalnej stylistyce – gdybym był przedstawicielem polskiej szkoły reportażu, zrobiłbym tak bez wątpienia, w końcu polega ona na zmyślaniu, ja jednak jestem tylko powieściopisarzem i prawda bywa dla mnie ważniejsza od dobrej książki".

Kto wie, może ktoś się na te słowa nabierze? ©℗

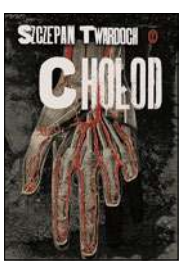

★★★★☆

SZCZEPAN TWARDOCH „CHOŁOD" WYDAWNICTWO LITERACKIE, KRAKÓW 2022

eprasa.pl 5fd6eaf378

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne

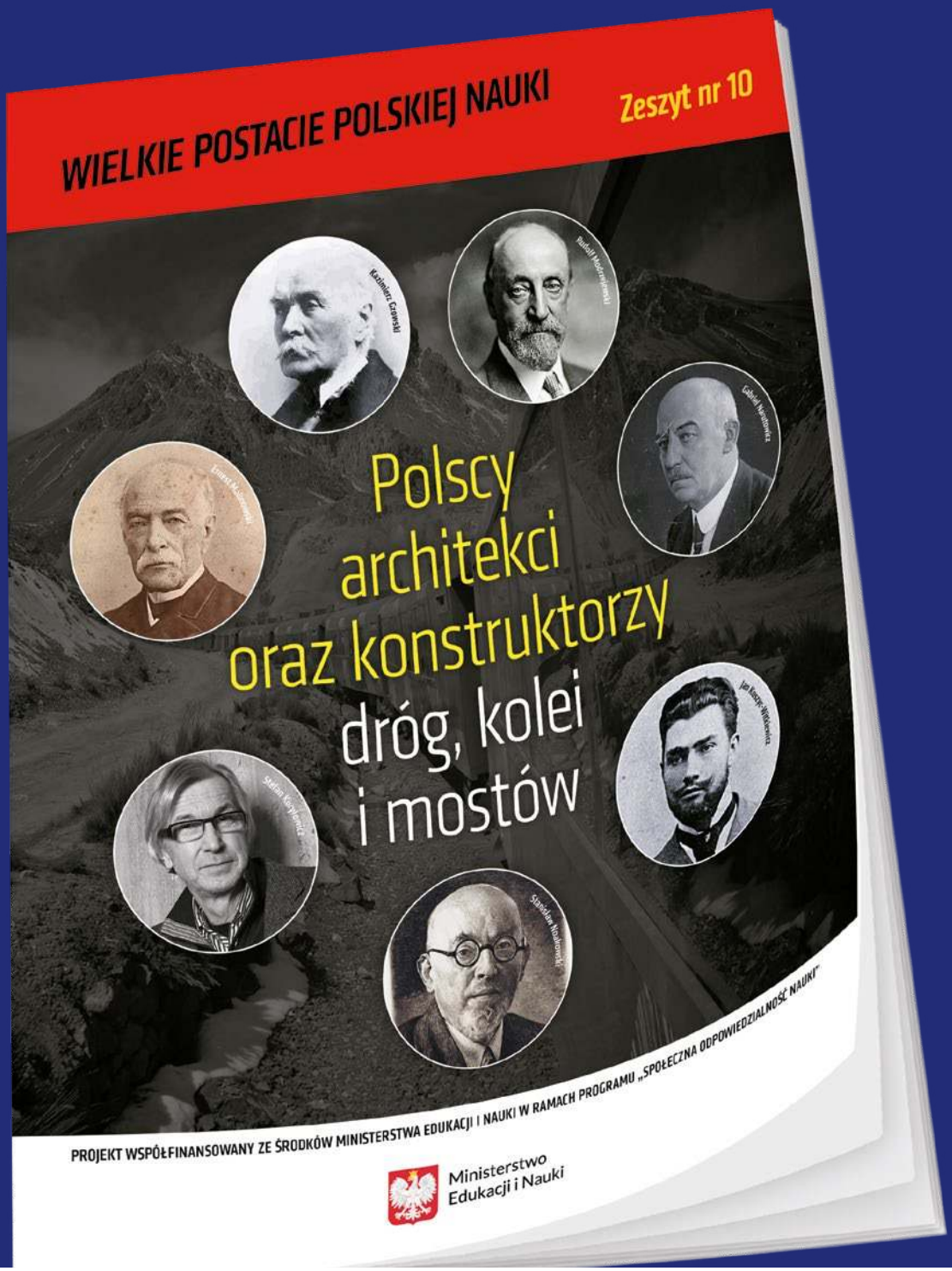

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo Edukacji i Nauki

eprasa.pl 5fd6eaf378

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ferajna Coppoli

Zaprzysięgli fani kina znają z grubsza tę historię. Jej poszczególne fragmenty znalazły się w książeczce Maria Puzo „The Godfather Papers" opisującej pisanie powieści „Ojciec chrzestny" i jej późniejsze losy. Punkt widzenia producenta, Roberta Evansa, znamy z jego książki „Hazardzista z Hollywood", która jest nie tylko barwną biografią jednego z najciekawszych bohaterów w dziejach fabryki snów, lecz także spojrzeniem głęboko za kulisy ratowania wytwórni Paramount Pictures (oraz z dokumentalnego filmu o Evansie „The Boy Stays in the Picture"). Materiały dodatkowe ze specjalnych edycji DVD i Blu-ray trylogii „Ojciec chrzestny" przynoszą punkt widzenia reżysera, Francisa Forda Coppoli. Mocno spierali się na temat tego, kto jest ojcem sukcesu; Evans twierdził, że to dopiero jego montaż nadał filmowi odpowiedni kształt, Coppola tę wersję wydarzeń zdecydowanie odrzuca.

Książka Marka Seala „Zostaw broń, weź cannoli. Kulisy powstania filmu »Ojciec chrzestny«" łączy wszystkie te wątki, rozproszone wypowiedzi i przeciwstawne punkty widzenia. Autor (znany także z książek non-fiction „Dziki kwiat" oraz „Dziwny przypadek Rockefellera") dołożył do tego jeszcze kawał reporterskiej roboty, to znaczy solidny research oraz wiedzę z wywiadów, które przeprowadził. A wśród rozmówców znaleźli się i zwaśnieni Evans oraz Coppola, i syn Maria Puzo, i aktorzy, i inni członkowie ekipy.

Czy lekko napisana i pełna krwistych anegdot oraz zabawnych wspomnień zmienia jakoś fundamentalnie naszą wiedzę na temat fenomenu, którym jest głośny film? Niespecjalnie, ale czyta się to wszystko kapitalnie. Teza o tym, że mamy do czynienia z najwspanialszym filmem rodzinnym w historii, broniącym w dodatku tradycyjnych wartości, świeża nie jest, ale liczne wypowiedzi – owszem. Zważmy przecież, że „konsultantem" był prawdziwy mafioso Joe Colombo, z którym otwarty kanał komunikacji utrzymywał producent Albert S. Ruddy.

Nie wiem, czy nie ciekawszy jest nakreślony przy okazji obraz tego, jak długiej serii zbiegów okoliczności, cudów, wysiłków (udanych i nieudanych) wymaga powstanie filmu, zwłaszcza tak ryzykownego i nietypowego jak „Ojciec chrzestny". Wszystko mogło wyglądać zupełnie inaczej albo nie wyglądać wcale. A jak się ostatecznie wydarzyło? O tym opowiada Mark Seal. ©℗

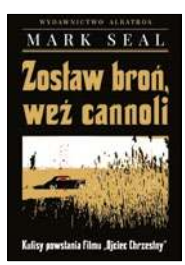

★★★★☆☆
MARK SEAL „ZOSTAW BROŃ, WEŹ CANNOLI" WYDAWNICTWO ALBATROS 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Jak Rosja została młodszym bratem Chin", czyli kronika zmiany, której jedni oczekiwali, w którą inni powątpiewali, a którą przyspieszyła wojna wydana Ukrainie przez Rosję. Fascynująca opowieść pióra wielkiego znawcy tematu.

MICHAŁ LUBINA „NIEDŹWIEDŹ W OBJĘCIACH SMOKA" WYDAWNICTWO OTWARTE

„Niezwykła droga i podstawy jej przemierzania" – tak ks. Piłat opisuje cel, który przyświecał mu podczas pisania. Przystępny styl, pasja kaznodziejska i talent pedagogiczny łączą się w mądrą opowieść o sztuce odnajdywania Boga.

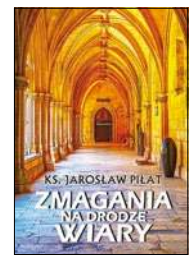

KS. JAROSŁAW PIŁAT „ZMAGANIA NA DRODZE WIARY" WYDAWNICTWO BERNARDINUM

Jedna z najważniejszych postaci literatury japońskiej pierwszej połowy XX w., postać otoczona w Japonii kultem niczym Mishima. Tom w wyborze Mikołaja Melanowicza zawiera 16 najpopularniejszych opowiadań autora.

OSAMU DAZAI „OWOCE WIŚNI" CZYTELNIK

Zamiast oglądać setną ekranizację Dickensa, warto zerknąć na zapomnianą klasykę. W tym zbiorze świątecznych opowieści o uwagę proszą m.in. Jerome K. Jerome i Ellen Wood, a z zapominanych Polaków – Jan Barszczewski. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

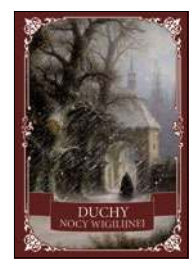

AUTORZY RÓŻNI „DUCHY NOCY WIGILIJNEJ" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „GIACOMO C."

„Maska w mrocznej paszczy" i „Upadek anioła" to opublikowane w jednym tomie dwa pierwsze albumy serii „Giacomo C.", udanego skrzyżowania komiksu historycznego i kryminału. Cykl był wielkim sukcesem na ryku francuskojęzycznym, w latach 1988–2002 ukazało się 15 albumów (potem jeszcze dwa tomy kontynuacji). Scenariusz pełen zaskakujących zwrotów akcji i przepełniony miłością do dawnej Wenecji jest dziełem Jeana Dufauxa, znanego m.in. jako autor serii „Skarga Utraconych Ziem", „Murena" czy „Drapieżcy". ©℗

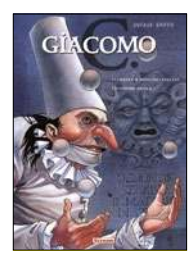

DUFAUX, GRIFFO „GIACOMO C." SCREAM COMICS 2022

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 5fd6eaf378

SUPERBOHATER ZE ŚCIANY WSCHODNIEJ POWRACA!

Bagnet wyciągnięty zza cholewy utoczy znów wrażej juchy, a aparatura w piwniczce radośnie wybulgocze melodię do taktu. Czas rozgarnąć ziemniaki w kopcu i powybierać granaty. Strzeżcie się!

Pekaesem z Chełma nadjeżdża on: pocieszyciel strapionych, bat na namolnych, mistrz kołka i linki hamulcowej...

JAKUB "MROCZNA USZANKA"

WĘDROWYCZ

Patroni medialni

STREFA CZYTACZA

fabryka słów

PANANIMACJA

JUŻ W KSIĘGARNIACH!

eprasa.pl 5fd6eaf378

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Nordycka perspektywa

Pierwsza w tej części Europy przekrojowa wystawa sztuki nordyckiej przełomu XIX i XX w. jest efektem projektu „Przesilenie. Malarstwo Północy 1880–1910", realizowanego przez Muzeum Narodowe w Warszawie we współpracy z Gothenburg Museum of Art. Zgromadzono na niej dzieła najistotniejszych artystów ze Szwecji, z Danii, Norwegii, Finlandii i Islandii, by przybliżyć nie tylko dość jeszcze mało znane w Polsce malarstwo Północy, lecz także historię krajów tego regionu.

„Fascynująca sztuka krajów Północy przełomu XIX i XX w. zyskała międzynarodowe uznanie publiczności i specjalistów dzięki świetnym wystawom zorganizowanym w ostatnich dekadach zarówno w krajach skandynawskich, Europie Zachodniej, jak i w USA. Od tego czasu dzieła malarzy skandynawskich eksponowane są w stałych galeriach najważniejszych muzeów na świecie" – piszą organizatorzy wystawy. I dodają: „Mamy nadzieję, że prezentacja przyczyni się do zmiany w postrzeganiu sztuki tego okresu, w którym wciąż dominuje perspektywa zachodnioeuropejska". ©℗

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

GDZIE? *Muzeum Narodowe w Warszawie*
KIEDY? *do 5 marca 2023 r.*

FOT. MUZEUM SZTUKI I TECHNIKI JAPOŃSKIEJ MANGGHA

NIEPRZEBRANE INSPIRACJE

Kimono – jeden z najbardziej rozpoznawalnych strojów na świecie, wyraz tożsamości narodowej, najwyższej klasy rzemiosło artystyczne, a niejednokrotnie również dzieło sztuki. Na wystawie „KIMONO. Nieprzebrane inspiracje" zgromadzono kimona z XX i XXI w. Od kimon z okresów Taishō (1912–1926) i Shōwa (1926–1989), kiedy to moda zmieniała się dynamicznie pod wpływem modernizacji Japonii, do czasów współczesnych, a także przykładów poszukujących nowych interpretacji kimona. ©℗

GDZIE? *Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie*
KIEDY? *do 10 kwietnia 2023 r.*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Pamiętnik pewnej miłości

Na tym trwającym zaledwie 22 minuty minialbumie Monika Brodka po raz pierwszy od 12 lat zaśpiewała po polsku. Wygląda na to, że 34-latka mogła wyrazić emocjonalny przekaz tych siedmiu piosenek tylko w rodzimym języku.

Na „Sadzy" Brodka nie skrywa się już za fikcyjnymi postaciami i maskami. Jak nigdy dotąd odkrywa przed nami swe emocjonalne wnętrze. Wbrew intensywności uczuć i wspomnień płyta utrzymana jest w stonowanym nastroju. Wokalistka nie tylko nie krzyczy, lecz także do nas szepcze. Miałem wrażenie uczestniczenia w przesłuchaniu, którego głównym oskarżonym jest… miłość. Zarówno ta szalona, jak i ta niewinna, ale też bolesna i raniąca.

Tajemniczy klimat otwierającego album „Wpław" wprowadza nas do tego emocjonalnego thrillera. „Głowę miał w chmurach / Oczy skąpane w maśle" – dowiadujemy się we wstępie. Jednak wers „Płyniemy dziką rzeką wpław / I zbliża się burza" może już zaniepokoić. W piosence „Taka to zima" usłyszymy „Sparzyłeś mój zapał do wiosny", co nie brzmi już wesoło. Erotyczna, tytułowa „Sadza" („Masz w sobie cechy skurwysyna i ojca") jest chwilą również muzycznego zatracenia. „Utrata" nie pozostawia już złudzeń („Straciłam to, co było wgrane"). Singlowa „Monika" wypada w tym zestawieniu najbardziej niewinnie. „To oda do młodości – tłumaczy Brodka – i dzikich czasów eksploracji, gdzie spontaniczność góruje nad logiką". ©℗

★★★★★☆
BRODKA
„SADZA"
KAYAX

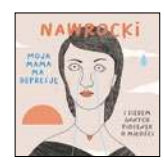

★★★★★☆
NAWROCKI
„MOJA MAMA MA DEPRESJĘ I SIEDEM INNYCH PIOSENEK O MIŁOŚCI"
LAUDANUM

Te piosenki „są estetycznym nieposłuszeństwem wobec ekspansywnego kultu młodości, nowości i nieśmiertelności" – oświadcza lider zespołu Kobiety. Osiem spowiedzi outsidera. Niby nic, niby mnie nie dotyczy, a oderwać się ciężko. ©℗

★★★★☆☆
VOO VOO
„PREMIERA"
AGORA

Pięćdziesiąty album Voo Voo, nie licząc składanek! Wojciech Waglewski wciąż zmaga się ze światem i tworzy intymny azyl dla czystych uczuć. Tym razem jest jakby bardziej gorzko, nostalgicznie i tradycyjnie. Staromodna płyta dla wiernych fanów, którzy starzeją się wraz z zespołem. ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA
I IDEOLOGIA LGBT

DODATEK SPECJALNY – część 15

Od płynnej rzeczywistości do płynnej płci

- Prawne aspekty zmiany płci
- Sport w imię ideologii?
- Zmień płeć, będziesz fajny

FOT. ADOBE STOCK

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 5fd6eaf378

Prawne aspekty „zmiany

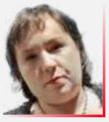

Weronika Kudła

Obrany przez wiele państw zachodnich kierunek zmian w procedurze prawnej zmiany płci, która ma być przede wszystkim tania, łatwa pod względem formalnym, szybka w realizacji i dostępna dla każdego bez ograniczeń wiekowych, przybliża nas coraz bardziej ku zasadniczemu pytaniu o pewność takiego prawa

Możemy się zastanawiać, dlaczego niektórzy ludzie są transseksualistami. Możemy proponować wszelkiego rodzaju teorie lub opowiadać ciekawe historie o tym, jak można być „trans". Ostatecznie jednak musimy po prostu przyjąć, że pewna niewielka część populacji (być może włączając nas samych) jest po prostu taka, a nie inna. Transpłciowość (ang. transgender) to słowo, które ze sfery całkowicie prywatnej, ukazywanej głównie z perspektywy medyczno-psychologicznej, weszło do powszechnego użytku dopiero kilka dekad temu. W akronimie LGBT+ to właśnie sekcja „T" określa osoby, które odchodzą od płci przypisanej im przy urodzeniu, przekraczając granice płciowości „narzuconej" im przez biologię.

Silne poczucie przynależności do płci innej niż ta wpisana w akt urodzenia to nie tylko problem dotyczący sfery wewnętrznej, osobistej, lecz także w coraz większym stopniu jest to właśnie zagadnienie społeczne, kulturowe, religijne, wreszcie – również prawne. Odejście od oznaczonej w akcie urodzenia płci męskiej albo żeńskiej stanowi bowiem naruszenie żelaznych i do niedawna niepodważalnych praw logiki, według których dzielenie ludzi na mężczyzn i kobiety to wzorcowy przykład poprawnego podziału logicznego spełniającego warunki rozłączności i zupełności. Wzdłuż linii tak przyjętego właśnie rozróżnienia funkcjonuje większość społeczeństw, co znajduje swoje konkretne odzwierciedlenie w przyjętych przepisach prawnych kształtujących różne dziedziny funkcjonowania człowieka w życiu publicznym.

Choć dysonans między płcią biologiczną a psychiczną istniał od zarania dziejów ludzkości, to dopiero od końca XIX w. zaczęto się zajmować transpłciowością na polu naukowym. Sam termin „transseksualność" został po raz pierwszy użyty dopiero na początku XX w. jako rezultat postępów w medycynie, dla której przerwanie ciągłości tkanek za pomocą skalpela przestało być już synonimem nieuniknionej śmierci. Dużą zasługę w tym miał niemiecki lekarz i seksuolog Magnus

eprasa.pl 5fd6eaf378

FOT. ADOBE STOCK

Hirschfeld. Medycyna dla osób skazanych na udrękę psychiczną z powodu odrzucenia swojej biologicznej płci okazała się jednak mieczem obosiecznym, gdyż podejmowane próby operacyjnej zmiany płci uzasadniano stanem chorobowym pacjenta. Zauważyć bowiem trzeba, że gdy w 1949 r. amerykański seksuolog David Oliver Cauldwell w eseju zatytułowanym „Psychopatia transexualis” zawarł współcześnie nam znaną definicję transseksualizmu, to z uwagi na ograniczenia narzucone przez naukę uznawał on operację zmiany płci za niedopuszczalną, w zamian zalecając traktować ją jako zaburzenie psychiczne. Idąc tym właśnie tropem, przez kolejne kilkadziesiąt lat w klasyfikacji zaburzeń psychicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego zaburzenia tożsamości psychospołecznej traktowano jako jedną z odmian dewiacji i zaburzeń seksualnych.

Dopiero w 2013 r. użyty tam termin „zaburzenia tożsamości płciowej” zastąpiono „dysforią płciową”. Natomiast w 11. rewizji Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób i Problemów Zdrowotnych (ICD-11), która zaczęła obowiązywać od 1 stycznia 2022 r. z pięcioletnim okresem przejściowym, termin „dysforia płciowa” przeniesiono z listy zaburzeń psychicznych do działu związanego ze zdrowiem seksualnym, nadając mu nowe określenie „niezgodności płciowej”. Według obecnego stanowiska WHO, mając na względzie wiedzę medyczną, transpłciowości nie można bowiem traktować jako choroby psychicznej i tym samym stygmatyzować osób, których ona dotyczy.

MEDYCYNA TO NIE PRAWO

Zmiana optyki dotyczącej binarnego ujęcia płci w medycynie i psychologii oraz związanego z tym postępowania terapeutycznego znacząco wpłynęła na postrzeganie transpłciowości w ujęciu społecznym i prawnym. Trwający proces zwiększenia społecznej akceptacji wobec osób transpłciowych nadal napotyka wiele przeszkód, gdyż jest to wciąż mało znana, a więc tym samym nieskonkretyzowana przestrzeń, podatna na różnorakie starcia o podłożu światopoglądowym zakotwiczone w historii, kulturze czy religii.

Poruszanie się trochę po omacku w sferze ochrony praw człowieka osób transseksualnych sprowadza się głównie do konieczności ochrony tych właśnie osób przed uprzedzeniami, stereotypami i dyskryminacją. Z pola widzenia umykają nam jednak kluczowe aspekty praktyczne społecznej koegzystencji w szkole, pracy, na uniwersytecie czy boisku osób transpłciowych z tymi, u których nie występuje niezgodność płciowa. Zalecenia i rekomendacje wydawane przez organy traktatowe ONZ (zwłaszcza zatwierdzenie w 2006 r. tzw. zasad Yogyakarty dotyczących ochrony praw człowieka w odniesieniu do orientacji seksualnej i tożsamości płciowej, uzupełnionych w 2017 r. o tzw. Zasady Yogyakarty +10) nie oddziałują na systemy prawne w poszczególnych zakątkach świata z taką samą siłą, w wielu z nich pozostając wciąż w sferze życzeń. O ile bowiem we współczesnej medycynie możemy mówić o przebytej ewolucji, w wyniku której wypracowano w miarę jednolity schemat postępowania ze zmianą płci, o tyle sytuację prawną w poszczególnych krajach świata, w których żyją osoby transpłciowe, można skwitować krótką maksymą quod homines, tot sententiae. Nadal przecież są kraje, w których ekspresja transpłciowości rozumiana jako odstępstwo od przyjętych norm społecznych jest czynem karalnym, więc nie ma mowy o jakimkolwiek prawnym uznaniu zmiany płci. Te kraje to m.in. Brunei, Kuwejt, Malezja, Oman, Tonga, Sudan Południowy czy ZEA, w których mężczyznom naśladującym płeć przeciwną, zwłaszcza ubiorem, grozi kara do roku pozbawienia wolności oraz grzywna. W Arabii Saudyjskiej, w której wyroki wydawane są na podstawie interpretacji prawa szariatu, za tzw. cross dressing grozi również kara chłosty, z kolei w nowym kodeksie karnym tego kraju dla mężczyzn „publicznie udających” kobietę wyglądem i ubiorem będzie przewidziana kara aż trzech lat więzienia. Są to rozwiązania skrajne, zmuszające osoby transseksualne do życia w ukryciu.

Na drugim krańcu wachlarza przyjętych unormowań prawnych dotyczących osób transpłciowych odnajdujemy przepisy mające na celu zapewnienie osobie nieidentyfikującej się z płcią biologiczną jak najszerszego zakresu praw odnoszących się zarówno do sfery prywatnej, jak i publicznej, co w niektórych przypadkach staje się wręcz uprzywilejowaniem tej mniejszościowej grupy społecznej.

MOMENT PRZEŁOMOWY

Przełomem w historii zagadnienia transseksualizmu był moment, w którym znaczna część społeczeństwa zdała sobie sprawę z tego, że w wyniku pomyślnie przeprowadzonej terapii hormonalnej oraz zabiegu chirurgicznego zmiana płci biologicznej jest możliwa. Dokładnie tym momentem było opublikowanie na pierwszej stronie poniedziałkowego wydania amerykańskiego dziennika „New York Daily News” z 1 grudnia 1952 r. zdjęć Georga Williama Jorgensena, który, poddawszy się w Danii terapii hormonalnej oraz zabiegowi usunięcia męskich narządów płciowych (zabieg waginoplastyki wykonano dopiero w 1954 r.), stał się Christine Jorgensen. Historia weterana wojennego z Bronxu o znaczącym tytule „Były żołnierz stał się piękną blondynką” (ang. „Ex-GI Becomes Blonde Beauty”) stała się prawdziwą sensacją, sam zaś Jorgensen na trwale wpisał się w historię transpłciowości w Stanach Zjednoczonych jako promotor osób transseksualnych.

Z prawnego punktu widzenia dla Christine Jorgensen nic się jednak nie zmieniło. W dokumencie tożsamości i na akcie urodzenia nadal widniało oznaczenie płci jako męskiej. Z tego też powodu niepowodzeniem zakończyła się próba zawarcia małżeństwa, gdyż urząd stanu cywilnego odmówił wydania aktu zawarcia małżeństwa osób tej samej płci. Mimo

eprasa.pl 5fd6eaf378

trwającej rewolucji seksualnej amerykańskie sądy w latach 60. konsekwentnie odmawiały osobom poddanym korekcie płci zmiany imienia oraz oznaczenia płci w akcie urodzenia.

Po serii zamieszek środowisk LGBT na ulicach amerykańskich miast w 1975 r. Minneapolis stało się pierwszym miastem, które uchwaliło prawo zakazujące dyskryminacji osób transpłciowych (dopiero w 1993 r. Minnesota jako pierwszy amerykański stan rozszerzyła ochronę przed dyskryminacją na osoby transpłciowe, a po niej, w 2001 r., zrobił to stan Rhode Island). W tym samym 1975 r. sąd stanu Connecticut (sprawa Darnell vs. Lloyd) stwierdził, że urzędnik stanu cywilnego odmawiający dokonania zmiany płci zapisanej w akcie urodzenia musi wykazać „istotny interes państwa", co w kilku przypadkach pozwoliło osobom po tranzycji medycznej dokonać zmian w dokumentach urzędowych. Jednakże mimo upływu kilku dekad i wbrew oczekiwaniom środowisk trans możliwości prawnej zmiany płci na dokumentach urzędowych w Stanach Zjednoczonych nadal uwarunkowane są przepisami poszczególnych stanów i nie ma do tej pory wprowadzonych jednolitych procedur na poziomie federalnym. Obowiązujące w trzech amerykańskich stanach (Tennessee, Oklahoma oraz Montana) prawo nadal zabrania bowiem dokonywania prawnej zmiany płci w akcie urodzenia. Remedium na zawieszenie osób transseksualnych w urzędniczym chaosie z pewnością będzie realizacja obietnic złożonych w czerwcu 2021 r. przez Amerykańskie Towarzystwo Medyczne, które optuje za wykreśleniem oznaczenia płci z publicznej części aktu urodzenia. Informacje o płci przy urodzeniu będą nadal przekazywane i gromadzone, lecz wyłącznie do celów medycznych, zdrowotnych i statystycznych. Postulat ten ma na celu poszanowanie prawa do określenia swojej tożsamości płciowej, a także ochronę indywidualnej prywatności i zapobieganie dyskryminacji.

Myli się jednak ten, kto Stany Zjednoczone uznawałby za pioniera w uregulowaniu kwestii prawnych związanych ze zmianą płci. Obecnie faktycznie wiodą one prymat w jak najszerszym dostosowywaniu się do potrzeb środowiska LGBT+ i robią to w naprawdę zawrotnym tempie, uznając na poziomie federalnym legalność małżeństw jednopłciowych i zaliczając tożsamość płciową za chronioną (zgodnie z tytułem VII ustawy o prawach obywatelskich z 1964 r.) podstawę niedyskryminacji w miejscu pracy. Jednak to Szwecji należy przyznać palmę pierwszeństwa w prawnym uregulowaniu zmiany płci u osoby zdiagnozowanej jako transseksualna, co nastąpiło wraz z ustawą przyjętą w 1972 r. Zaświadczenie o przynależności do płci innej niż wskazana w akcie urodzenia, będące podstawą sprostowania zapisu w akcie urodzenia i zmiany imienia, było tam wydawane przez komisję wyłącznie obywatelom Szwecji stanu wolnego, którzy ukończyli 18. rok życia, u których transseksualizm ma charakter trwały i nieodwracalny (do roku 2013 jednym z wymogów tranzycji prawnej była też trwała niemożność płodzenia albo rodzenia, co w praktyce wiązało się z koniecznością dokonania legalnej sterylizacji).

To Szwecja zaczęła pierwsza regulować zmiany płci u osób zdiagnozowanych jako transseksualne, nastąpiło to z ustawą przyjętą w 1972 r.

Podobne rozwiązania prawne, oparte na połączeniu procedury prawnej z psychologiczno-medyczną terapią, wprowadzono w Niemczech od 1981 r., a później na przestrzeni kilkunastu lat także w wielu, lecz nie we wszystkich krajach Europy (zakaz prawnego uznania zmiany płci obowiązuje m.in. na Węgrzech).

DEKLARACJA SAMOSTANOWIENIA

Jeszcze nie tak dawno temu bliska ideałowi jawiła się ścieżka aplikacyjna przyjęta w Wielkiej Brytanii w ustawie o uznawaniu płci z 2004 r. (Gender Recognition Act 2004). Jednak w ostatnich latach, pod wpływem działalności orzeczniczej ETPC oraz zintensyfikowanych działań środowiska LGBT+, wiele krajów poluzowało wymogi prawne stawiane osobom transpłciowym (do 2017 r. usunięto nakaz poddania się nieodwracalnym zabiegom medycznym, w tym sterylizacji) po to, aby prawne uznanie zmiany płci odbywało się w sposób szybki, przejrzysty i przystępny. Tym sposobem już w dziewięciu krajach Europy (Danii, Norwegii, Belgii, Islandii, Irlandii, Luksemburgu, Malcie, Portugalii i Szwajcarii) prawne uznanie zmiany płci oparte jest o tzw. deklarację samostanowienia, która w środowisku osób transseksualnych uchodzi za złoty standard prawnego uznania zmiany płci. Jest ona mało inwazyjna, bo nie wiąże się z koniecznością podjęcia jakiejkolwiek interwencji medycznej, przez co nie utrwala fałszywych założeń, że bycie trans to choroba psychiczna.

Spoglądając na aktualną mapę przyjętych procedur prawnego uznania zmiany płci w krajach Unii Europejskiej, wyraźnie widać, że droga ku ich ujednoliceniu pozostaje wciąż długa i wraz z kolejnymi wprowadzanymi „udogodnieniami" dla osób trans coraz bardziej przytłaczająca dla reszty społeczeństwa. Mimo że nadal w większości krajów europejskich, tak jak w Polsce, prawne uznanie zmiany płci uzależnione jest od wydania orzeczenia sądowego po uprzednim zebraniu medycznych „dowodów" transpłciowości (np. diagnoza dysforii płciowej, testy psychologiczne, leczenie hormonalne, operacja zmiany płci), to widmo dominacji trendu samostanowienia o własnej tożsamości płciowej staje się coraz bardziej realne. Oddalanie się od jak by nie było obiektywnych medyczno-psychologicznych przesłanek przekłada się też na zmniejszenie pewności prawnej co do motywów i trwałości dokonywanych zmian. Szczególnie niebezpieczne jest tu zniesienie konieczności pozostawania w stanie wolnym, a wreszcie i bycia pełnoletnim, co rodzi niebywałe trudności dla małżeństw i rodzin. W gruncie rzeczy o transpłciowości decyduje bowiem tylko ta osoba, która sama zalicza siebie do społeczności osób transpłciowych i jest władna samodefiniować się w opozycji do płci metrykalnej, utożsamiać się z więcej niż jedną płcią lub też z żadną z nich. Możliwości wyboru jest zatem wiele, a i katalog form tranzycji wciąż się rozrasta od bardziej tradycyjnych oraz co do zasady trwałych i nieodwracalnych operacji chirurgicznych, którym poddawane są nawet dzieci, do używania nowych zaimków osobowych lub zmian imienia, które mogą być jedynie czasowe.

Na tle tych rozważań wypada stwierdzić, że obrany przez wiele państw zachodnich kierunek zmian w procedurze prawnej zmiany płci, która ma być przede wszystkim tania, łatwa pod względem formalnym, szybka w realizacji i dostępna dla każdego bez ograniczeń wiekowych, nakazuje pytać o pewność takiego prawa. Czy system prawnego uznania zmiany płci w takiej właśnie postaci przetrzyma próbę czasu?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

FOT. WALTHEYER.COM

Z Waltem Heyerem, amerykańskim pisarzem, który dokonał detranzycji i ostrzega przed niebezpieczeństwami „zmiany płci”
rozmawia Piotr Włoczyk

Promowanie tranzycji to zbrodnia

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego porównuje pan zmianę płci do lobotomii?

WALT HEYER: Ponieważ to dokładnie takie samo szarlatańskie. Wiem coś o tym, ponieważ sam padłem ofiarą oszalałych lekarzy, według których okaleczenie ciała może przynieść szczęście. Kiedyś chirurdzy uważali, że dzięki lobotomii, czyli wycięciu kawałka mózgu, można leczyć choroby psychiczne. Ludzie ci byli dumni ze swoich osiągnięć i mieli duże grono zwolenników. Dziś wiemy już, że takie metody były zwykłym barbarzyństwem i przynosiły jedynie cierpienie. Obecnie światowa medycyna wolałaby zapomnieć o tamtym rozdziale. Jestem przekonany, że niedługo tak samo będzie z lekarzami, którzy dziś – bez oparcia w faktach – przekonują, że hormony i skalpel to najlepsza odpowiedź na zaburzenia identyfikacji płciowej, że rozwiązaniem problemu jest dostosowanie wyglądu ciała do tego, jak chciałaby je widzieć głowa. Mamy coraz więcej przypadków detranzycji – gdy ofiary próbują cofnąć skutki operacji „zmiany płci” – i niedługo ci specjaliści będą żałowali, że brali udział w tych potwornych eksperymentach. Tak samo jak w przypadku chirurgów, którzy stosowali lobotomię.

Ile lat minęło w pańskim przypadku od tranzycji do detranzycji?

Osiem lat żyłem jako Laura Jensen. Operację, która na zawsze mnie okaleczyła, przeszedłem w 1983 r. To była droga donikąd. Rozbiłem rodzinę, sprawiłem wiele cierpienia nie tylko sobie, lecz także swoim bliskim. Uwierzyłem ludziom, którzy twierdzili, że problemem nie jest moja głowa, lecz ciało. Że to moje ciało należy uleczyć, a nie psychikę. I dlatego dziś robię wszystko, by jak najmniej osób popełniło ten błąd. Wykorzystuję każdą okazję, by głośno krzyczeć: „Nie róbcie sobie tego! Nie słuchajcie tych szarlatanów, bo szybko zrozumiecie, że hormony i operacje nie przynoszą ukojenia, lecz tylko pogłębią już istniejące problemy”.

Co było źródłem pańskich problemów? Dlaczego tak źle pan się czuł w swoim męskim ciele?

To wynikało z kilku przyczyn. Zaczęło się niewinnie w 1944 r., gdy miałem cztery lata. Moja babcia utwierdzała mnie w przekonaniu, że pięknie wyglądam w sukienkach. To pierwszy krok prowadzący do tragedii. Nie wolno zasiewać tego ziarna. Jeżeli w patologiczny sposób będziemy przekonywać małe dziecko, że lepiej mu w „innej skórze”, to może to mieć dla niego bardzo złe konsekwencje. W tym momencie mówimy bowiem dziecku, że coś jest z nim nie tak. Potem było molestowanie. Gdy miałem dziewięć lat, wykorzystał mnie wujek. Ta trauma spowodowała wiele zmian w psychice, które pogłębiały u mnie coraz głębszą niechęć do mojej męskości.

Jak wyglądało badanie przed operacją?

Dziś już wiem, że to wyglądało jak żart, a nie jak badanie. Niestety, obecnie takie badania wcale nie wyglądają lepiej. Psycholog Paul Walker, który notabene był aktywistą LGBT, stwierdził, że jak najbardziej potrzebuję operacji „zmiany płci”. Badanie było zrobione bardzo powierzchownie.

eprasa.pl 5fd6eaf378

Przykładowo Walker w ogóle nie zwrócił uwagi na to, że w dzieciństwie byłem ofiarą molestowania. Dziś mamy do czynienia z podobnym „automatem". Zagubiony człowiek przychodzi do „specjalisty" od transpłciowości i właściwie pewny jest, że będzie zachęcany do operacji.

Porządne badanie przeszedłem dopiero po tym, gdy okaleczyłem swoje ciało. Osiem lat po operacji psychiatra znający się na rzeczy powiedział słowa, które sprawiły, że mój świat rozleciał się na małe kawałki: „Walt, nigdy nie powinieneś był zostać poddany takiej operacji". Dlaczego? Ponieważ cierpiałem na zaburzenia dysocjacyjne i osobowościowe. To częsta przypadłość wśród transseksualistów. To był początek prawdziwego leczenia. Musiałem się uporać z problemami psychicznymi. W końcu zaakceptowałem to, kim jestem. Uwolniłem się od prześladujących mnie myśli, które kazały mi nienawidzić moją męską postać. Potem przeszedłem kolejne operacje. Tym razem były to operacje pozwalające mi wrócić do mojej męskiej postaci, oczywiście na tyle, na ile to było możliwe, ponieważ wcześniej na zawsze się okaleczyłem.

Czy zawsze tak to się kończy? W mediach społecznościowych możemy znaleźć tysiące relacji transseksualistów, którzy przekonują, że dzięki operacji narodzili się na nowo i ich życie wygląda teraz wspaniale.

Zupełnie mnie to nie dziwi, ponieważ sam byłem w tym miejscu. Euforia po operacji to naturalny stan rzeczy. Korzystają z tego aktywiści LGBT, którzy w ten sposób reklamują transpłciowość jako coś wspaniałego: „Zobaczcie, jak ci ludzie są uśmiechnięci! Nikt tu niczego nie udaje! Zalecane terapie po prostu działają!". Ale to nie jest prawda. Ta euforia z każdym kolejnym rokiem coraz bardziej przemija. Zawsze porównuję to do imprezy. Pijemy drinka za drinkiem, bawimy się świetnie, na parkiecie nikt nie może się z nami równać. Rozrywa nas radość. Ale potem przychodzi poranek i czujemy się najgorzej na świecie...

Wydał pan wiele książek na temat zagrożeń ze strony aktywistów transpłciowych, prowadzi pan też stronę internetową sexchangeregret.com, gdzie osoby rozważające detranzycję mogą znaleźć pomoc. Jakie osoby zgłaszają się do pana?

To są przeróżne historie. Opowieści ofiar translobby rozdzierają serce. Kiedyś dostałem e-maila, którego nigdy nie zapomnę: „Daj mi jeden dobry powód, żebym nie strzelił sobie w głowę. Nie mogę uwierzyć w to, że cały ten sztab lekarzy pozwolił mi okaleczyć moje ciało".

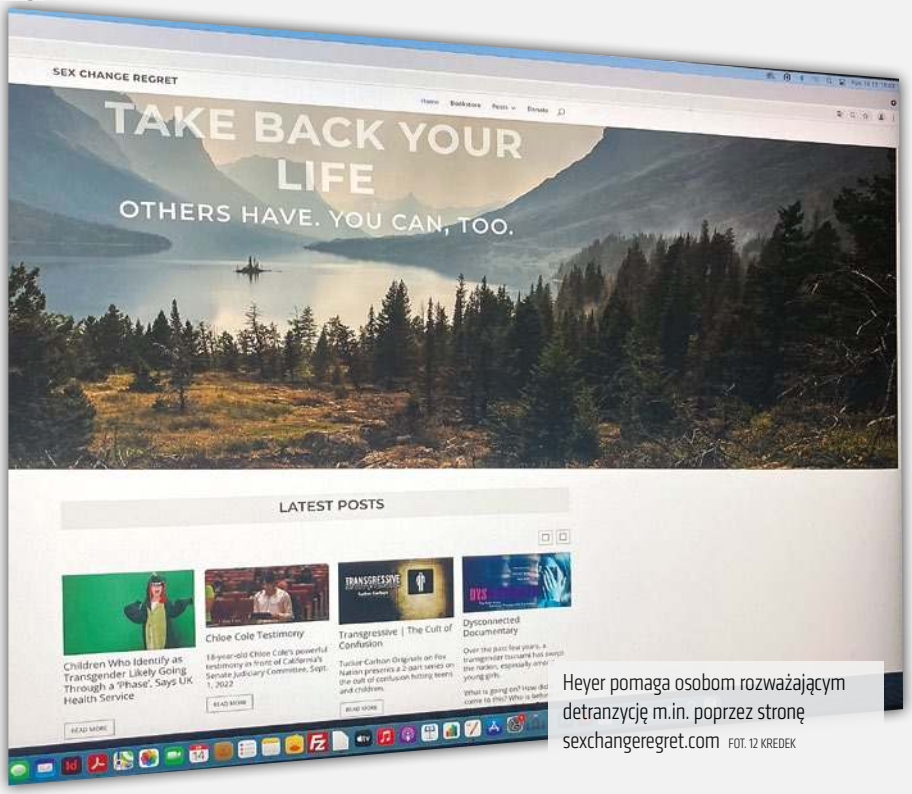

Heyer pomaga osobom rozważającym detranzycję m.in. poprzez stronę sexchangeregret.com FOT. 12 KREDEK

Z moich obserwacji wynika, że przeciętnie w okolicach piątego roku po tranzycji ludzie zaczynają szukać pomocy. Ale bywają też przypadki, gdy dochodzi do tego dużo szybciej. Obecnie pracuję z człowiekiem, który chce odwrócić efekty operacji, którą przeszedł zaledwie osiem miesięcy temu. Inna z osób, które zwróciły się do mnie ostatnio z prośbą o pomoc, wytrzymała aż 15 lat, ale w końcu stwierdziła, że to nie biologia jest u niej problemem.

Piszą też do mnie ludzie bardzo młodzi, ponieważ ostatnie lata to prawdziwa plaga tranzycji wśród młodzieży. Chłopak dostał blokery dojrzewania w wieku 15 lat, przeszedł operację trzy lata później – niestety „pomagali" mu w tym rodzice. Skontaktował się ze mną w wieku 19 lat. Powiedział, że czuje się jak potwór Frankensteina. To są jego słowa! Przyznał, że od 13. roku życia uzależniony był w ekstremalny sposób od pornografii i to wykoleiło jego psychikę. Rodzice muszą pamiętać, że Internet to miejsce pełne ogromnych zagrożeń. Ponad połowa ludzi, z którymi pracuję – ta grupa liczy już setki osób – była wykorzystywana seksualnie. To właśnie krzywda w dzieciństwie bardzo często sprawia, że ludzie zaczynają nienawidzić swojego ciała.

Jak działa ten mechanizm?

Niektóre molestowane dziewczynki uważają, że ich narządy płciowe są „winne" ich tragedii. I dlatego chciałyby wyglądać zupełnie inaczej. Wydaje im się, że gdyby wyglądały jak chłopcy, to nie doszłoby do ataku seksualnego. Tu się zaczyna tragedia odrzucenia swojej własnej płci. Działa to oczywiście też w drugą stronę w przypadku niektórych molestowanych chłopców.

W 2007 r. szpital dziecięcy w Bostonie stał się – jak się chwali jego zarząd – pierwszą specjalistyczną instytucją w USA, która skupia się na „pomocy transpłciowym dzieciom i nastolatkom". Dekadę później było już 50 takich miejsc. Co to oznacza dla amerykańskich dzieci?

Widzimy, że ten trend błyskawicznie się rozprzestrzenia i dlatego dzieci mogą coraz łatwiej paść ofiarą szalonych ideologów spod znaku LGBT. Przez całe wieki, gdy chłopiec mówił, że jest dziewczynką – albo odwrotnie – rodzice po prostu to ignorowali. I było to jak najbardziej właściwe podejście, nic złego się nie działo. Jak bowiem pokazują badania naukowe, ok. 90 proc. dzieci, które w dzieciństwie sygnalizują problem z identyfikacją płciową, wyrasta z tego w sposób naturalny, zanim osiągną pełnoletność.

Dziś niestety wygląda to zupełnie inaczej. Jeżeli dziecko ma rodziców ufających aktywistom LGBT, to w przypadku pojawienia się sygnałów, które kiedyś zostałyby po prostu zignorowane i szybko same by zanikły, rodzice zabierają swoją pociechę do specjalistów od tranzycji.

eprasa.pl 5fd6eaf378

Jeżeli raz przekroczą próg takiej kliniki, to ta droga w zdecydowanej większości przypadków prowadzi już tylko w jedną stronę – w stronę tragedii. To dla mnie niepojęte. W liberalnych kręgach społecznych rodzic, który pozwala na brutalne krzywdzenie własnego dziecka – bo tym jest przecież tranzycja płciowa – jest uważany za świadomego, mądrego rodzica… Gdyby taki rodzic pozwolił komuś połamać swojemu dziecku ręce i nogi, na pewno zostałby aresztowany przez policję. Ale gdy robi coś znacznie gorszego, pozwalając np. nastoletniej córce na wycięcie zdrowych piersi, jest za to chwalony!

Ta perspektywa faktycznie daje do myślenia, ale obawiam się, że nawet taki argument raczej nie przekona sympatyka ruchu transpłciowego. Zbyt dobrze zakorzenione jest tam przekonanie, że „korekta płci" przynosi świetne rezultaty.

Musimy zrozumieć jedną rzecz. W całej długiej historii ludzkości ani jedna osoba nie zmieniła płci! To po prostu niemożliwe. W 1979 r. aktywista homoseksualny dr Charles Ihlenfeld, który był właścicielem kliniki w Nowym Jorku, po sześciu latach pracy z 500 osobami transpłciowymi powiedział, że te procedury wiążą się z samymi problemami i powodują zbyt wiele samobójstw. Ludzie po operacjach „korekty płci" 19 razy częściej popełniają samobójstwo niż reszta populacji! A przecież te operacje mają przynosić ukojenie...

Ihlenfeld stwierdził, że „zmiana płci" nie jest długoterminowym rozwiązaniem dla osób zmagających się z postrzeganiem swojej płciowości. Jeśli przejrzeć dane naukowe na ten temat, to trudno wyciągnąć inny wniosek. W 2004 r. w słynnym lewicowym „Guardianie" ukazał się tekst, który jednoznacznie wskazywał, że procedury „zmiany płci" nie są skuteczne. Gazeta przeanalizowała różne badania naukowe dotyczące tej kwestii i stwierdziła, że przekonywanie osób transpłciowych, że operacje zmienią ich życie na lepsze, nie ma podstaw w nauce. Ale to były „stare" czasy, kiedy jeszcze można było w mainstreamie dosyć swobodnie dyskutować na temat „zmiany płci". Dziś to już nie jest do pomyślenia na Zachodzie. Dziś w dobrym tonie jest przytakiwanie pomysłom, które oznaczają w gruncie rzeczy niszczenie dzieci. Dziś lekarz, który stwierdziłby, że „zmiana płci" przynosi więcej zagrożeń niż korzyści, stałby się ofiarą kampanii nienawiści rozkręconą przez własne środowisko.

Ale jednak zdarzają się pewne wyłomy. W zeszłym roku głośno było w Ameryce o materiale wyemitowanym w magazynie reporterskim „60 minut" na temat nastolatków, którzy dokonali „detranzycji". Reportaż spotkał się oczywiście z bardzo ostrym atakiem ze strony aktywistów LGBT, którzy twierdzili, że to jednostkowe historie i nie można na tej podstawie wyciągać daleko idących wniosków.

To coraz większy problem. Widzę to po ludziach, którzy się ze mną kontaktują. Są coraz młodsi! Moim zdaniem za 10–15 lat będziemy mieli całą lawinę przypadków młodych, zniszczonych ludzi, którzy padli ofiarą translobby. Patrząc na falę dzieci i młodzieży, które poddawane są w tych klinikach „terapiom" hormonalnym i operacjom, możemy się spodziewać prawdziwej tragedii na niewyobrażalną skalę.

Gdy mówimy zagubionemu dziecku, że jest transpłciowe, to je dehumanizujemy. Mówimy, że tak naprawdę jest nieokreślone. To traumatyczne przeżycie, które sprawia, że niszczymy jego poczucie wartości. Dziecko nie wie, kim jest, a my utwierdzamy je w przekonaniu, że to normalne. Jeżeli jeszcze dochodzą do tego ingerencje hormonalne, blokowanie dojrzewania lub – nie daj Boże – operacje, to odpowiadamy już za kompletne zniszczenie dziecka. Kliniki, które działają w USA, a także w Europie Zachodniej, to miejsca, w których dokonuje się rzeczy horrendalnych. Zgodnie z prawem pozbawia się tam dzieci przyszłości, uniemożliwia im założenie normalnej rodziny i posiadanie dzieci.

Ale to zjawisko nie ogranicza się przecież tylko do USA. Całe pokolenie dzieci będzie dosłownie przeorane przez opętanych ideologów, którzy chcą zniszczyć tradycyjną wizję społeczeństwa, podział na mężczyzn i kobiety, rodzinę, a w konsekwencji także Kościół. Te siły starają się zbudować pewną modę na transpłciowość, która wśród młodzieży ma pewien potencjał na „kontrkulturę". Widzimy skalę tego zagrożenienia po sondażach, w których z roku na rok coraz większy odsetek młodzieży klasyfikuje się w „społeczności trans". Przy czym nie chodzi tu tylko o ideologię. To też ogromny biznes. Każde amerykańskie dziecko, które zostanie zidentyfikowane przez „specjalistów" jako transpłciowe, to prawdziwa żyła złota dla branży farmaceutycznej. Taka kompleksowa „terapia" to wydatek rzędu 400 tys. dol.! To wielomiliardowy biznes, który nie toleruje ludzi takich jak ja. Ludzi, którzy mówią: „Nie wierzcie im, bo czeka was tragedia". Dlaczego z takim oporem spotykają się głosy sugerujące psychoterapię zamiast operacji? Ponieważ każdy prawdziwie wyleczony człowiek to mniejszy zysk dla „transspecjalistów" i klinik, które okaleczają ludzi za bajońskie sumy!

Czym jest „afirmatywna opieka zdrowotna", o której tak głośno w USA w ostatnich latach?

To szczyt patologii. Oznacza automatyczne potwierdzanie diagnozy, z którą do „specjalisty" przychodzi osoba z zaburzeniami identyfikacji płciowej. Szczególnie makabrycznie wygląda to w kontekście dzieci. „Afirmatywna opieka zdrowotna" oznacza po prostu, że lekarze muszą „podążać za" dzieckiem. Jeżeli chłopiec mówi, że czuje się dziewczynką, to trzeba mu umożliwić „eksplorację" tego obszaru i wspierać go w tej „podróży". W niektórych stanach wręcz nielegalne jest kwestionowanie odczuwanej przez zagubione dziecko tożsamości płciowej!

Postawmy sprawę wprost – co pan radzi ludziom, którzy czują, że ich ciało nie jest „tym właściwym"?

Dobrego terapeutę, żeby pozbyć się na trwałe problemu tkwiącego w ich głowach. Nigdy nie poznałem kogoś, kto by stwierdził, że problemem było urodzenie się nie w tej skórze, co trzeba. Zaburzenia identyfikacji płciowej to bardzo skomplikowane zagadnienie. Wpływać mogą na to takie czynniki jak molestowanie seksualne w dzieciństwie, toksyczne relacje w rodzinie, wśród rówieśników lub też stany chorobowe, jak np. schizofrenia, a także depresja. Musimy odnosić się do takich osób bardzo delikatnie, z ogromnym szacunkiem, ponieważ przeżywają one straszne męczarnie. Nie można ich wyśmiewać, wytykać palcami, śmiać się z ich wyglądu. Należy im za wszelką cenę pomóc pozbyć się tych problemów – trzeba ich jednak kierować w dobrą stronę, do prawdziwych specjalistów, a nie do klinik oferujących „korektę płci" za gigantyczne pieniądze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

__Walt Heyer (ur. 1940)__ jest byłym transseksualistą, który pomaga ludziom z zaburzeniami tożsamości płciowej. Wśród jego najgłośniejszych książek jest m.in. „Trans Life Survivors" – historie ludzi, którzy za sprawą ideologii LGBT niepotrzebnie okaleczyli swoje ciała.

eprasa.pl 5fd6eaf378

FOT. ADOBE STOCK

Sport w imię ideologii?

Krystian Kratiuk

Jeszcze do niedawna żart o tym, że „chłop przebrał się za babę", naprawdę śmieszył ludzi. A dziś już nawet wyrażenie „kobieta z brodą" straciło swoje dawne znaczenie. O ile kiedyś kobiety z brodą oglądało się w cyrkach, o tyle dziś można je oglądać na coraz większej liczbie stadionów i hal sportowych. Ale przecież świat sportu to dziś coś znacznie potężniejszego niż niegdysiejsze cyrki. Stanowi bowiem kolejne narzędzie do zmieniania świata

Do legendy przeszły sportsmanki z NRD, które w czasach podziału Europy żelazną kurtyną wyraźnie odróżniały się masą i siłą od swych konkurentek z innych części świata. Wówczas kobietom i mężczyznom uprawiającym zawodowo sport w NRD podawano (w większości bez ich wiedzy i zgody) hormony, sterydy i inne środki dopingujące. Proceder został wykryty dopiero po upadku muru berlińskiego, a u NRD-owskich sportowców pojawiały się takie skutki uboczne jak zatrzymanie rozwoju płciowego, bezpłodność, impotencja, marskość wątroby, nowotwory czy upośledzenie działania serca.

Dziś na bezpłodność, impotencję oraz zatrzymanie rozwoju płciowego niektóre „sportsmenki" skazują się same. Tyle że zanim były „sportsmenkami", były… sportowcami. Mężczyznami. A ich nienaturalne metody uzyskiwania przewagi fizycznej nad prawdziwymi kobietami są dziś legalizowane przez kolejne państwa i organizacje sportowe. Wynikająca z coraz modniejszej „zmiany płci" przewaga nowych „kobiet" została już jednak oprotestowana, i to zarówno w świecie sportu, jak i wśród samych działaczy LGBT.

W „NIE SWOIM CIELE", ZA TO NA PODIUM

Historia jest zwykle podobna. Sportowiec radzi sobie jako tako w rywalizacji z mężczyznami i – zwykle popadając w jakiś rodzaj załamania nerwowego czy depresji – odkrywa, że „tak naprawdę to jest kobietą". Mówi wszystkim dookoła, że czuł się nią od zawsze i z tego wynikają jego problemy. Z pewnością to mogło się zdarzyć, zaburzenia są bowiem znane psychiatrii od dziesiątek lat, ale lawina takich „odkryć" prowadzących do zmiany płci wśród przeciętnych męskich sportowców, szczególnie w USA, każe zadawać pytanie, czy rzeczywiście mamy do czynienia wyłącznie z ludzkim pogubieniem czy też z ambitnym cwaniactwem. Zwykle bowiem – jak nietrudno się domyślić – sportowcy, którzy stali się sportsmenkami, radzą sobie w rywalizacji z kobietami o niebo lepiej niż z mężczyznami, zdobywają laury, a nawet kwalifikują się na igrzyska olimpijskie, na których pokonują kolejne kobiety.

W 2022 r. światem sportu wstrząsnęła wiadomość o triumfie osoby przedstawiającej się jako Lia Thomas – dziś uznawana jest ona za „pierwszą w historii USA osobę transpłciową, która zdobyła mistrzostwo USA na zawodach uniwersyteckich".

eprasa.pl 5fd6eaf378

„Zawodniczka" triumfowała w wyścigu na 500 m stylem dowolnym. Ale przez pierwsze trzy sezony, jeszcze jako William Thomas, dzisiejszy Lia pływał w męskiej drużynie Uniwersytetu Pensylwanii. Wiosną 2019 r., rok po coming oucie, rozpoczął terapię hormonalną i, według prawa, stał się kobietą. Od tego czasu bije rekordy swojej uczelni – w kategorii kobiet rzecz jasna. To najgłośniejszy w ostatnich miesiącach przypadek mężczyzny, który „zmieniając płeć", nagle zaczął odnosić sukcesy sportowe w konkurencjach kobiecych. Jest ich jednak znacznie więcej. Na ostatnich igrzyskach w Tokio występowała Laurel Hubbard – wcześniej mężczyzna. Ów nowozelandzki sztangista pobijał nawet rekordy wśród męskich juniorów, ale wśród seniorów nie szło mu już tak dobrze. Gdy „zmienił płeć", zaczął zdobywać medale, pokonując kobiety w najcięższej wadze, uzyskując także kwalifikację olimpijską.

Takich przykładów można by tu podać jeszcze dziesiątki, ale myślę, że te wystarczą, by unaocznić absurd, z którym coraz częściej muszą borykać się włodarze organizacji sportowych. Jest bowiem na nich wywierana ogromna presja dotycząca tego, by nie dyskryminować „transpłciowych kobiet". Robią to zarówno opanowane przez ideologię LGBT wielkie koncerny, jak i politycy. Pierwszą decyzją podpisaną przez Joe Bidena po objęciu urzędu prezydenta USA był zakaz dyskryminacji mniejszości, w tym transseksualnych sportowców. To właśnie dzięki takim przepisom studentki od lat uczciwie pracujące na medal pozbawione są dziś szans na triumfy i spychane z podium przez mężczyzn czujących się kobietami, którzy przeszli odpowiednie terapie, operacje oraz dokonali niezbędnych formalności. Niestosujący się do prezydenckiego rozporządzenia pracodawcy, rektorzy szkół czy szefowie organizacji sportowych narażają się na odebranie im państwowego finansowania. Wszystko w imię walki z nietolerancją dla coraz to nowych zjawisk w życiu społecznym.

CO NA TO NAUKA?

W Polsce nadal mało kogo trzeba przekonywać, że mężczyźni różnią się jednak od kobiet i że zawody sportowe odbywają się z podziałem na płcie, dlatego że – z naturalnych względów – kobiety nie miałyby z mężczyznami szans. Ale jeśli znajdzie się ktoś, kto zechce dla zasady podważyć oczywistą oczywistość, zreferujmy też wyniki badań. Otóż mężczyźni „zmieniający płeć" przechodzą także terapię hormonalną i muszą spełnić pewne warunki, jeśli chodzi o wyniki badań (chodzi m.in. o poziom testosteronu czy estrogenu), zanim zostaną dopuszczeni do zawodów kobiecych. Każda organizacja sportowa ma w tej sprawie własne przepisy i limity. Propagatorzy idei dopuszczania takich „byłych mężczyzn" do zawodów kobiecych argumentują, że operacja zmiany płci oraz obniżenie poziomu testosteronu powodują spadek masy mięśniowej i gęstości kości, a więc wyrównują szanse, gdyż transseksualistki przestają mieć przewagę nad rywalkami.

Problemem jest jednak biologia. Otóż naukowcy wciąż uparcie twierdzą, że roczna kuracja hormonalna nie likwiduje przewag, które zostały wypracowane w czasie okresu dojrzewania, gdy „dzisiejsza kobieta" była jeszcze chłopcem czy mężczyzną. Aby móc zauważyć istotny spadek gęstości kości, potrzeba przynajmniej 15 lat! A tyle przecież zwykle trwają całe seniorskie kariery sportowców.

W badaniu przeprowadzonym w 2020 r. wśród członków armii Stanów Zjednoczonych stwierdzono, że „po roku podawania kobiecych hormonów transpłciowe kobiety nadal miały lepsze sportowe osiągi niż kobiety nietranspłciowe. Po dwóch latach różnica była już mniejsza, ale kobiety transpłciowe nadal biegały o 12 proc. szybciej".

W innym badaniu przeprowadzonym przez Tommy'ego Lundberga ze szwedzkiego Division of Clinical Physiology stwierdzono, że kobiety transpłciowe, które poddały się feminizującej terapii hormonalnej, zachowały po upływie roku swoją ogólną siłę.

Tak więc bez terapii hormonalnej kobiety transpłciowe mają przewagę w sporcie nad nietranspłciowymi, a także w przypadku hormonoterapii obniżającej poziom testosteronu i podwyższającej poziom testosteronu czy estrogenu są silniejsze. A dodajmy, że przecież nie we wszystkich krajach decydujący się na „zmianę płci" mężczyzna, aby zostać uznanym za kobietę, musi przechodzić terapię hormonalną! W wielu miejscach świata wystarczy bowiem deklaracja woli, poprzedzona np. zaświadczeniem o konsultacji z lekarzem.

FEMINISTKI PRZECIWKO „KOBIETOM"

Warto jednak zauważyć, że owo oszustwo dostrzegają nie tylko konserwatyści i oszukiwane po raz kolejny przez mężczyzn kobiety – sportsmenki. Do protestów przeciwko absurdalnemu włączaniu mężczyzn po „zmianie płci" do zawodów kobiecych protestuje także wiele organizacji feministycznych, które podkreślają absurdalność tej sytuacji. Choć od feministek dzieli mnie niemal wszystko, to cieszę się, że zauważyły, iż w całej tej sytuacji kobiety uprawiające zawodowo sport są zwyczajnie oszukiwane – tak oto najnowsza fala rewolucji seksualnej, rzekomo prowadzonej w imię „praw kobiet", jak w każdej rewolucji zjada własne dzieci. Tym razem „zjada" normalne kobiety, które mogą starać się być najlepsze w świecie w danej dyscyplinie sportu, ale nie zdobędą złotego medalu, bo na najwyższym stopniu podium stanie mężczyzna. Przepraszam, transkobieta.

Ale oszustwo dostrzegają także aktywiści LGBTI. Martina Navrátilová, legenda tenisa, a także lesbijka od lat walcząca o prawa kobiet i mniejszości seksualnych, kilka lat temu została „transfobką" i wrogiem numer jeden środowisk walczących o prawa osób transseksualnych. Przez sprzeciw wobec rosnącej dominacji „transseksualistek" w kobiecym sporcie.

Navrátilová zabrała głos po tym, jak w 2019 r. rozgłos zdobyły halowe mistrzostwa szkół średnich w lekkoatletyce w stanie Connecticut. Przedstawiające się jako kobiety Terry Miller i Andrayi Yearwood zdominowały tam sprint na 55 m. Obie były wcześniej mężczyznami.

„Nie mam problemu, żeby zwracać się do transseksualnych kobiet w jakiejkolwiek formie, w której sobie życzą, ale nie byłabym szczęśliwa, gdybym musiała z nimi rywalizować. To nie byłoby fair – pisała wówczas była tenisistka. – Powód jest bardzo prosty: mężczyzna może zdecydować się zostać kobietą; brać hormony, jeśli tego życzy sobie organizacja sportowa, która ma pieczę nad zawodami, w których zamierza wystąpić; wygrać wszystko, co ma w zasięgu ręki, i może nawet zarobić małą fortunę, a potem zmienić swoją decyzję i wrócić do robienia dzieci, jeśli tego zapragnie".

Navrátilová – powtórzę raz jeszcze, że od lat aktywnie pracująca na rzecz mniejszości seksualnych – dodała także: „Ubolewam również nad rosnącą tendencją wśród transseksualnych aktywistów potępiania każdego, kto się im sprzeciwia, i określania go za każdym razem jako transfoba. To jest jeszcze jedna forma tyranii".

I trudno się z nią nie zgodzić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 5fd6eaf378

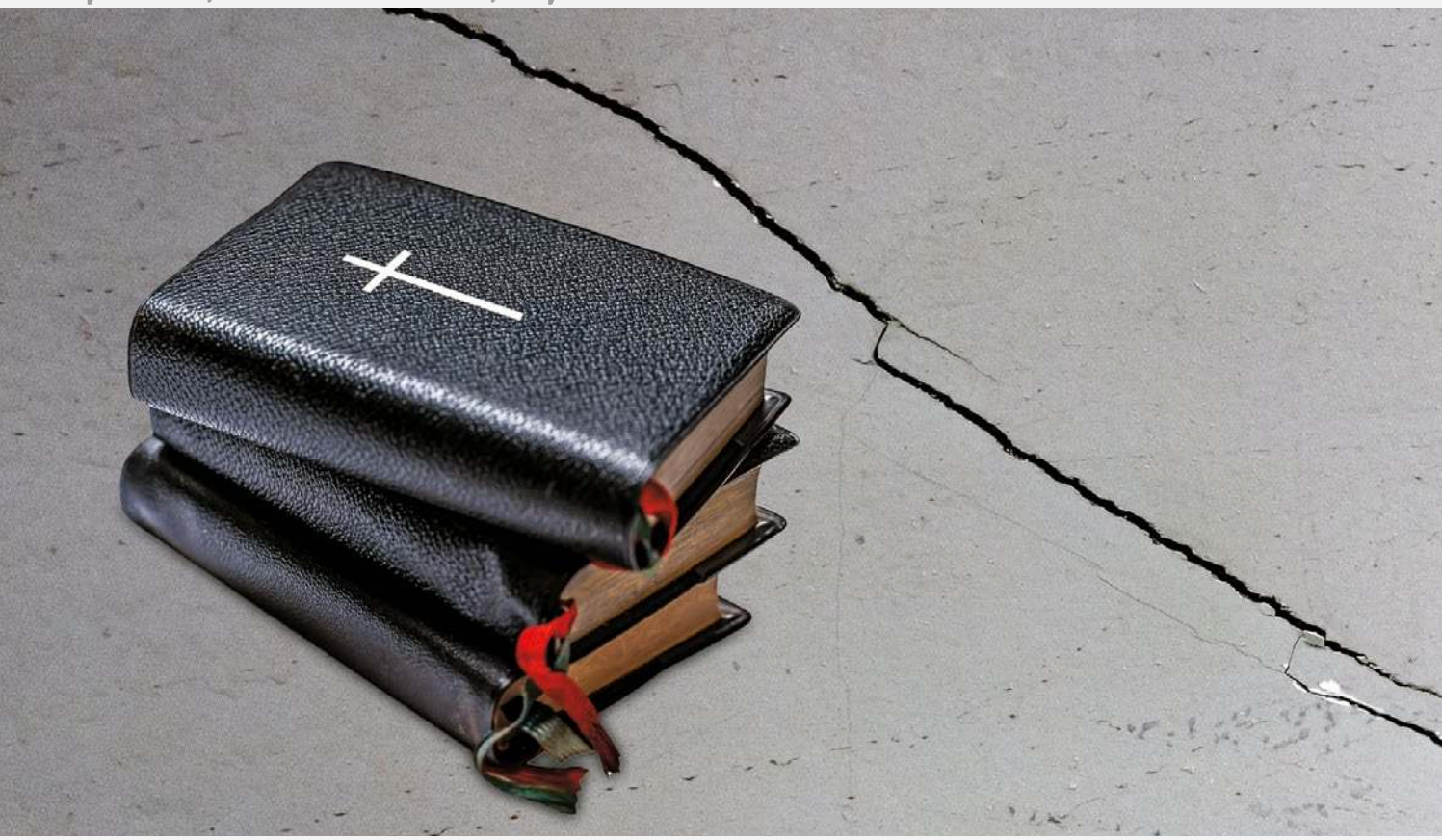

Kościół uczy jasno: „zmiana płci" nie jest możliwa

Paweł Chmielewski

Ideologia transgenderyzmu jest najnowszym przejawem rewolucji, która wstrząsa cywilizacją łacińską od z górą 200 lat. Kościół katolicki oferuje skonfundowanemu światu jasne zasady rozeznawania, tłumacząc, dlaczego teoria „płynnej płciowości" jest sprzeczna nie tylko z prawem moralnym, lecz także z naturalnym rozumem

Papież Franciszek jest powszechnie kojarzony ze wsparciem dla środowisk LGBT. O samej ideologii gender Ojciec Święty wypowiadał się jednak wielokrotnie w wyjątkowo ostrym tonie. Liberałowie na całym świecie nie kryli rozczarowania, gdy w 2015 r. opublikowana została książka „Papież Franciszek: Ta ekonomia zabija". W wywiadzie udzielonym Andrei Torniellemu i Giacomo Galeazzemu Franciszek określił teorię gender mówiącą o „płynnej" płciowości jako niezgodną z Bożym porządkiem. W jednym szeregu wymienił manipulacje genetyczne, broń nuklearną i właśnie ideologię genderyzmu jako nowy rodzaj grzechu przeciwko Bogu Stwórcy. Mówił też w tym kontekście o nowych „Herodach", którzy działają na rzecz śmierci i przeciwko Bogu. Niezadowolenie progresistów było jeszcze większe, gdy kilka tygodni po publikacji książki papież spotkał się z Kimberly Davis, amerykańską działaczką przeciwko homoseksualnym „małżeństwom", wręczając jej różaniec i zachęcając do dalszej wytrwałości.

Te słowa i gesty nie były przypadkowe. W wydanej pięć lat później książce na temat postaci i nauczania św. Jana Pawła II Franciszek ponownie skrytykował genderyzm jako „jeden z głównych

eprasa.pl 5fd6eaf378

FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK

przejawów zła" we współczesnym świecie, przypominając, że oznacza on próbę „zniszczenia zamysłu stwórczego Boga u samych jego korzeni" i jest „atakiem na różnorodność i kreatywność Boga". Od chwili rozpoczęcia pontyfikatu kilkukrotnie krytykował politykę liberalnych państw zachodnich, które uzależniają przekazywanie pomocy charytatywnej ubogim krajom Afryki i Azji od wprowadzania „tęczowych" praw; nazwał to „ideologiczną kolonizacją". Można by zatem stwierdzić, że Franciszek chętnie podpisałby się pod głośnymi słowami Benedykta XVI, które wypowiedział już jako emeryt: w jednym z wywiadów z 2020 r. Józef Ratzinger powiązał ideologię stojącą za aborcją, in vitro czy „małżeństwami" jednopłciowymi z duchową siłą Antychrysta. Wsłuchując się w takie głosy, zarówno katolicy, jak i niewierzący mogą mieć wrażenie klarownej postawy Kościoła wobec genderyzmu.

RYSA W TWARDEJ LINII

Z drugiej strony wiele słów i gestów Franciszka wskazuje, że patrzy on na problematykę transseksualizmu i LGBT mniej jednoznacznie. W 2020 r. polecił swojemu jałmużnikowi, kard. Konradowi Krajewskiemu, przekazać wsparcie materialne transseksualnym prostytutkom spod Rzymu, które z powodu pandemii COVID-19 nie miały klientów i były pozbawione środków do życia. Osobiście spotkał się też z tymi osobami; po raz ostatni raz w sierpniu tego roku.

Również w 2020 r. napisał list pochwalny do argentyńskiej zakonnicy Móniki Astorgi Cremony, która prowadzi dom opieki dla „kobiet transgender". Zapewnił ją, że Bóg wynagrodzi jej podjętą działalność. Od lat Franciszek wspiera działalność o. Jamesa Martina SJ, który buduje w Stanach Zjednoczonych duszpasterstwo środowisk LGBT, obficie wykorzystując przy tym tęczową symbolikę i uczestnicząc w paradach „gejowskiej dumy". W filmie „Francesco" w reżyserii Evgeny Afineevsky'ego Franciszek wypowiedział się też pozytywnie o legalnych związkach jednopłciowych, wskazując na dostrzeganą przez siebie konieczność ułatwiania homoseksualistom życia codziennego.

Dwutorowość papieskiego podejścia do problematyki LGBT została dobrze ujęta w jego wypowiedzi z 2016 r. Wracając samolotem z Azerbejdżanu, Franciszek powiedział: „Jedna rzecz to mieć takie skłonności, a nawet przejść [operację] zmiany płci. Inna sprawa to nauczanie tego w szkołach w celu zmieniania mentalności. Właśnie to nazywam kolonizacją ideologiczną". Franciszek potępia zatem samą doktrynę genderyzmu jako wrogą porządkowi stworzenia, z drugiej strony starając się wyciągać rękę do tych, którzy wpadli w sidła tej ideologii. Problem w tym, że ta w teorii szlachetna postawa prowokuje zamęt: jeśli można jeszcze uzasadnić takie podejście wobec transseksualnych prostytutek jako osób uwięzionych w pewnej spirali zła, to co powiedzieć o posłudze o. Martina promującego „otwartość" na LGBT wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej w tęczowej aureoli albo wielobarwnym różańcem?

EUROPEJSKI PROGRESIZM

Być może nie zwracalibyśmy tyle uwagi na te wątpliwe gesty Franciszka, gdyby nie działalność wielu progresywnych biskupów. Na „drodze synodalnej" którą Kościół katolicki w Niemczech rozpoczął w 2019 r., zaproponowano pełną akceptację ideologii gender. Tamtejsi biskupi nie chcą się zmagać z niezgodnością między katolicką doktryną i duszpasterstwem a stanowiskiem państwa, które od roku 2018 uznaje istnienie tzw. trzeciej płci (niem. divers). We wrześniu 2022 r. na obradach Zgromadzenia Synodalnego, kolektywnego ciała decyzyjnego biskupów i świeckich, głosowaniu został poddany tekst zawierający propozycję całkowitego pogodzenia nauki katolickiej z teorią transgenderyzmu. Dokument został wprawdzie odrzucony (zabrakło niewielkiej większości), ale ponad połowa spośród biskupów zagłosowała na „tak".

Znaczna część niemieckich hierarchów uważa, że „różnorodność płciowa" jest „chciana przez Boga", a osoby transseksualne nie powinny próbować leczenia czy terapii – miałyby po prostu zawierać pożądane przez siebie związki, jednocześnie z całą swobodą pełniąc w Kościele wszystkie funkcje i przystępując do sakramentów.

Tego rodzaju tendencje są widoczne również u biskupów w Austrii, Szwajcarii, krajach Beneluksu i we Włoszech oraz w krajach anglosaskich. Co więcej, od pewnego czasu urzędy Kurii Rzymskiej chętnie podejmują współpracę z różnymi agendami ONZ, które za oczywistość uznają „prawo" do woluntarystycznego określania własnej płciowości. Nie dziwi zatem, że na każdą papieską wypowiedź czy gest mogący choćby tylko

eprasa.pl 5fd6eaf378

sugerować afirmację transgenderyzmu społeczność katolicka reaguje alergicznie.

NAUCZANIE KOŚCIOŁA W POLSCE

Stanowisko katolickiego Urzędu Nauczycielskiego wobec fenomenu transgenderyzmu i tzw. zmiany płci jest tymczasem jednoznacznie krytyczne. Kościół uznaje wprawdzie, że są sytuacje związane z wrodzonymi zaburzeniami (zwłaszcza obojnactwo), które wymagają fachowej interwencji medycznej (wobec osób dotkniętych takim problemem poleca się stosowanie indywidualnego podejścia i rozwiązywanie problemów związanych z sytuacją kanoniczną w porozumieniu ze Stolicą Apostolską). W pozostałych wszakże przypadkach, gdy o tego rodzaju chorobie nie ma mowy, nauka katolicka całkowicie odrzuca „interwencje" chirurgiczne i inne działania podejmowane w imię teorii o „płynnej" płciowości.

Polakom przypomniała o tym w 2020 r. Konferencja Episkopatu Polski, publikując szeroko komentowane (i krytykowane przez lewicę) „Stanowisko w kwestii LGBT+". Biskupi napisali: „Kierując się obiektywnym kryterium płci człowieka, czyli jego genetyką (kobieta XX, mężczyzna XY), Kościół stoi na stanowisku, że hormonalne i chirurgiczne ingerencje w sferę płciową nie powodują jej faktycznej zmiany. Takie praktyki są traktowane wyłącznie jako akt okaleczenia osoby. Podobnie Kościół ocenia cywilnoprawną procedurę ograniczoną do poświadczenia w dokumentach metrykalnych »zmiany płci« lub jej pominięcia".

Polscy pasterze wskazali, w jaki sposób przylgnięcie do ideologii transseksualnej wpływa na zdolność do przyjmowania sakramentów czy pełnienia kościelnych funkcji. Episkopat wyjaśnił np., że osoba, która przeszła tzw. zmianę płci, może zostać ochrzczona – ale jedynie wówczas, gdy wyrazi żal za swoje czyny i zaakceptuje katolickie spojrzenie na tę „zmianę". Otrzymując sakrament chrztu, winna też przyjąć imię zgodne z jej płcią biologiczną – i takie właśnie imię należy odnotować w księdze ochrzczonych.

Episkopat wyjaśnił, że w księgach parafialnych nie można wpisywać płci danej osoby niezgodnej z jej płcią biologiczną, nawet jeżeli poddała się zabiegom „tranzycji" już po chrzcie. Niczego nie zmieniają tu nawet dokumenty państwowe, jeżeli byłyby takowe. Tego rodzaju zaszłość należy po prostu odnotować jako uwagi.

Osoby transseksualne nie mogą również zostawać rodzicami chrzestnymi. Episkopat, odwołując się do jednego z dokumentów Kongregacji Nauki Wiary, wyjaśnił przyczynę takiego stanowiska: „Osoba transseksualna prezentuje w sposób publiczny postawę przeciwną do moralności chrześcijańskiej". Nie ma również możliwości zawarcia przez osobę transseksualną sakramentu małżeństwa. „W punkcie wyjścia związek małżeński winien mieć też dostateczne podstawy do stworzenia trwałej i harmonijnej więzi obejmującej sferę ducha i ciała. Stworzenie takiej wspólnoty zakłada zdolność panowania nad własną płciowością" – wyjaśnili polscy biskupi, przypominając, że zgodnie z Katechizmem i prawem kanonicznym małżeństwo jest związkiem mężczyzny i kobiety; nie może zostać zbudowane przez osoby, z których choćby jedna wykazuje jakiegoś rodzaju poważne zaburzenia w dziedzinie płciowości.

WATYKAN WYJAŚNIA BŁĘDY

„Stanowisko" Konferencji Episkopatu Polski zostało oparte na dokumentach Kurii Rzymskiej. Na temat problematyki LGBT kuria opublikowała ich na przestrzeni lat dość dużo, precyzując np. kwestię przyjmowania do seminariów kandydatów z zaburzeniami homo- czy transseksualnymi (w obu przypadkach stanowisko jest zasadniczo negatywne, co odzwierciedla również dokument polskich biskupów).

Najnowszym dokumentem kurialnym dotyczącym omawianych zagadnień jest pismo Kongregacji ds. Edukacji Katolickiej z 2019 r. pt. „Stworzył ich jako mężczyznę i kobietę. Z myślą o drodze dialogu na temat kwestii gender w edukacji". Pismo nie zajmuje się wprost problemem transseksualizmu, potępia jednak jednoznacznie błędy poznawcze i filozoficzne, które stoją za ideologią gender. Kongregacja wskazała, że w połowie XX w. zaczęły się pojawiać badania, które prezentowały tożsamość płciową jako konstrukt społeczny. Wyciągano z tego wniosek, że płeć nie jest konstytutywna dla ludzkiej świadomości, a w relacjach międzyludzkich chodzi jakoby wyłącznie o uczucie – bez względu na różnicę między płciami oraz możliwość budowania rodziny w oparciu o prokreację. Jak wskazała Kongregacja, narodziła się tym samym czysto umowna i woluntarystyczna wizja rodziny. Genderyści uznali, że można radykalnie oddzielić płeć biologiczną od płci społeczno-kulturowej; tę drugą można by dowolnie wybierać i kształtować. Kongregacja zasugerowała, że ideologia transgenderyzmu ma w istocie gnostyckie pochodzenie, zakłada bowiem skrajny dualizm antropologiczny: oddzielenie „ciała sprowadzonego do biernej materii od woli, która staje się absolutna, manipulując ciałem według własnego uznania".

Rzymski urząd podkreślił, że takie „połączenie materializmu z woluntaryzmem daje początek relatywizmowi, gdzie wszystko jest równie ważne i niezróżnicowane, bez ładu i bez celu". Kuria skrytykowała bazujące na tych założeniach rewolucje: kulturową, ideologiczną i wreszcie prawną. Urząd wyjaśnił wreszcie, że – wbrew genderyzmowi – człowiek jest zobowiązany do poszanowania własnej natury ze względu zarówno na ludzką godność, jak i na prawo moralne.

POTRZEBA GŁOSU KOŚCIOŁA

Nawet jeżeli w podejściu Kościoła katolickiego do problematyki transseksualizmu występują w ostatnich latach pewne nieścisłości, to mają one charakter, można rzec, raczej polityczny; stanowisko doktrynalne i wynikające zeń w sposób konieczny stanowisko duszpasterskie są wyraźnie określone zarówno w cytowanych wyżej dokumentach, jak i w wielu wcześniejszych pismach Kongregacji Nauki Wiary. Na tej bazie Kościół katolicki w Polsce i na świecie może budować krytyczne podejście do ideologii gender. To bardzo potrzebne, bo z roku na rok wzrasta liczba nastolatków podejmujących radykalne decyzje względem swojego ciała, nierzadko o nieodwracalnym charakterze. Problem dotyczy zwłaszcza dziewcząt, które coraz częściej poddają się amputacji piersi, pragnąc stać się bardziej „męskie". W Stanach Zjednoczonych w niektórych placówkach przeprowadzających takie okaleczenia liczba „zabiegów" wzrosła na przestrzeni kilku lat nawet dziesięciokrotnie. Polskie prawodawstwo nie pozwala aktualnie na tak horrendalne rozpowszechnienie patologii genderyzmu, ale w związku z rosnącym naciskiem Unii Europejskiej sytuacja jest daleka od stabilności. Stąd konieczne jest zabieranie przez Kościół głosu mocnego i dostosowanego do współczesnego odbiorcy, który będzie ostoją trzeźwości w coraz bardziej chaotycznej przestrzeni kulturowej i społecznej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

Zmień płeć, będziesz fajny?

Zuzanna Dąbrowska

Coraz więcej dzieci, również w Polsce, podważa nie tylko swoją orientację seksualną, lecz także płeć. Kto je do tego popycha? I dlaczego?

Kliniki dla nieletnich zmagających się z zaburzeniami płci pękają w szwach. Z danych opublikowanych przez psycholog Agnieszkę Marianowicz-Szczygieł w „Kwartalniku Naukowym Fides et Ratio" wynika, że ostatnie osiem lat to dramatyczny wzrost liczby dzieci zgłaszających się do takich miejsc. I tak np. w Australii wzrost wyniósł 12,65 tys. proc. (!), w Szwecji – 19,7 tys. proc., a we wciąż uznawanych za jeden z najmocniej zakorzenionych w chrześcijaństwie krajów, czyli we Włoszech – wzrost wyniósł 7,2 tys. proc. Z kolei z badań Instytutu Gallupa wynika, że obecnie co piąta osoba z tzw. generacji Z (pokolenie urodzone po 1995 r.) identyfikuje się jako osoba LGBT (najczęściej utożsamia się z literą „B", czyli biseksualizmem). Szerzej na ten temat pisał w tekście na łamach tygodnika „Do Rzeczy" Jan Pospieszalski („Transseksualność na siłę", nr 41/2022). Problem więc istnieje, nie jest wymysłem „prawaków" i „moherów".

Najłatwiej byłoby uznać, że to źli „lewacy" krzywdzą dzieci (na wysokim poziomie ogólności stwierdzenie to jest oczywiście prawdziwe), ponarzekać i poprzestać na stwierdzeniu, że „kiedyś było lepiej". Jeżeli jednak konserwatyści i osoby, którym bliskie są wartości tradycyjne, oparte na wyśmiewanym niejednokrotnie prawie naturalnym, chcą nie tylko zrozumieć, lecz także próbować odwrócić bieg zdarzeń, to muszą postarać się rozłożyć to zjawisko na czynniki pierwsze.

Na początek istotna uwaga – dotykając tematów trudnych, ale ważnych społecznie, trudno uniknąć uogólnień.

W JAKIM ŚWIECIE DORASTAJĄ?

Próbując odpowiedzieć na pytanie, skąd bierze się lawinowy wzrost liczby dzieci deklarujących się jako LGBT, ewentualnie podważających płeć biologiczną, należy zastanowić się, w jakim świecie dorastają.

Po pierwsze, funkcjonujemy w rzeczywistości, gdzie rozwód przestaje być tragedią, a staje się dogodną opcją. Coraz częściej na łamach kobiecych pism forsowana jest teza, że rozstanie jest lepsze niż trwanie w związku „na siłę" – w myśl hasła: „Twoje szczęście jest najważniejsze". Bywa to prawdą, ale w sytuacji, gdy w relacji dochodzi do przemocy, a nie gdy któreś z małżonków po prostu się znudzi, znajdzie kogoś nowego lub uzna, że ma ochotę podróżować, a nie zajmować się rodziną. W pierwszym kwartale tego roku do polskich sądów wpłynęło prawie 20 tys. wniosków rozwodowych. W porównaniu z tym samym okresem roku 2020 to wzrost o 3 proc. Co do tego, że rozwód to dla dziecka tragedia, przekonywać nikogo nie trzeba. Obok pozbawienia go trwałego poczucia bezpieczeństwa to także odebranie dziecku możliwości nabywania wzorców damskich i męskich w najbardziej przyjaznym dla niego środowisku, jakim powinna być rodzina. Dziecko pozbawione tych podstawowych wzorów staje się znacznie bardziej narażone na czynniki zewnętrzne chcące wykorzystać je do swoich celów.

I tutaj pojawia się powód drugi, ów „czynnik zewnętrzny", czyli mass media. Jak twierdzi szwedzki psychiatra Sven Roman, zjawiska takie jak zaburzenia odżywiania oraz samookaleczanie mogą być wywoływane poprzez długie obcowanie z tego typu treściami w sieci. Wielce prawdopodobne zatem, że podobny mechanizm działa w przypadku dysforii płciowej oraz podważenia orientacji seksualnej. Tezę o wpływie dominującego przekazu medialnego na wzrost liczby osób z zaburzeniami potwierdzają też badania dr Lisy Littman, dotyczące zespołu nagłej dysforii płciowej. Wskazała ona, że dysforia może występować w wyniku przyswajania treści w sposób pozytywny i atrakcyjny ukazujących ideę zmiany płci oraz poszukiwania swojego seksualnego „ja". Nowe pokolenia rodzą się niemalże ze smartfonem w ręku. Pandemia i związane z nią nauczanie zdalne jeszcze silniej wepchnęły dzieci w świat wirtualny. A tam czeka – choć może uczciwiej napisać wprost „czyha" – na nie wiele ideologicznych pułapek.

Począwszy od z pozoru niegroźnego, coraz powszechniejszego, stającego się wręcz elementem dobrego tonu dopisywania na profilach w mediach społecznościowych zaimków (możesz być kim chcesz – ona/jej, on/jego, oni/im, to/tego), skończywszy na forach, na których dzieciom oferowane są hormony. Brzmi

eprasa.pl 5fd6eaf378

jak wymysł homofobicznego prawaka? Dwa lata temu opinią publiczną wstrząsnął szokujący reportaż Waldemara Krysiaka (homoseksualisty, byłego działacza LGBT), który dokładnie opisał procedery, do których dochodzi w zamkniętych grupkach. Dorośli transseksualiści ukrywający swoją tożsamość próbują przekonać nastolatków, że ich ciała są „więzieniem". Wolnością jest zmiana płci, którą – do czego zachęcają – można przeprowadzić poprzez przyjmowanie hormonów. Tutaj robi się jeszcze mroczniej, bo – jak wynika z materiału Krysiaka – padają propozycje przekazania tabletek w zamian za przesłanie przez dziecko nagich zdjęć. Pomijając kwestię tego, jakie skutki dla zdrowia fizycznego i psychicznego rozwijającego się dopiero człowieka może mieć niekontrolowane przyjmowanie hormonów (w tym przypadku de facto tabletek nieznanego pochodzenia).

W ostatnim czasie coraz większe poruszenie w społeczności TikToka, najpopularniejszej platformy wśród dzieci i nastolatków, wywołuje postać niejakiej Mol, publikującej na koncie Fuzzz99. Dwudziestosześcioletnia transkobieta kobieta uznająca się za mężczyznę, będąca w związku z kobietą, w budzący podejrzenia, infantylny sposób komunikuje się z dziećmi. W jednym z popularnych nagrań stwierdziła, że „nikt nie chce być heteroseksualny". Do swoich obserwatorów zwraca się per „fuzzballs" („purchawki", choć to tłumaczenie mocno niedoskonałe). Oczywiście – wszystko pod parasolem „edukacji" i „samoświadomości". Uwagę na niestosowność zachowania Mol zwraca coraz więcej dorosłych. Niektórzy wprost wskazują, że dorosła osoba próbuje nawiązać kontakt z dziećmi w niewiadomym celu. I o ile dorosły jest w stanie wychwycić

eprasa.pl 5fd6eaf378

FOT. ADOBE STOCK

dwuznaczność tego typu materiałów, o tyle zagubione dziecko może odnieść wrażenie, że konto Mol to przestrzeń przyjazna, ciepła i akceptująca. Szczególnie jeśli tego wszystkiego nie dostaje w domu rodzinnym.

IDOLE NASTAWIENI NA ZYSK

Coraz chętniej po kwestie płci i orientacji sięgają gwiazdy show-biznesu, będące dla nastolatków idolami. I o ile w świecie high fashion odsetek homoseksualistów zawsze był wyższy niż w „przeciętnej populacji", o tyle nie sposób nie odnieść wrażenia, że sięganie po narzędzie, którym jest bycie LGBT, bywa często obliczone po prostu na zysk. Przede wszystkim dlatego, że wielkie korporacje jawnie opowiadają się po stronie tego środowiska. Jeśli więc celebryta chce liczyć na lukratywny kontrakt, to nie tylko nie może krytykować tej grupy, lecz także dobrze by było, aby był „osobą sojuszniczą".

Publiczne wyznanie gwiazdy, że od dziś utożsamia się z płcią przeciwną, może być też próbą reanimowania podupadającej kariery. Jednym ze złośliwie komentowanych przez internautów przypadków jest amerykańska wokalistka, dziecięca gwiazda Disneya Demi Lovato. W maju 2021 r. 29-letnia wówczas Demi ogłosiła, że jest osobą „niebinarną" i używa zaimków neutralnych płciowo. Jednak już nieco rok później uznała, że „czuje się coraz bardziej kobieco", więc ma zamiar używać jednocześnie zaimków żeńskich. A dlaczego internauci wyzłośliwiali się na piosenkarce? Bo, jak zwracali uwagę, niebinarność zadeklarowała w czasie, gdy mocno przytyła; kiedy zrzuciła kilogramy i powróciła do podkreślających zgrabną figurę kobiecych ubrań, ogłosiła, że jednak zaimki ona/jej też są w porządku.

Coraz częściej po kwestie płci i orientacji sięgają gwiazdy show-biznesu. Dla niektórych to szansa na reaktywowanie podupadającej kariery

Dzieci są osaczane przez LGBT także niestety za przyzwoleniem rodziców. Na razie w Polsce jest to rzecz nie do pomyślenia, jednak w USA już się dzieje – chodzi o „występy" drag queen. Może to być czytanie książek, choć przybiera też skrajne formy zabarwionego erotycznie show, podczas którego kilkulatki wtykają wulgarnym, dorosłym mężczyznom pieniądze za fragmenty ubrań. I nie, to się nie dzieje w nocy poza wiedzą rodziców. Na takie właśnie „spotkania", odbywające się w środku dnia, np. w kawiarni, matki dobrowolnie zabierają swoje dzieci. Jak wytłumaczyć tak skrajną nieodpowiedzialność? Chyba najprościej faktem, że kobiety te same zostały wychowane w świecie zdominowanym przez niebezpieczną ideologię. To jest dla nich normalność...

Czy można zatem stwierdzić, że mamy „modę na bycie LGBT", która wypływa zarówno z rozpadu rodziny, jak i przekazu medialnego? Że to kolejna nowa subkultura w XXI-wiecznym wydaniu? W pewnym sensie na pewno. Jednak o ile subkultury z przeszłości, takie jak emo, punk czy metal, dotyczyły raczej wyglądu zewnętrznego, stylu ubierania i muzyki, o tyle LGBT atakuje wnętrze. I to do głębi. W łagodniejszej formie podważa tożsamość dziecka jako człowieka; w bardziej skrajnej prowadzi do np. amputacji biustu i przyjmowania hormonów. Jeśli więc uznamy, że jest to moda, to musimy też uznać, że najgroźniejsza z dotychczasowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

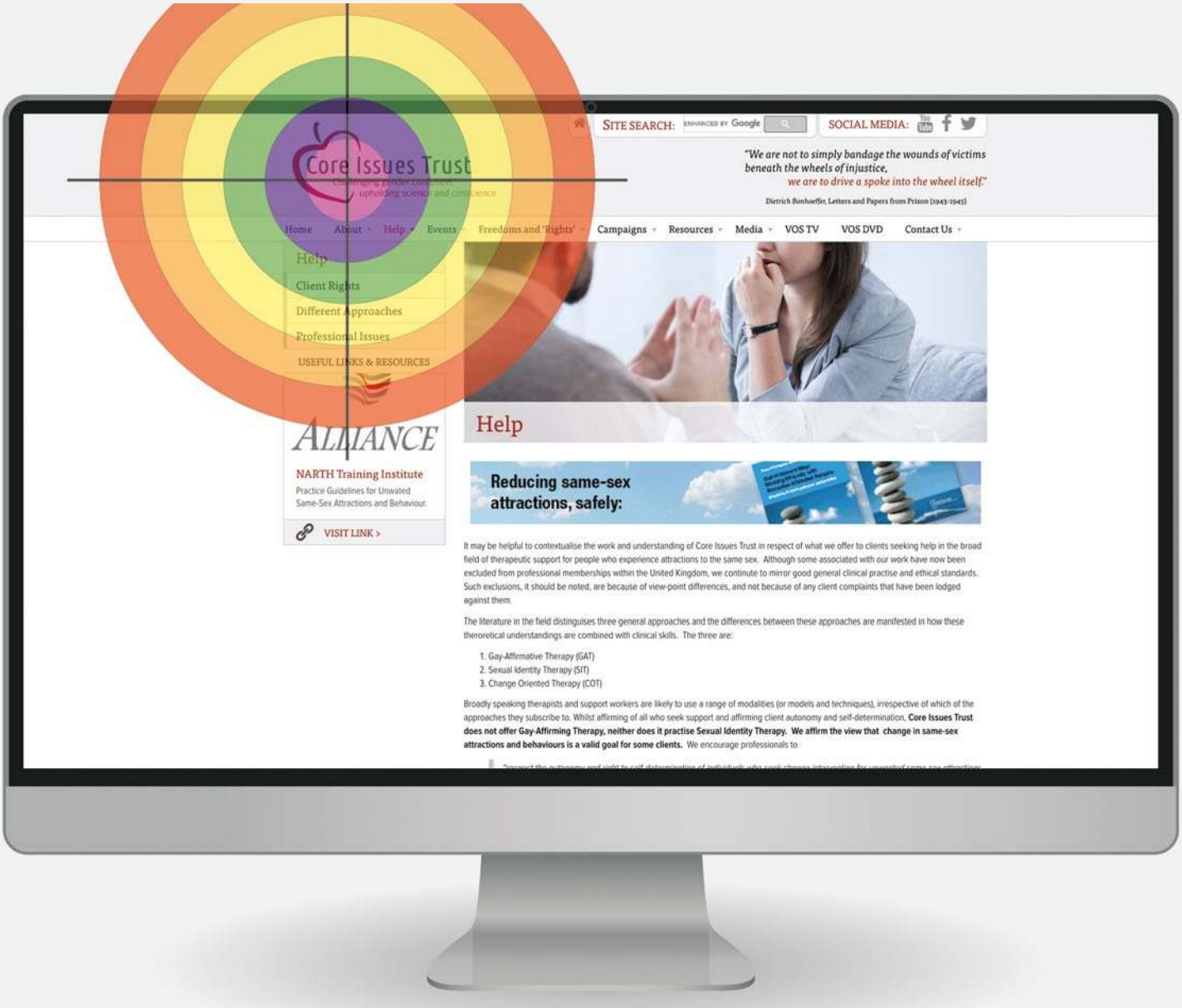

FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK

Na tęczowym celowniku

Piotr Włoczyk

Historia Core Issues Trust pokazuje, jak trudno jest dziś na Zachodzie kwestionować „dogmaty" LGBT i czym może się kończyć opór stawiany przez chrześcijan

Po jednej stronie tej batalii sądowej, która rozgrywa się w Belfaście, stoi zespół świetnie opłacanych adwokatów reprezentujący Barclays – brytyjskiego giganta z sektora bankowego. Po drugiej stronie mamy prawników z Christian Legal Centre (CLC), którzy bronią działaczy Core Issues Trust (CIT) (Fundacji Rzeczy Najważniejszych). Ta ostatnia organizacja zrzesza chrześcijańskich terapeutów, którzy oferują pomoc ludziom chcącym z własnej woli wyzbyć się skłonności homoseksualnych lub mającym problemy z identyfikacją płciową. Wynik tej bitwy prawnej przyniesie odpowiedź na pytanie: „Czy bank może odciąć daną organizację od usług finansowych z powodu krytykowania przez jej działaczy ideologii LGBT?".

Sprawa ta rozpoczęła się dwa lata temu, gdy brytyjskie lobby LGBT przymusiło bank Barclays do wypowiedzenia CIT umowy o prowadzenie konta banko-

eprasa.pl 5fd6eaf378

wego. Odpowiadał za to aktywista LGBT Mike Buonaiuto, który odkrył, że podany na stronie CIT numer konta obsługiwany jest przez Barclays, tymczasem bank ten od lat przedstawia się jako instytucja wyjątkowo przyjazna tęczowemu środowisku. „Główny sponsor Parady Równości w Londynie, Barclays, pozwala, by brytyjska organizacja oferująca terapię konwersyjną miała w nim konto. Ta podła organizacja wciąż cieszy się przywilejami fundacji. Rząd musi zacząć działać" – tym jednym tweetem Bounaiuto rozpoczął kampanię skierowaną przeciw CIT, której najważniejszym celem było zmuszenie banku do wypowiedzenia umowy o prowadzenie konta.

PRZYMUSZANIE

Na CIT wylała się fala hejtu. Pracownicy organizacji zostali zalani wiadomościami i telefonami z pogróżkami.

– Grożą nam śmiercią, piszą o gwałceniu naszych bliskich, zastraszają osoby współpracujące z nami. Środowisko, które tyle mówi o tolerancji, rozpętało wokół nas atmosferę nienawiści, w której trudno żyć – powiedział w rozmowie z „Do Rzeczy" dr Mike Davidson, psychoterapeuta, szef CIT. – To, co widzimy dziś w Wielkiej Brytanii, to neomarksistowski ekstremizm, który wprowadzany jest na salony.

Brytyjski rząd od kilku lat sygnalizuje gotowość realizacji głównego postulatu tamtejszego środowiska LGBT – zakazania tzw. terapii konwersyjnej. „W naszym kraju nie ma miejsca na tak odrażające praktyki" – powiedział w lipcu 2020 r. ówczesny premier Boris Johnson. Mimo tych obietnic brytyjskie władze wciąż jednak nie wprowadziły zakazu w życie.

– Lobbyści LGBT będą mieli z tym problem. Trudno bowiem zakazać wolnym ludziom poszukiwania pomocy u specjalistów, którzy taką pomoc mogą im okazać – mówi dr Davidson. – Zarzuca się nam krzywdzenie ludzi, ale druga strona nie przedstawia na to żadnych konkretnych dowodów. Ten rodzaj terapii nikogo nie krzywdzi, za to zakazanie nam działalności z pewnością odbierze wolność tym, którzy szukają pomocy.

Doktor Davidson podkreśla przy tym, że on sam oraz jego współpracownicy z CIT unikają określenia „terapia konwersyjna". – Ten termin stał się pałką, którą LGBT używa, żeby uderzyć drugą stronę. Samo pojawienie się w dyskusji tego terminu sprawia, że jest ona nie do wygrania dla obrońców tradycyjnych

Czy bank może odciąć organizację od usług finansowych z powodu krytykowania przez jej działaczy ideologii LGBT?

wartości. Aktywiści LGBT zrobili bardzo wiele, by „terapia konwersyjna" kojarzyła się u nas mniej więcej tak samo jak „elektrowstrząsy". Trzeba się pogodzić z taką rzeczywistością – podkreśla dr Davidson. – My po prostu staramy się pomóc ludziom, którzy takiej pomocy sami poszukują. Niektórym udaje się wyjść na prostą, a inni nie zmieniają swojego życia. Myślę jednak, że w każdym przypadku rozmowy z nami pomagają tym ludziom. My tak naprawdę zapewniamy bardzo szerokie wsparcie, ponieważ pomagamy również ludziom wyjść z uzależnienia od pornografii, a to potężny i narastający problem dla naszego społeczeństwa.

Opiekę prawną CIT zapewnia Christian Legal Centre. Jego szefowa Andrea Williams nie ma złudzeń, że rządy Partii Konserwatywnej są dla brytyjskich chrześcijan lepsze od rządów ich politycznych przeciwników z Partii Pracy. – „Partia Konserwatywna" to tylko nazwa, w rzeczywistości to lewicowcy. To Partia Konserwatywna wprowadziła u nas małżeństwa gejowskie, poluzowała prawo w kwestii ochrony życia, pozwoliła na to, by nasze dzieci niewłaściwie nauczano na temat seksu, a także ma swój udział w upowszechnianiu ideologii gender – powiedziała w rozmowie z „Do Rzeczy" Andrea Williams. – Chrześcijanom żyjącym w Wielkiej Brytanii jest coraz trudniej, ale to nie znaczy, że mamy się poddać – podkreśla Williams.

TO DOPIERO POCZĄTEK?

Jej zdaniem uderzenie w swobodę działalności CIT to dopiero początek. Jeżeli sąd pozwoli bankowi na takie traktowanie chrześcijańskiej organizacji, to w kolejce do ataku będą następni.

– Ludzie generalnie nie dostrzegają wielkiego znaku ostrzegawczego, którym w istocie jest ta sprawa. Nienawistna kampania aktywistów LGBT wymierzona w Core Issues Trust rozkręcała się przez ponad dekadę – mówi Andrea Williams. – Wezwania do zakazania „nienawistnych modlitw" i „praktyk konwersyjnych" pokazują, że jeżeli teraz uda się dopaść terapeutów, to następni do uderzenia będą duchowni. Rząd musi usłyszeć ten dzwon alarmowy i powstrzymywać kolejne ataki motłochu w mediach społecznościowych. Trzeba chronić prawa organizacji chrześcijańskich, które są wierne Biblii. Każda z nich ma prawo być obsługiwana bez nietolerancyjnej dyskryminacji.

Doktor Mike Davidson ma nadzieję, że sąd poważnie podejdzie do wypowiedzenia umowy przez bank. Jak podkreśla, mimo że na rynku są inne instytucje finansowe, z których usług może skorzystać, to nie można pozwolić, by doszło do takiego precedensu.

– Już dwa lata czekamy na sprawiedliwość w naszej sprawie. Bank Barclays wykazał się niepokojącym brakiem dbałości i skruchy za to, w jaki sposób jego działania odbiły się na naszym funkcjonowaniu – mówi dr Davidson. – Najwidoczniej bank nie zastanawia się też nad tym, że to precedens, który może wpłynąć również na inne podmioty. Czy jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, co by się stało, gdyby jakaś organizacja LGBT została potraktowana w ten sposób? – pyta.

Jeżeli w mediach społecznościowych można zorganizować nagonkę, której efektem jest przymuszenie banku do zamknięcia konta chrześcijańskiej organizacji, to chrześcijanie wierni Biblii nie mogą się już czuć bezpieczni.

Doktor Davidson przekonuje, że wiele wierzących osób o skłonnościach homoseksualnych, które z własnej woli zgłosiły się do CIT, zmieniło swoje życie i dzięki temu nie odczuwa już konfliktu w sumieniu. O tym, że taka terapia faktycznie może działać w niektórych przypadkach, ma świadczyć jego własna historia. Doktor Davidson nie ukrywa bowiem, że w młodości sam odczuwał pragnienia o podłożu homoseksualnym.

– Byłem już żonaty i myślałem, że mam to za sobą, ale to jednak nie było takie proste. Te pragnienia zaczęły wracać. Doszło do tego, że zrozumiałem, iż muszę iść do specjalisty – mówi dr Davidson. – Chodziłem na terapię przez 2,5 roku. I udało mi się. Dzięki temu uratowałem małżeństwo. Dlatego reaguję bardzo emocjonalnie, gdy słyszę, że ktoś chciałby zakazać ludziom poszukiwania pomocy w tych sprawach. Po sobie wiem, że można zmienić swoje życie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

Kadr z nowej produkcji Neftlixa „1899" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zawrót głowy od sukcesów

Krzysztof Masłoń

Aktor Maciej Musiał, czyli Tomek Boski z ponoć ukochanego serialu wszystkich Polaków – „Rodzinka.pl", jeszcze 10 lat temu zdaniem „Vivy!" najpiękniejszy Polak, słowem – ulubieniec mas, zagrał w nowej produkcji Neftlixa zatytułowanej „1899"

Serial ten firmuje ta sama niemiecko-szwajcarska para: Jantje Friese i Baran bo Odar, która odniosła bez mała epokowy sukces innym Netflixowym przebojem – „Dark". Nie oglądaliście? To nie ma z wami o czym mówić, śledźcie dalej „Klan" i perypetie Brajana Cebuli, jego siostry Dżesiki i siostrzeńca Dżastinka. A tymczasem kolejny polski artysta zmierza do światowej kariery, grając w „1899" niejakiego Olka, wraz z innymi imigrantami płynącego parowcem z Londynu do Nowego Jorku, a dla chleba sypiącego węgiel do dziury niczym ponury maszynista z piosenki Wałów Jagiellońskich czy, nie przymierzając, sam Franciszek Dolas, który to osobiście rozpętał drugą wojnę światową. W scenach w kotłowni odsłania aktor swój nagi tors, budząc zrozumiałe zainteresowanie żeńskiej, a może nie tyko żeńskiej, telewidowni.

Gdy parowiec z imigrantami, w tym z naszym rodakiem, zmienia kurs, chcąc pomóc innemu statkowi uznanemu za zaginiony, w serialu zaczynają się dziać rzeczy dziwne a straszne. Co prawda, autorka brazylijskiego komiksu „Black Silence" utrzymuje, że fabuła „1899" została wzięta z jej dzieła, co powszechnie nazywa się plagiatem, ale, po pierwsze, nie jest to do końca pewne, a po drugie, nasza chata z kraja, bo nas przepełnia duma z faktu, że do serialowego Olka inni bohaterowie „1899" zwracają się per „Polak", a jemu – jak na naszego ziomala przystało – nawet „kurwą" zdarza się rzucić. A nazwisko 27-letniego artysty z Warszawy rodem wymienione jest w czołówce dzieła wraz z takimi tuzami aktorskimi jak np. Aneurin Barnard, Miguel Bernardeau czy Andreas Pietschmann. Nie słyszeliście? A bo co wy tam wiecie!

Film to, jak wiadomo, najważniejsza ze sztuk, co zadekretował sam Włodzimierz Iljicz Lenin w rozmowie z towarzyszem Łunaczarskim. Warto mieć jednak na uwadze, że nie mniej zasłużony Josif Dżugaszwili, szerzej znany jako Stalin, w 1930 r. napisał artykuł „Zawrót głowy od sukcesów" i od tamtej pory w Kraju Rad nikogo już głowa nie bolała. A tu nie możemy się nadziwić, jak zdumiewające wprost osiągnięcia odnoszą polscy artyści. Strach się bać!

Bo przecież choć wspomnieć wypada w tym miejscu Piotra Adamczyka, Tomasza Kota oraz, w co nie wątpimy, Marcina Dorocińskiego – dopiero stojącego w przedsionku wielkiej sławy Marcina Dorocińskiego, która go czeka po udziale w superprodukcji Toma Cruise'a „Mission Impossible – Dead Reckoning". Tyle się będzie działo, a zdążyliśmy ledwie ochłonąć po wzruszeniach, których dostarczył nam Rafał Zawierucha jako dziwnie małomówny Roman Polański w „Pewnego razu w Hollywood" Quentina Tarantino. Ale gadanina liczy się niewiele, nasi aktorzy i tak najczęściej grają Ruskich, a taka Pola Negri – wciąż największa polska gwiazda w światowym kinie – w ogóle się nie odzywała. Z wiadomych powodów.

Skoro o paniach, to nie zapominamy również o Weronice Rosati, która zresztą nigdy nie przegapia okazji, by w czasie, gdy swoją sztuką aktorską rzuca świat na kolana, pamiętano o niej w ojczyźnie. Któż nie doceniłby jej kreacji w trzech bodaj w sumie odcinkach serialu „Agenci NCIS"?! Polski pociąg do Hollywood jedzie wprawdzie nie za szybko, ale zmierza do celu, o czym wie najlepiej Katarzyna Figura, która wsiadła do niego jako Mariola Wafelek i do celu dojechała jako aktorka samego Roberta Altmana. U którego zagrała w epizodach czy nie w epizodach, ale zawsze. Maciej Musiał po Netflixowych serialach (nie zapominamy wszak o jego uczestnictwie w „Wiedźminie") także zagrać może wszystko i wszędzie. Czego mu życzymy z całego serca.

A o tym, że na sztuce ruchomych obrazów artyzm się nie kończy, przypomina nam rodzimy show-biznes. I tak w ostatnim wydaniu cieszącego się ogromną popularnością, zwłaszcza wśród uczennic szkół podstawowych, „The Voice of Poland" zwyciężył Dominik Dudek, któremu jednak nie tylko z racji wieku trudno będzie pójść w ślady 14-letniej dzisiaj Sary James. A ta, przypomnijmy, bo ktoś może zapomniał, po wygraniu „The Voice Kids" i występie na Konkursie Piosenki Eurowizji dla Dzieci udała się za wielką wodę, gdzie znalazła się aż w samym finale „America's Got Talent". Wprost nie do uwierzenia, ale miała też niebagatelne atuty w postaci daty urodzenia, no i nazwiska. Nie popadajmy jednak w przesadę: na polskości także można wygrać. Coś. ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

SUMMIT

W4UA
WORLD FOR UKRAINE

7-9 grudnia 2022

G2A Arena, Rzeszów-Jasionka

www.w4ua.com

G2A ARENA
Centrum Wystawienniczo-Kongresowe
Województwa Podkarpackiego

PODKARPACKIE
przestrzeń otwarta

eprasa.pl 5fd6eaf378

Wiec zorganizowany po zamordowaniu 12-letniej Loli, Paryż, 20 października 2022 r.
FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Kronika zdziczenia Francji

Wojciech Golonka

Francja nie jest już błogim krajem, którego obraz znamy z filmów z lat 70. Problem z przestępczością jest tak wielki, że policja, która powinna chronić ludzi, sama prosi o ochronę wojsko

Egzekucje bronią palną na ulicach dużych miast, najczęściej na tle porachunków między gangami narkotykowymi – codzienność. Napaści seksualne, gwałty, gwałty zbiorowe, gwałty w biały dzień, próby gwałtów – przykre informacje kilka razy w tygodniu. Zabójstwa dzieci przez matkę czy ojczyma, morderstwo partnerki przez partnera, a nawet rodziców przez dzieci – informacje kilka razy w miesiącu. Linczowanie ludzi przez dzikie bandy – filmików takiej barbarii nie brakuje. Atakowanie policji z zagrożeniem życia włącznie – informacje w zasadzie każdego dnia. Nie wspominając o zuchwałych kradzieżach, o tradycyjnych we Francji manifestacjach-zadymach, a tym bardziej o krwawych zamachach terrorystycznych z ostatnich lat. Słowo „zdziczenie" pada coraz częściej z ust polityków i dziennikarzy. Mimo permisywnego wymiaru sprawiedliwości rekordowo przepełnione więzienia; doraźne działania władz zamiast rozwiązań systemowych. Trudno się dziwić, że w jednym z ostatnich sondaży aż 70 proc. Francuzów uważa, że ich kraj podupada (choć, gwoli ścisłości, wynik ten odzwierciedla także percepcję sytuacji gospodarczej i politycznej).

ATAKI NA KOBIETY

24 września o godz. 6 w centrum Nantes 40-letnia kobieta została zgwałcona przez trzech mężczyzn; na podstawie opisów świadków zatrzymano trzech dwudziestokilkuletnich Sudańczyków przebywających we Francji nielegalnie (część mediów nie podała narodowości podejrzanych). Tego samego dnia wieczorem została obrabowana, uprowadzona, a następnie zgwałcona w centrum Tuluzy 38-letnia kobieta. Podejrzani to 18- i 21-letni Algierczycy, również bez prawa pobytu.

14 października w Paryżu odnaleziono w skrzyni ciało 12-letniej Loli. Tego samego dnia została uprowadzona, zgwałcona, torturowana i zmasakrowana. Podejrzaną jest 24-letnia Algierka, też nielegalnie mieszkająca we Francji od czasu, gdy wygasła jej wiza studencka.

23 października w regionie Corrèze w środkowej Francji 20-letnia Justine Veryac, młoda matka, została uduszona, wcześniej zaś prawdopodobnie odurzona narkotykiem na dyskotece i zgwałcona. Główny podejrzany to 21-letni rolnik i znajomy ofiary.

To tylko kilka przykładów wydarzeń, które wstrząsnęły krajem w ostatnim czasie, w ciągu zaledwie jednego miesiąca, a dwa ostatnie, które nie schodziły z nagłówków gazet, doprowadziły nawet do wielu manifestacji.

ATAKI NA POLICJANTÓW

Można by oczywiście przytaczać przykłady podobnych przestępstw i zbrodni z całego świata. W Indiach np. dochodzi do ponad 30 tys. gwałtów rocznie, za które odpowiedzialność ponoszą w dużej mierze mniej lub bardziej bezkarne gangi gwałcicieli. Jednak Francja to nie Indie i choć już od XIX w. kronika kryminalna cieszy się szczególną ekspozycją medialną, to w ostatnim czasie pojawiło się sporo publikacji na temat zmiany zachowań u francuskich kobiet dotyczących zwiększania ich bezpieczeństwa przed przestępstwami na tle seksualnym.

Jeszcze bardziej reprezentatywne dla upadku bezpieczeństwa są ataki na policjantów, do których dochodzi najczę-

eprasa.pl 5fd6eaf378

ściej przy próbach zatrzymania pojazdów do kontroli, kiedy mający coś na sumieniu kierowcy samochodów bądź uprawiający „rodeo" motocykliści po prostu taranują stróżów prawa. W niektórych przypadkach policjanci zdążą otworzyć ogień do tych nietypowych napastników – narażając się przy tym na nękające postępowania nadzorujących policję urzędów i tymczasowy areszt celem ustalenia zasadności użycia broni; w innych odnoszą mniejsze lub większe obrażenia, ze śmiercią włącznie, tak jak w przypadku Francka Labois, którego uciekający kierowca potrącił, a następnie ciągnął furgonetką przez 20 metrów, a wszystko dla kilku skradzionych beczułek z proszkiem do prania (sprawca był recydywistą).

Wobec częstych manifestacji niezadowolenia ze strony policjantów minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin dwoi się i troi, odwiedzając miejsca zdarzeń, poturbowanych, udaje się na pogrzeby (ostatnio na pogrzeb biednej Loli), a przede wszystkim regularnie wyraża w mediach kategoryczne poparcie dla swych podwładnych, co obrazuje powagę sytuacji.

W sierpniu, po zdarzeniu w Vénissieux, gdzie policja otworzyła ogień do próbującego staranować ją pojazdu, Darmanin oświadczył: „Trzeba wspierać naszych policjantów i naszych żandarmów, którzy codziennie narażają życie, aby przywrócić porządek republikański". Słowa o przywróceniu porządku, który najwidoczniej jest notorycznie gwałcony, to gorzkie wyznanie ze strony szefa resortu bezpieczeństwa wewnętrznego. Doszło już do tego, że po atakach natury terrorystycznej na francuskie komisariaty związki zawodowe policjantów, którzy teoretycznie mają zapewnić bezpieczeństwo populacji, domagały się ochrony policji przez wojsko.

SYSTEM POBŁAŻLIWOŚCI

Dużą frustracją dla stróżów prawa jest permisywność wymiaru sprawiedliwości, której ikoną w oczach krytyków stał się obecny minister Éric Dupond-Moretti, onegdaj adwokat z ksywką Uniewinniacz (przed objęciem rządowej teki miał na swym koncie 145 uniewinnień swych klientów w procesach sądowych i był, zdaje się, rekordzistą). Dupond-Moretti (wobec którego toczy się śledztwo w związku z podejrzeniami o nielegalne czerpanie korzyści) odziedziczył system, który przez lata umarzał postępowania, pobłażliwie traktował seryjnych recydywistów, a skazanym zapewniał komfortowe życie.

Ubiegłego lata wyciekły nagrania rajdów kartingowych zorganizowanych na dziedzińcu głównego podparyskiego więzienia Fresnes w ramach… resocjalizacji więźniów. Notabene jest to więzienie, które ma reputację „najlepszej paki", a jego były dyrektor jest właśnie sądzony za korupcję i zapewnianie skazanym luksusowych warunków życia.

Także poza Fresnes „da się żyć". W podparyskim Fleury-Mérogis Salah Abdeslam, jedyny żyjący zamachowiec zamachów z 13 listopada 2015 r. (130 zabitych), skazany w czerwcu na bezwzględne dożywocie, wziął ostatnio muzułmański ślub przez telefon (wbrew francuskiemu prawu, które zakazuje ślubów religijnych bez wcześniejszego ślubu cywilnego).

Według świeżych sondaży z listopada i października aż 77 proc. Francuzów uważa, że ich wymiar sprawiedliwości funkcjonuje źle, a jeszcze więcej, bo 81 proc. – że jest zbyt permisywny. Paradoksem, a raczej miarą sytuacji jest fakt, że mimo pobłażliwych wyroków więzienia i tak pękają w szwach. Pod koniec października w aresztach wyroki odsiadywało ponad 72 tys. osób (co jest prawie rekordem – więcej było ich tylko w marcu 2020 r., po czym z powodów sanitarnych odesłano część skazanych do domu), co stanowi ponad 119 proc. możliwości systemu więziennego.

Na problem przestępczości wpływa także zjawisko masowej i nielegalnej imigracji. Temat onegdaj tabu, przez dekady stanowiący powód do stygmatyzacji klanu politycznego Jeana-Marie Le Pena, został na początku listopada poruszony przez samego prezydenta Emmanuela Marcona w towarzystwie wspomnianego już ministra Géralda Darmanina jako powód zaostrzenia prawa imigracyjnego. Już w sierpniu Darminin tłumaczył: „Obcokrajowcy stanowią 7 proc. populacji francuskiej, a są odpowiedzialni za 19 proc. przestępczości. Nie dostrzegać tego faktu to być ślepym na rzeczywistość". Wtórował mu ostatnio prezydent: „Nie można nie dostrzec, że przynajmniej połowa przestępstw, czynów przestępczych, które widoczne są w Paryżu, pochodzi od osób, które są obcokrajowcami – albo przebywającymi nielegalnie, albo oczekujących na dokumenty pobytu".

Minister Darmanin dodawał, że takie same statystyki zachodzą w 10 największych miastach Francji. Ich reforma przewiduje uskutecznienie wydalania z kraju osób objętych nakazem opuszczenia go, których francuski wymiar sprawiedliwości orzeka ok. 300 dziennie (była objęta nim m.in. Algierka podejrzana o bestialski mord biednej Loli). Minister Darminin tłumaczył, że obecnie imigrant ma aż 12 możliwości odwołania się od decyzji o jego wydaleniu z kraju, a dzięki reformie będzie miał ich już tylko… cztery. Powodzenia.

Zdziczenie staje się stałym zjawiskiem, masowa imigracja dolewa oliwy do ognia, reformy zdają się bardziej kosmetyczne niż instytucjonalne, zbyt głośni krytycy są „faszystami", „rasistami" i „…fobami", i jeszcze „…ami", policja walczy o przywrócenie państwa prawa i błaga wojsko o ochronę.

Oczywiście sytuacja nie jest aż tak zła, żeby we Francji nie dało się już nigdzie mieszkać, żeby nie dało się jej zwiedzać, ale spokojny i szczęśliwy kraj, który wyłaniał się z francuskiego kina jeszcze do lat 70., odszedł do przeszłości. Pod znakiem zapytania stoi bezpieczna organizacja igrzysk olimpijskich w 2024 r. Proszę sobie przypomnieć finał Ligi Mistrzów w Saint-Denis w czerwcu, kiedy zaszły tam chaos przypisano pierwotnie angielskim kibicom Liverpoolu, a tymczasem bardzo szybko okazało się, że był wynikiem nalotu lokalnych band „młodych", którzy wdarli się na stadion bez biletów. Dochodziło również do kradzieży i napaści, w tym na tle seksualnym. Obecność setek policjantów i żandarmów może chwilowo łatać problem i skutecznie zabezpieczyć daną imprezę, ale nie zmienia to powagi sytuacji.

Pytania brzmią: Do jakiego poziomu dojdą przestępczość i zdziczenie, zanim jakiś silny czynnik przywróci porządek? Czy docelowo utrzyma się francuska państwowość taka, jaką znamy (państwa atomowego!), czy nastąpi „libanizacja" kraju? Czy dla przywrócenia państwa prawa wystarczy polityka „zero tolerancji" czy też nastąpi pewna faza absolutyzmu, zastąpienia np. obecnego wymiaru sprawiedliwości trybunałami wojskowymi mającymi pełne uprawnienia (idee takich „task force" pojawiają się wśród niektórych analityków)?

Francja wciąż jest „krajem do życia", ale nie brak Francuzów, którzy obrali życie za granicą, w tym w Polsce, dla świętego spokoju. Nie jestem przekonany, że zarówno nasze elity polityczne, jak i społeczeństwo są w pełni świadome, jak w stosunkowo krótkim czasie można stracić błogie poczucie bezpieczeństwa, spokoju społecznego, a tego nie mamy prawa zaprzepaścić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

Kobiety z punktami za płeć

Łukasz Warzecha

Nowa dyrektywa UE wprowadzi prawo nakazujące, by w dużych spółkach w radach nadzorczych zasiadało co najmniej 40 proc. kobiet lub do 33 proc. we władzach ogólnie. U podstawy wszystkich polityk rzekomo antydyskryminacyjnych leży być może nieuświadomiona pogarda ich zwolenników wobec grupy, którą chcą promować

FOT. ADOBE STOCK

FOT. XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Wszystkie komentarze, że kwoty to błąd, bo kobiety będą zatrudniane jedynie ze względu na swoją płeć, a nie na umiejętności, powinny pozostać w ubiegłym stuleciu. My już próbowałyśmy prosić miło, ale nie udało nam się przebić szklanego sufitu. Owszem, te przepisy są bardzo bezceremonialne, ale konieczne" – grzmiała podczas zeszłotygodniowej debaty w Parlamencie Europejskim socjalistyczna eurodeputowana z Holandii Lara Wolters, zachwalając dyrektywę równościową. Dyrektywa przeszła dzięki temu, że po 10 latach odblokowano ją w Radzie UE. Parlament przyjął swoje stanowisko negocjacyjne jeszcze w 2012 r., a pierwotnie osiągnięcie celów dyrektywy zostało wyznaczone na początek 2020 r. Teraz ten termin przesunięto na 2026 r., czyli na wypełnienie jej celów pozostawiono jedynie cztery lata, a nie – jak w pierwotnym projekcie – osiem.

Nowe prawo, które lada moment zostanie opublikowane w „Dzienniku Urzędowym UE", dotyczy jedynie giełdowych dużych spółek, czyli takich, które zatrudniają od 250 pracowników wzwyż oraz mają przynajmniej 50 mln euro obrotu rocznie. W takich firmach w radach nadzorczych ma zasiadać co najmniej 40 proc. kobiet lub do 33 proc. we władzach ogólnie. Za nieprzestrzeganie zasad mają być wymierzane kary, choć dyrektywa nie precyzuje, jak miałyby być surowe. Tak co do zasady wyglądają unijne dyrektywy: wyznaczają ogólny kierunek i zasady, jakich państwa mają przestrzegać, a ich szczegółowe wdrożenie i przekucie na język ustaw jest już sprawą poszczególnych krajów.

Niektóre państwa mogą być zwolnione z wdrażania dyrektywy – ale tylko, jeśli wcześniej same zaczęły już jej cele realizować i osiągnęły je do momentu wejścia przepisu w życie. W stanowisku Rady UE sformułowano to następująco: „[…] klauzula zawieszenia będzie dostępna tylko dla tych państw członkowskich, które przyjęły środki krajowe będące w sposób oczywisty »równie skuteczne«; oznacza to, że musiały one wprowadzić wiążące środki ilościowe w przepisach krajowych albo osiągają rzeczywiste rezultaty w postaci konkretnego odsetka osób niedostatecznie reprezentowanej płci zajmujących stanowiska dyrektorskie". Polska na klauzulę zawieszenia raczej się więc nie łapie.

POWIEW GŁĘBOKIEJ KOMUNY

Kwoty płciowe są jednym z lewicowych fetyszy. Nie tylko płciowe zresztą. Lewica uwielbia wyrównywać prawdziwe albo fikcyjne nierówności przepisami. W lewicowym myśleniu tkwi przekonanie, że rzeczywistość można urządzić oraz oczywiście poprawić właśnie poprzez uchwalanie przepisów. Jest to sprzeczne z konserwatywnym paradygmatem, zgodnie z którym rzeczywistość najlepiej kształtuje się sama w interakcjach pomiędzy ludźmi, a interwencje państwa mają być jak najrzadsze.

Kwoty jednak, a już szczególnie w gospodarce, są także sprzeczne z klasycznym liberalizmem. Pogwałcają przede wszystkim swobodę prowadzenia działalności gospodarczej, w ramach której przedsiębiorca powinien mieć maksymalnie daleko posuniętą swobodę urządzania własnej firmy. To także zaprzeczenie liberalnemu założeniu, że podstawą osiąganej w społeczeństwie pozycji jest własna praca i umiejętności, a nie odgórne kryteria i preferencje. W Europie Środkowej przechodziliśmy przez to w czasach głębokiej komuny, gdy przy przyjęciach na uniwersytety obowiązywały punkty za pochodzenie. Unia powiela teraz to rozwiązanie, tyle że ma ono dotyczyć kobiet, a ściślej rzecz biorąc, jak to określono w dyrektywie, „niedostatecznie reprezentowanej płci".

W wypowiedzi pani poseł Wolters pobrzmiewa ideologiczne zacietrzewienie, podczas gdy ona sama podaje najpoważniejszy argument przeciwko wszelkim rozwiązaniom kwotowym: ci, których dotyczą kwoty, będą zatrudniani wyłącznie ze względu na swoją płeć, a nie na umiejętności. Tyle że socjalistyczna eurodeputowana

eprasa.pl 5fd6eaf378

nie daje na to żadnej odpowiedzi, bo też dobrej odpowiedzi nie ma.

Komunikując decyzję organów UE, Parlament Europejski dołączył zestawienie odsetka kobiet na kierowniczych stanowiskach w dużych firmach w poszczególnych krajach UE, co samo w sobie ma być argumentem na rzecz dyrektywy. Średnia unijna to 32,3 proc., w Polsce to 25,3 proc. Nie jesteśmy jednak wcale na szarym końcu. Owszem, brakuje nam dużo do Finlandii (36 proc.), Francji (46,3 proc.) albo Niemiec (36,5 proc.), lecz wyraźnie wyprzedzamy Czechy (21,3 proc.), Rumunię (17,2 proc.), Węgry (10,5 proc.) czy najgorszą wśród 28 krajów UE Estonię (9,3 proc.).

Na te liczby można spojrzeć z dwóch stron. Pierwszą prezentuje raport, który w ubiegłym roku powstał pod auspicjami CFA Society Poland. To lokalny oddział CFA Institute, międzynarodowego stowarzyszenia powołanego w USA w 1947 r. i grupującego specjalistów z branży inwestycyjnej. Nawiasem mówiąc, w zarządzie polskiego CFA są sami mężczyźni.

Autorki raportu – Milena Olszewska-Miszuris, Anna Golec, Aleksandra Włodarczyk i Iweta Opolska – zbadały, ile kobiet jest we władzach polskich dużych firm notowanych w trzech indeksach na warszawskiej giełdzie oraz jakie to może mieć znaczenie dla ich funkcjonowania. Okazuje się, że pomiędzy 2010 a 2019 r. procentowy udział kobiet we władzach tych firm urósł nieznacznie: z 10 do 13,8 proc., przy czym, co ciekawe, okres przed 2015 r. był czasem całkowitej stagnacji, a momentami nawet spadku tego parametru. W 2019 r. tylko dwie spółki miały od 40 do 45 proc. kobiet we władzach. Najwięcej, aż 38 firm, mieściło się w przedziale najniższym: 0–5 proc. Z kolei w ciągu dziewięciu lat odsetek spółek, w których władzach nie było żadnej kobiety, spadł z 38 do 27 proc. Najwięcej kobiet jest we władzach firm zajmujących się energetyką i finansami, a najmniej – handlem detalicznym i medycyną.

Autorki raportu starały się zbadać zależność pomiędzy wyceną i atrakcyjnością inwestycyjną spółek a poziomem zróżnicowania płciowego ich władz. Nie wdając się w skomplikowane detale statystycznych wyliczeń – wyniki okazały się mocno niejednoznaczne. Udało się wyodrębnić dwa wskaźniki, w których zachodzi korelacja, lecz – jak wiadomo – korelacja nie musi oznaczać związku przyczynowo-skutkowego. W przypadku innych wskaźników bywało już bardzo różnie. Jedne wartości mogły wskazywać na niewielką korzyść ze zróżnicowania, inne – wręcz na stratę. Nie dało się zatem dowieść, że większa liczba kobiet w firmach to jednoznaczny zysk – choć patrząc zdroworozsądkowo, tak właśnie można by zakładać. Wszak kobiece spojrzenie na niektóre rodzaje działalności może być bardzo cenne. Z drugiej strony – może to mieć większe znaczenie w przypadku firm całkowicie prywatnych i rodzinnych, a znacznie mniejsze w przypadku dużych giełdowych spółek, a to one właśnie są obiektem unijnej regulacji.

UKRYTA POGARDA?

Możliwe jest też jednak spojrzenie od drugiej strony. Dyrektywa zakłada, że wciąż najważniejszym kryterium mają być kompetencje, a wybór kandydata o „niedostatecznie reprezentowanej płci" może nastąpić, jeśli jego predyspozycje są na identycznym poziomie co kandydata płci przeciwnej. A co, jeśli nie znajdzie się wystarczająco wielu kandydatów rzekomo dyskryminowanej płci? Spółki mają urządzać łapanki na ulicy? Czy może zatrudniać figurantki, byle wypełnić kwotę? Twórcy regulacji nie biorą pod uwagę, że mniejsza liczba kobiet wśród szefów w dużych spółkach wcale nie musi wynikać z istnienia jakiegoś szklanego sufitu, o którym tak gardłowały przedstawicielki socjalistów w PE, lecz po prostu z faktu, że kobiety mają inne priorytety. Kiedy spojrzymy na mapę pokazującą procentowy udział pań we władzach dużych firm, bardzo wyraźna okazuje się różnica pomiędzy starą a nową Unią. Czy jednak przyczyną jest jakaś systemowa dyskryminacja kobiet w naszej części Europy czy może raczej fakt, że wciąż ceniony jest tutaj inny model życia niż w Niemczech czy we Francji? Dla wielu kobiet stworzenie rodziny i wychowanie dzieci ma wartość większą niż robienie bardzo wymagającej i wyczerpującej kariery na wysokich szczeblach zarządzania, które często jest nie do pogodzenia z życiem rodzinnym.

W raporcie Ordo Iuris z 2021 r., poświęconym kwestii tzw. luki płacowej pomiędzy kobietami a mężczyznami, czytamy: „Zatem istotą gender equality nie jest wcale równouprawnienie kobiet i mężczyzn, które oznacza równość szans i praw, czyli wolność dokonywania wyborów zgodnych z preferencjami. W rzeczywistości przyjęcie równości płci wymaga, aby zarówno kobiety, jak i mężczyźni zajmowali takie same stanowiska, wykazywali identyczne preferencje zawodowe oraz przyjmowali jednakowe role w społeczeństwie. Nie bierze się pod uwagę, że rzeczywiste preferencje przedstawicieli obu płci mogą się różnić. W retoryce gender equality naturalne inklinacje kobiet do poświęcania się macierzyństwu oraz wykonywanie przez nie zawodów przypisywanych naukom społecznym i humanistycznym postrzegane są jako mało wartościowe, natomiast jako jedyne wartościowe zajęcie i jedyną możliwość osiągnięcia satysfakcji w życiu przedstawia się wykonywanie zawodów i przyjmowanie ról społecznych tradycyjnie przypisywanych mężczyznom".

Autorzy raportu wychwytują to, co jest istotą wszystkich polityk rzekomo antydyskryminacyjnych: u ich podstawy leży być może nieuświadomiona pogarda ich zwolenników wobec grupy, którą chcą promować. Wychodzą bowiem z założenia, że wiedzą lepiej, czego ta grupa chce, a jej przedstawiciele są za słabi i za głupi, żeby samemu te cele osiągać. Trzeba ich zatem do tego na siłę popychać i załatwiać im specjalne preferencje. Kobieta, która znalazłaby się we władzach firmy nie dlatego, że sobie to uczciwie wywalczyła, ale dlatego, że unijne organy uchwaliły odpowiednią dyrektywę, powinna właściwie stracić do siebie szacunek.

Jest jeszcze jeden element tej polityki, który jakoś umknął jej twórcom i zwolennikom: choć w dyrektywie jest mowa jedynie o „niedoreprezentowanej płci", to założeniem wprost wymienianym w uzasadnieniu do projektu jest istnienie dwóch płci, męskiej i żeńskiej, a stanowisko Rady UE mówi o „płci przeciwnej", co znów oznacza, że płcie są dwie. Cóż za karygodne niedopatrzenie! Dyrektywa ewidentnie dyskryminuje osoby kryjące się w znanym skrócie w literkach następujących po „LG". Dodatkową komplikacją może być niejasne rozróżnienie pomiędzy „płcią biologiczną" a „płcią kulturową". Jeżeli ktoś, dajmy na to, identyfikuje się jako kobieta, choć jest biologicznym mężczyzną, to czy będzie miał szansę skorzystać na nowych przepisach? Można chyba spokojnie założyć, że za jakiś czas wśród kadry menedżerskiej dużych firm nastąpi wysyp zmian identyfikacji płciowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

Historia pewnego listu

Grzegorz Majchrzak

Czterdzieści lat temu Lech Wałęsa napisał słynny list „kaprala do generała", czyli pismo do Wojciecha Jaruzelskiego. Jakie były okoliczności powstania tego pisma?

W „Dzienniku Telewizyjnym" 11 listopada 1982 r. o godz. 17 poinformowano o spotkaniu ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka z internowanym Lechem Wałęsą oraz o wystąpieniu szefa MSW o uwolnienie jego rozmówcy. Odczytano również krótki list przewodniczącego Solidarności do I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i premiera Wojciecha Jaruzelskiego. Brzmiał on tak: „Wydaje mi się, że nadchodzi już czas wyjaśniania niektórych spraw i działania w kierunku porozumienia. Trzeba było czasu, aby wielu zrozumiało, co można i na ile można jeszcze po obu stronach. Proponuję spotkanie i poważne przedyskutowanie interesujących tematów, a rozwiązanie przy dobrej woli na pewno znajdziemy". I przeszedł do historii jako „list kaprala do generała", gdyż Wałęsa posłużył się w jego przypadku stopniami wojskowymi, a nie pełnionymi funkcjami.

List ten powstał trzy dni wcześniej, a z jego ujawnieniem czekano na dogodny moment – takim okazała się śmierć 10 listopada Leonida Breżniewa, stojące-

eprasa.pl 5fd6eaf378

Lech Wałęsa i Czesław Kiszczak po osiągnięciu porozumień podczas Okrągłego Stołu, Warszawa, 5 kwietnia 1989 r. FOT. DAMAZY KWIATKOWSKI/PAP

go na czele Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, która miała (przynajmniej na „jakiś czas") przesłonić opinii (głównie zagranicznej, a także częściowo krajowej) wydarzenia w Polsce. Nie był to jednak jedyny powód – PRL-owskie władze starały się, i to dość intensywnie, o inną, bardziej korzystną z ich punktu widzenia formę listu.

Dlaczego przewodniczący Solidarności zdecydował się na jego napisanie? Otóż na dzień 10 listopada 1982 r. władze podziemnego związku, czyli Tymczasowa Komisja Koordynacyjna, zapowiedziały protest przeciwko delegalizacji NSZZ „Solidarność". Miał on polegać nie tylko na kilkugodzinnych strajkach, lecz także na manifestacjach ulicznych, których przebiegu nikt nie był w stanie przewidzieć. Lech Wałęsa ewidentnie obawiał się powtórki z 31 sierpnia 1982 r. Jak po latach wspominał w swojej autobiografii: „Krwi, która nie przyniesie rozwiązań, a obciąży także moje konto…". Niewykluczone, że był również drugi, bardziej prozaiczny powód napisania przez niego listu – jego obawa o swój stan zdrowia. Otóż przewodniczący Solidarności miał – według słów jednego z pilnujących go funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu – stwierdzić dzień po jego napisaniu: „Prawdopodobnie mam raka pod lewą małżowiną ucha". Z kolei sygnowanie przez niego listu nie jako przez przewodniczącego związku miało umożliwić jego publikację. Z drugiej strony nie chciał i nie mógł występować – jak chciały PRL-owskie władze – jako osoba prywatna. Wybrał zatem „rozwiązanie dość komiczne, ale do zaakceptowania w ówczesnych okolicznościach". Dzięki temu, jak twierdził: „List był więc dwuznaczny – niby godzę się na jakieś rozmowy, na krok w kierunku porozumienia, a jednocześnie sobie kpię"…

GOTÓW DO USTĘPSTW

Jego list nie wzbudził bynajmniej entuzjazmu rządzących. Jak zapisał w swoich dziennikach wicepremier Mieczysław Rakowski, uznali oni, że „jest to dość ogólny tekst". Postanowili oni również, że Wałęsie należy „zaproponować tekst poważniejszy". Przygotowali go Rakowski z Jaruzelskim. Znacząco różnił się on od oryginału i brzmiał: „Szanowny Panie Generale, przemyślałem sytuację – tak dalej nie można się szarpać. Uważam, że porozumienie wszystkich Polaków jest konieczne. Demonstracje, strajki i konspiracje organizowane przez gorące głowy do niczego nie prowadzą. Trzeba zaczynać od nowa. Nie robić starych głupstw. Ja też wiele zrozumiałem. Najlepiej budować nowe związki na dole, socjalizm tworzyć wśród ludzi. W tej trudnej sytuacji chciałbym zrobić coś pozytywnego dla Kraju". Co symptomatyczne, Wojciech Jaruzelski w tej wersji listu miał być tytułowany jako premier i generał armii, a Lech Wałęsa występować jako osoba prywatna.

Próbę przekonania przewodniczącego Solidarności do zmiany treści listu podjął jeden z pilnujących go BOR-owców – Marian Jaroń. Raportował on, że Wałęsa wydawał się skłonny do ustępstw. Co prawda, przewodniczący „S" twierdził, że napisanie nowego listu i jego opublikowanie w środkach masowego przekazu „nic nie da, gdyż w związku z ustaleniami z żoną [zapewne podczas jej ostatniej wizyty w Arłamowie w dniach 21–22 października 1982 r. – przyp. G.M.] i tak nikt w to nie uwierzy". Z drugiej jednak strony proponował spotkanie z wicepremierem Mieczysławem Rakowskim, a także swoje „wystąpienie w telewizji, a następnie odczytanie listu", co jego zdaniem mogło nawet „spowodować zaprzestanie działalności podziemnej", gdyż „takie osoby jak [Zbigniew] Bujak posłuchają go". Jak przy tym twierdził, był gotów do ustępstw, gdyż nie chciał dopuścić, „aby do strajku i rozlania krwi ponownie doszło".

W tej sytuacji Jaroniowi powierzono przekonanie przewodniczącego Solidarności do sygnowania wersji listu przygotowanej przez władze. I trzeba przyznać, że ten esbek (BOR był częścią SB) sumiennie zabrał się do pracy – m.in. okłamał Lecha Wałęsę, twierdząc, że autorami nowej wersji listu są on oraz jego kolega z Biura Ochrony Rządu Eugeniusz Kwapis. Wydawało się nawet, że skutecznie – przewodniczący Solidarności miał zgodzić się z treścią odczytanego mu dokumentu, a nawet – jak raportował Jaroń – zadeklarować, że gotów jest „napisać wystąpienie w podanej przeze mnie formie, które odczyta podczas spotkania z tow. Rakowskim przed kamerami telewizji". Poza tym zaraz po rozmowie z BOR-owcem zaczął pakować swoje ubrania do walizki przekonany, że „może być w każdej chwili zabrany stąd przez generałów". Takie przynajmniej informacje przekazano do Warszawy.

„BĘDZIEMY MIELI Z NIM KŁOPOTY"

Prawdopodobnie pod ich wpływem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych przygotowano plan, który przewidywał, że list Wałęsy zostanie ogłoszony wraz z informacją, iż odwiedził go minister spraw wewnętrznych, a następnie przewodniczący Solidarności odzyska wolność. I zaczęto go realizować – 9 listopada wieczorem do Arłamowa przyjechał Kiszczak. Odbył on z Lechem Wałęsą długą, dwuipółgodzinną „pogawędkę" w cztery oczy. Jak wspominał po latach przewodniczący Solidarności, rozmawiali „jak mężczyzna z mężczyzną". Rozmowa była trudna i nie przyniosła spodziewanych efektów, a „wszechwładny" szef MSW wracał do stolicy ewidentnie sfrustrowany. Jak relacjonował 18 listopada, czyli już po zwolnieniu Lecha Wałęsy z internowania, członkom Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR: „Wałęsa nie zmienił się, jest to mały człowiek, żulik, lis, chytry człowiek, chce oszukać partnera".

eprasa.pl 5fd6eaf378

I ostrzegał: „Będziemy mieli z nim kłopoty". W tych słowach ewidentnie widać złość, rozczarowanie Czesława Kiszczaka. I trudno się temu dziwić, skoro jechał do przewodniczącego Solidarności przekonany, że jego misja jest jedynie formalnością, a tymczasem tego ostatniego do sygnowania listu w wersji przygotowanej przez PRL-owskie władze nie skłoniły nawet niedwuznaczne groźby, wręcz szantaż.

Według Mieczysława Rakowskiego Czesław Kiszczak „powiedział mu, że to nie żarty", oraz przypomniał historię z dolarami (na temat rzekomo posiadanych przez siebie kilkuset tysięcy dolarów – co było wówczas ogromną, niewyobrażalną wręcz dla przeciętnego Polaka sumą – Lech Wałęsa wypowiadał się kilkakrotnie w czasie internowania). Przewodniczący Solidarności nie dał się jednak zastraszyć, gdyż – jak stwierdzał – „i tak wam naród nie uwierzy. Naród uwierzy mnie". Tak na marginesie – jak tłumaczył dwa dni później jednemu z pilnujących go funkcjonariuszy BOR – podczas rozmowy z ministrem spraw wewnętrznych „nie podpisał żadnego oświadczenia", gdyż „nie otrzymał w zamian nic dla swoich kolegów, którzy są internowani i aresztowani".

Tymczasem władze PRL – mimo niepowodzenia misji Kiszczaka – nie rezygnowały z nakłonienia Wałęsy do sygnowania korzystniejszej z ich punktu widzenia wersji listu. Takie zadanie otrzymali Marian Jaroń wraz z innym funkcjonariuszem BOR Jerzym Smolińskim. I 10 listopada podjęli kolejną próbę przekonania do tego przewodniczącego Solidarności. Jak potem raportowali, po blisko półtoragodzinnej rozmowie wyraził on „zgodę na sporządzenie oświadczenia w skróconej formie". Miał nawet deklarować: „pójdę jeszcze dalej", „zrobię wszystko, by w Kraju zapanował spokój". Stawiał jednak również warunki: „tylko wtedy, jeżeli nie będę oszukany – nie dam się oszukać". Podtrzymywał swoje stanowisko w sprawie konieczności wystąpienia telewizyjnego i argumentował: „Żeby w to wszystko społeczeństwo uwierzyło, powinienem wystąpić w telewizji, by to wszystko skomentować, jestem pewien, że społeczeństwo to zrozumie i zapanuje spokój". Domagał się też – jak twierdził: „dla sprawniejszej pracy" – przeniesienia bliżej stolicy, np. do Konstancina, oraz „przeglądu bieżących informacji". Wiadomo również, że przygotował nową, kompromisową wersję swojego listu do Wojciecha Jaruzelskiego, jednak władze PRL nie zdecydowały się na jej wykorzystanie. I to, mimo że jak zapisał w swych dziennikach Mieczysław Rakowski: „Formalnie rzecz biorąc, oświadczenie było dobre, ale […] nie było w nim akceptacji ustawy związkowej itp.". W tej sytuacji list ten – 11 listopada – zwrócono Wałęsie, który podarł go z ulgą, stwierdzając, że „gdyby [go] napisał wczoraj w obecności ministra, miałoby to sens, obecnie jest za późno". Wyraźnie też po raz kolejny usztywnił swoje stanowisko. Odmówił napisania oświadczenia dla telewizji i zadeklarował: „Będę tylko rozmawiać z wolnej stopy, jako człowiek wolny".

Władze PRL starały się zdyskontować propagandowo list Wałęsy. Był on również wykorzystywany przez Służbę Bezpieczeństwa

UPUBLICZNIENIE PO NARADACH

W tej sytuacji rządzący postanowili upublicznić w Telewizji Polskiej „list kaprala do generała". Zdecydowali się na to zresztą po burzliwych naradach przy sprzeciwie części dygnitarzy (m.in. Floriana Siwickiego – wiceministra obrony narodowej i jednego z najbliższych współpracowników Wojciecha Jaruzelskiego), głównie w obawie przed przeciekiem informacji o liście oraz rozmowie przewodniczącego Solidarności z ministrem spraw wewnętrznych do opinii publicznej i utratą spodziewanego wydźwięku propagandowego. Jak odnotował 12 listopada 1982 r. Rakowski: „Co się tyczy Wałęsy, to ludzie są zdumieni, zaskoczeni, zaszokowani. Niektórzy zastanawiają się, dlaczego podpisał się: »kapral Lech Wałęsa«. Czy to oznacza, że »podporządkował się generałowi«?". I jak konkludował: „Im więcej będzie niejasności wokół Wałęsy, tym lepiej". Innego potencjalnego zysku – oczywiście dla rządzących – z zaistniałej sytuacji doszukiwał się członek Biura Politycznego KC PZPR Kazimierz Barcikowski, według którego w przypadku przewodniczącego Solidarności po napisaniu przez niego listu do Jaruzelskiego i zwolnieniu z internowania „legenda niezłomnego i internowanego Wałęsy upadła". Było to jednak myślenie typowo życzeniowe. Rzeczywiście opublikowanie „listu kaprala do generała" wywołało falę spekulacji, domysłów. Jak pisano np. w zachodnioniemieckim „Frankfurter Allgemeine Zeitung", kilka dni po zwolnieniu przewodniczącego Solidarności: „Zakończenie okresu internowania przywódcy związku zawodowego, Wałęsy, stwarza wiele zagadek. Kto kierował jego ręką, gdy w swym liście do szefa rządu, Jaruzelskiego, napisał, że nadszedł czas odpowiedniego ustawienia pewnych rzeczy – oto pytanie, jakie zadają sobie w Warszawie […]. Co ma oznaczać podpis ze stopniem wojskowym kaprala? […] Czy kapral nie traktuje już siebie jak przywódcę związkowego?".

Z drugiej jednak strony np. znany francuski dziennik „Le Figaro" komentował list krótko: „Kapral Wałęsa zrobił szwejkowski dowcip reżimowi", a inny dziennik z tego samego kraju „Liberation" stwierdzał: „Kapral Wałęsa przypomniał, że Napoleon też był kapralem".

„List kaprala do generała" nie przeszkodził oczywiście w entuzjastycznym powitaniu zwolnionego przewodniczącego Solidarności przez gdańszczan. I nie tylko przez nich. Na łamach najważniejszego pisma podziemnego – „Tygodnika Mazowsze" – pisano: „Postępowanie Wałęsy (podczas internowania) jest dla nas przykładem odwagi, determinacji i oporu. Od początku (sprzeciwu robotniczego) jest naszym przywódcą we wspólnej walce. Witamy go [po powrocie z internowania – przyp. G.M.] z radością i nadzieją". I nie był to wyjątek, lecz raczej norma.

Na koniec warto przypomnieć, że w kolejnych tygodniach, miesiącach, a nawet latach władze PRL starały się zdyskontować propagandowo ten list. Był on również wykorzystywany przez Służbę Bezpieczeństwa w działaniach dezintegracyjnych wymierzonych w Lecha Wałęsę. Na przykład pod koniec lipca 1984 r. w związku z amnestią dla więźniów politycznych wiceminister spraw wewnętrznych zalecał swoim podwładnym z całego kraju „wytwarzanie o nim [Wałęsie – przyp. G.M.] wśród amnestionowanych niekorzystnej opinii". W tym kontekście miał być wykorzystywany również wspomniany „list kaprala do generała", który uznano za „»harcerskie« ośmieszające go działanie". Nie trzeba chyba dodawać, że te działania SB – wspieranej przez PRL-owską propagandę – były prowadzone z marnym skutkiem.

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

Ekspert o tzw. ustawie odległościowej – tylko zapis o 500 m gwarantuje rozwój farm wiatrowych

W najbliższą środę parlamentarzyści spotkają się na jednym z ostatnich posiedzeń Sejmu w tym roku. Wiele wskazuje na to, że posłanki i posłowie zajmą się wtedy długo wyczekiwaną ustawą wiatrakową. Obowiązująca od 2016 r. zasada 10H wyklucza z inwestycji wiatrowych 99,7 proc. obszaru Polski – wynika z obliczeń Instratu.

– W praktyce oznacza to, że każda nowa turbina wiatrowa nie może znajdować się bliżej zabudowań niż 1,5–2 km. Prawo uniemożliwia także rozbudowę już istniejących turbin – przypomina Michał Hetmański, prezes Fundacji Instrat. – Słyszymy informacje, że kompromis parlamentarny pozwalający zmienić prawo dla wiatraków ma zmniejszyć minimalną odległość od budynków mieszkalnych do 1000 m. Według naszych obliczeń niewiele różni się to od stanu, z którym mamy do czynienia teraz. Obecna wersja projektu ustawy z zapisem o 500 m i tak jest daleko

Michał Hetmański, prezes Fundacji Instrat

idącym kompromisem i dotyczy istniejących projektów, a my potrzebujemy uwolnienia potencjału nowych inwestycji – dodaje Hetmański.

Potencjał rozwoju jest ogromny. Instrat w raporcie „Co po węglu? Potencjał OZE w Polsce" z ubiegłego roku porównał przewidywany rozwój farm wiatrowych na lądzie z zasadą 10H i przy zmniejszeniu minimalnej odległości od zabudowań mieszkalnych do 500 m. Pierwszy scenariusz podawał 8,7 GW mocy zainstalowanej w 2030 r., czyli zaledwie drobny przyrost w stosunku do dzisiejszego stanu wynoszącego 7,6 GW. Liberalizacja odległości do pułapu 500 m umożliwia osiągnięcie 18,3 GW mocy w 2030 r., czyli ponad dwukrotnie więcej, niż mamy dzisiaj.

Co należy więc zrobić? Według eksperta Instratu należy jak najszybciej przyjąć prawo, które ograniczy bariery dla inwestycji wiatrowych.

– Rozsądny wydaje się minimalny bufor odległości od budynków mieszkalnych na poziomie 500 m, który Ministerstwo Klimatu pokazało w projekcie już kilka miesięcy temu. Pamiętajmy też, że już od 2025 r. elektrownie węglowe będą wyłączane z systemu, bo zaczną wygasać kontrakty mocowe. Jedyny realny sposób, aby załatać tę dziurę, to szybki rozwój odnawialnych źródeł energii. To nasza racja stanu. Bez tego nie będzie taniego i zielonego prądu w Polsce – podkreśla ekspert.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 5fd6eaf378

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Praworządność

To określenie oznacza nic ponad to, jak rządy prawa. Hasło to dziś jest bardzo modne i prawie nic nie mówi przeciętnemu odbiorcy. Jakie mamy prawo po 1944 r.? I czy po zmianach od 1989 r. nastąpiła jakakolwiek weryfikacja kadr? Oczywiście, że nie. Istnieje całkowita ciągłość między Polską Ludową i tym, co nazywamy III RP. Przypatrzmy się zatem genezie „specjalnej kasty". W pierwszych latach Polski Ludowej wykorzystywani byli prawnicy przedwojenni (tych jednak starannie weryfikowano pod kątem „klasowym"). Nastąpił też dopływ kadr sowieckich, bo rodzima komuna nie dysponowała własnym zapleczem. Pośpiesznie przystąpiono jednak do jego tworzenia: były uproszczone nominacje, kursy, „przyuczenia" itp., co spowodowało, że zaplecze się znalazło i stale rozrastało.

Jeden z teoretyków i praktyków w tej dziedzinie – doszedł w swej karierze od sędziego WSR (gdzie orzekał kary śmierci!) do sędziego… Sądu Najwyższego! – płk Bogdan Dzięcioł tak charakteryzował nabór kandydatów do „Fakultetu Wojskowego", czyli fabryki wydwiżeńców: „Za obcych klasowo uważano wówczas, według orzeczenia specjalnej komisji personalnej, synów robotników wykwalifikowanych, takich jak ślusarze i kowale fabryczni, szewcy, cieśle i kominiarze". Niezbędny do przyuczenia stał się więc lumpenproletariat. O jakości owych kadr mogły świadczyć nawet ich nazwiska: Paskudzki, Motłoch czy Gnida.

A kogo skazywano? „Przed sądami rejonowymi stawali członkowie band rabunkowych, terroryści i szpiedzy, mordercy i sabotażyści". Czyżby? Rotmistrz Witold Pilecki czy Danuta Siedzikówna „Inka" to która kategoria?

Inny teoretyk i praktyk komunistycznego wymiaru (nie)sprawiedliwości, płk Mosze (Marian) Muszkat, uważał, że obowiązujące przepisy, jeśli są zbyt łagodne, nie mogą być stosowane. On też opisał zasadę, że w procesie skazywania oskarżonego „wroga ludu" musi zaistnieć współdziałanie: prokuratora, adwokata i sędziego. Wszyscy muszą zgodnie pracować na rzecz ludowej „sprawiedliwości". Jeszcze inny, Leo Hochberg, wymyślił, że tzw. propaganda szeptana (czyli pospolite plotki) to… zdrada stanu i musi być karana z całą surowością, aż do kary śmierci. Jak wówczas miało przetrwać społeczeństwo, bądź co bądź wychowane w systemie zupełnie innych norm społecznych i moralnych? A to jeszcze nie koniec. Również teoretyk „prawa" doc. Leon Schaff (brat osławionego Adama) w 1953 r. wymyślił, że wrogowie ludu to po prostu „byli ludzie", których można i trzeba pozbawiać wolności, a nawet życia w trybie pozasądowym, jak w Związku Sowieckim liszeńców.

Niemcy traktowali swych wrogów jako „podludzi". Ale mimo wszystko ofiary pozostawały ludźmi, choć to był gorszy sort. „Były człowiek" stawał się zwierzęciem albo nawet rzeczą. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Reymont i „Chłopi"

Pisarz sprawiał wrażenie człowieka, który dłużej nie potrafi usiedzieć w jednym miejscu. Chociaż oficjalnie mieszkał w Warszawie, to wciąż jeździł po kraju, ewentualnie wyjeżdżał na zachód Europy. Część tych wędrówek można było wytłumaczyć zaleceniami lekarskimi, ale w rzeczywistości Reymont najlepiej czuł się w podróży. Bez większych problemów pisał w hotelach i pensjonatach, liczyły się tylko: krzesło, biurko lub stół. Tłumaczył, że w Warszawie przeszkadzali mu w pracy ludzie odwiedzający go bez uprzedzenia i zabierający mu czas.

Inna sprawa, że w pewnym sensie sam był temu winien. Był bowiem człowiekiem niezwykle towarzyskim, który w Warszawie nie potrafił żyć bez kontaktów ze znajomymi. Uwielbiał toczyć długie rozmowy, snuł najrozmaitsze opowieści, czasami niemające wiele wspólnego z prawdą. W efekcie „pół życia i najlepszych sił" tracił na spotkania, które „prowadziły do niczego".

Wiedział o swoich słabościach i dlatego najchętniej wyjeżdżał za granicę, szczególnie do Paryża. Tam był osobą niemal zupełnie anonimową i mógł spokojnie pracować w sposób taki, jaki najbardziej mu odpowiadał.

Inna sprawa, że gdy pisał „Chłopów", musiał niemal cały swój czas poświęcić powieści. Pisanie w odcinkach dla prasy jest zawsze trudnym zadaniem, a rozmiary książki spowodowały, że pracował nad nią przez 10 lat. Dodatkowym problemem był fakt, że niezadowolony z pierwszego tomu spalił część rękopisu, zniszczeniu uległo ponad 11 tys. wierszy. Odtwarzając zniszczone fragmenty, musiał nadrobić stracony czas, dlatego nie zwracał uwagi nawet na stan swojego zdrowia.

„Pierwszy tom »Chłopów« pisał Władek w Bretanii nad morzem – wspominała żona pisarza. – Gdy skończył opis wesela, nad którym niemal bez przerwy pracował przez kilka dni, po prostu bez sił padł na łóżko, tak doszczętnie wyczerpany, że wystraszona, natychmiast sprowadziłam lekarza. Obejrzał, opukał, obadał, wreszcie zapytał:

– Co się z panem działo, że pan się doprowadził do tak groźnego stanu?

– Przez trzy doby bez przerwy tańczyłem oberka – odpowiedział pacjent".

„Chłopi" zaczęli ukazywać się na łamach „Tygodnika Ilustrowanego" w 1902 r., a w 1924 r. Reymont dostał za powieść literacką Nagrodę Nobla. Dwa lata wcześniej nakręcono niemą ekranizację, a w czasach PRL powstał fantastyczny 13-odcinkowy serial (premiera pierwszego odcinka 26 listopada 1972 r.). Później pojawiła się wersja kinowa, a obecnie zapowiedziana jest nowa ekranizacja. Czy dorówna poprzedniej, być może niebawem się przekonamy. ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 5fd6eaf378

FOT. DIMITAR DILKOFF/AFP/EAST NEWS

Kijów gra Warszawie na nosie

Maciej Pieczyński

Gorszące zachowanie Wołodymyra Zełenskiego, który w sprawie Przewodowa szedł w zaparte, to tylko jeden z wielu zgrzytów w relacjach polsko-ukraińskich w ostatnich tygodniach. Kijów często traktuje Warszawę jak uległego młodszego partnera, który nie ma prawa do jakichkolwiek pretensji

Co do jednego nie można mieć wątpliwości. Ukraińcy są naprawdę bardzo wdzięczni Polsce i Polakom za pomoc. Podkreślają to na każdym kroku, na każdym możliwym poziomie. „Gdyby nie Polacy, dziś nie byłoby nas wśród żywych" – zapewniał Ołeksij Arestowycz w rozmowie z opozycyjną dziennikarką rosyjską Julią Łatyniną. Nie ma powodu, by kwestionować szczerość doradcy szefa biura prezydenta Ukrainy. 11 listopada, z okazji 104. rocznicy odzyskania niepodległości, Zełenski złożył Polsce życzenia w 104 słowach po polsku. Nazwał nasz kraj „siostrą" Ukrainy. „Kiedy znów spotkaliśmy się ze starym, wspólnym wrogiem, Polska była obok. Ukraińcy zawsze będą to pamiętali" – mówił łamaną, ale jednak polszczyzną, ukraiński prezydent. To jednak przede wszystkim – a być może tylko – słowa. Na chwilę obecną można się obawiać, że uniknięcie scenariusza, w którym Polska, zamiast graniczyć z Ukrainą, graniczyłaby z Rosją, będzie ogromną, ale przy tym jedyną korzyścią, którą Warszawa uzyska dzięki bezprecedensowemu poparciu dla Kijowa.

SPRZECZNE INTERESY

Można było mieć nadzieję, że po 24 lutego otwiera się nowy rozdział we wzajemnych relacjach. Że chemia między Andrzejem Dudą i Wołodymyrem Zełenskim, twarda postawa Warszawy wobec Moskwy i przyjęcie milionów uchodźców nad Wisłą pomogą w rozwiązaniu problemów, takich jak choćby kwestie pamięci o ludobójstwie na Wołyniu. Że Ukraina będzie traktować Polskę jak równorzędnego partnera, sojusznika, będzie liczyć się z jej zdaniem i grać z nią w jednej geopolitycznej drużynie. Tymczasem wiele wskazuje na to, że relacje pomiędzy Warszawą i Kijowem dalej mają charakter jednostronny.

Gdy tylko w przestrzeni publicznej pojawiła się informacja o tragedii w Przewodowie, przedstawiciele ukraińskich władz niemal od razu stwierdzili, że przyczyną była rosyjska rakieta, a kto twierdzi inaczej, ten szerzy kremlowską propagandę. Szef MSZ Dmytro Kułeba porównał sytuację do zestrzelenia malezyjskiego boeinga nad Donbasem w 2014 r. Prezydent Wołodymyr Zełenski pisał o „rosyjskim uderzeniu na bezpieczeństwo zbiorowe w świecie euroatlantyckim". Złożył wyrazy współczucia „polskim braciom i siostrom". Jego doradca Mychajło Podolak posunął się dalej. Stwierdził mianowicie, że uderzenie w Polskę nie było przypadkiem, lecz zaplanowanym atakiem Rosji, który miał jedynie wyglądać na pomyłkę. „Tak bywa, kiedy zło nie zostaje ukarane, a politycy zajmują się uspokajaniem agresora". Dał więc do zrozumienia, że częściową odpowiedzialność za tragedię ponosi Zachód, który niewystarczająco skutecznie powstrzymywał rosyjski imperializm.

Żaden z wypowiadających się ukraińskich rządzących nie przedstawił dowodów na potwierdzenie swoich tez. Do pewnego stopnia można zrozumieć postawę Zełenskiego i jego współpracowników. Oczywistym celem Kijowa od samego początku inwazji jest wciągnięcie

eprasa.pl 5fd6eaf378

państw NATO do wojny po swojej stronie. Z drugiej strony nawet Amerykanie w ostatnim czasie zdają się raczej dążyć do deeskalacji niż do eskalacji. Dlatego Waszyngton (a przez to i Warszawa) oraz Kijów mają sprzeczne interesy. Amerykanie z pewnością woleliby, żeby to była rakieta ukraińska, co zdejmowałoby z nich presję na ostrą reakcję w obronie sojusznika. Ukraińcy przeciwnie – dla nich atak Rosji na NATO byłby czymś zbawiennym. Takie wnioski wprost padają w ukraińskich mediach.

Opinia publiczna nad Dnieprem zaczęła domagać się od Zachodu natychmiastowej reakcji na „atak rosyjski". A przy tym – krytykować rzekomą słabość swoich sojuszników. „Nie wierzę w szybką reakcję NATO. W praktyce NATO pokazało już swoją niezdolność do reagowania na wielką wojnę na kontynencie europejskim" – pisał politolog i ekspert ds. komunikacji strategicznej Dmytro Bohusz. Stwierdził, że NATO tylko „patrzy z boku", jak Rosja zrównuje z ziemią największy kraj Europy. Dlatego taki sojusz nie jest nikomu potrzebny w obecnych warunkach. A jeśli NATO nie odpowie na agresję na swoje terytorium, to wojna niebawem rozleje się na kolejne kraje. Zdaniem Bohusza, jeśli art. 5 nie zostanie wdrożony, to sojusz będzie musiał wytłumaczyć Polakom i światu, dlaczego zaniechał samoobrony.

OBURZENIE NA „BIERNOŚĆ NATO"

Przez ukraiński Internet przelała się fala oburzenia na „bierność NATO". Co ciekawe, w obronie paktu stanęła Sofia Fedyna, parlamentarzystka z partii Solidarność Europejska Petra Poroszenki. Na antenie telewizji Priamyj Kanał potępiła antynatowską retorykę, która jej zdaniem służy jedynie Moskwie. Fedyna miała w tym swój polityczny interes – uderzyć w Zełenskiego. „Kategoryczne oświadczenia ze strony naszych władz (o tym, że to była rosyjska rakieta) nie są w interesie Ukrainy" – stwierdziła deputowana. Jej zdaniem Kijów, zamiast prezentować postawę roszczeniową wobec Zachodu i permanentnie domagać się od sojuszników pomocy, powinien sam wydawać więcej pieniędzy na obronę przeciwlotniczą. „Dlaczego wydaliście aż 75 mld na drogi? To może zalejcie Bankową (ulica, przy której znajduje się siedziba prezydenta) asfaltem i przestańcie opowiadać, że coś wam winne są NATO, Ameryka, Polska czy ktoś tam jeszcze" – apelowała do rządzących Fedyna.

Jak wiadomo, gdy najpierw Duda, potem Biden oznajmili, że na Przewodów spadła najpewniej ukraińska rakieta, Zełenski i jego otoczenie kategorycznie temu zaprzeczyli i zażądali dowodów albo udziału w śledztwie. Prawdopodobnie dopiero po naciskach z Waszyngtonu ukraiński prezydent złagodził nieco retorykę, stwierdzając, że jest co prawda przekonany o rosyjskiej winie, ale stuprocentowej pewności nie ma. W momencie, gdy piszę te słowa, śledztwo trwa, a Kijów wciąż obstaje przy swoim. Jeśli okaże się ponad wszelką wątpliwość, że to Zachód miał rację, a Zełenski wiedział, ale z powodów politycznych nie chciał się przyznać, powinno to być bardzo poważne ostrzeżenie dla Polski. Poważniejsze niż spór o Wołyń. W sprawie ludobójstwa sprzed ośmiu dekad Kijów zawsze może się zasłaniać pracami ukraińskich historyków albo bagatelizować znaczenie dawnych krzywd. Przewodów to sprawa aktualna, w której nie ma miejsca na niedopowiedzenia, niewiedzę, brak źródeł czy zrzucanie winy na „błędy polityki II Rzeczypospolitej". A do tego nieszczęśliwy wypadek. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie obarczałby winą Zełenskiego. Chodzi jedynie o to, by z szacunku do sojusznika oficjalnie przeprosić i wypłacić odszkodowanie. To gest, który niewiele kosztuje – pomyłki na wojnie się zdarzają. Jeśli nawet do takiej pomyłki Kijów nie zamierza się przyznać, to być może dlatego, że przyzwyczaił się do całkowicie uległej postawy Warszawy, która w żaden sposób nie próbuje nawet wystawiać rachunku za swoje wsparcie.

KARA ZA ASERTYWNOŚĆ?

Gdy potulny zazwyczaj sojusznik wreszcie zachował się asertywnie, Zełenski prawdopodobnie postanowił go ukarać. O nominacji Andrija Melnyka na wiceministra spraw zagranicznych mówiło się nieoficjalnie od wielu tygodni, ale z jakiegoś powodu wstrzymywano się z nią i ogłoszono akurat tuż po wybuchu sporu o Przewodów. Znany z niewyparzonego języka dyplomata w słynnym już wywiadzie dla niemieckich mediów powiedział, że Polacy byli dla Ukraińców takimi samymi wrogami jak III Rzesza i ZSRS. Ponadto relatywizował ludobójstwo na Wołyniu. Stwierdził, że Polacy mordowali Ukraińców tak samo jak Ukraińcy Polaków. Bronił też dobrego imienia Stepana Bandery i zanegował udział jego zwolenników w Holokauście. Co ciekawe, za swoje słowa, po protestach Izraela, przeprosił Żydów. Polacy nie naciskali, więc podobnych przeprosin się nie doczekali. Można się spodziewać kolejnych afrontów ze strony Melnyka.

Z drugiej strony, niepokojąco wybrzmiały słowa Ołeksija Arestowycza ze wspomnianego już wywiadu dla Julii Łatyniny. Arestowycz dziękował Polakom nie tylko za bezprecedensową pomoc dla Ukraińców, lecz także za to, że w imię sojuszu i przyjaźni postanowili jakoby zapomnieć o rzezi wołyńskiej. To nie była ironiczna, złośliwa czy triumfalna opinia, ale wyraz szczerej wdzięczności za rzekome ustępstwa Warszawy. Polskie władze zaprzeczyły, pojawiającym się już wcześniej w mediach, podobnym rewelacjom. Jednak, niezależnie od tego, jaka jest prawda, to symptomatyczne, że jeden z najważniejszych – a na pewno najpopularniejszych – przedstawicieli władz w Kijowie publicznie wyraża przekonanie, iż Polska przestała upominać się o prawdę w sprawie Wołynia.

Punkt widzenia Kijowa, wyrażany wprost lub dający się wyczytać między wierszami, można zrekonstruować następująco: to miło, że Polacy tak bardzo pomagają Ukraińcom, ale wystarczy im w zamian rzucić parę miłych słów. Po pierwsze, przecież Ukraina broni Polski i Zachodu przed inwazją Rosji. Po drugie, Warszawa pomaga Ukraińcom w zasadzie za darmo, nie wystawia rachunku, więc trzeba korzystać. A nawet jeśli w Przewodowie spadła ukraińska rakieta, to w zasadzie winny jest Zachód – bo dostarcza zbyt mało nowoczesnego sprzętu przeciwlotniczego Ukrainie. Ten ostatni argument brzmiałby logicznie, gdyby był artykułowany w mniej roszczeniowy, bardziej wyważony sposób. I gdyby Ukraina w bardziej stonowany sposób odniosła się do tragedii na Lubelszczyźnie.

Niestety, w ukraińskiej opinii publicznej dominuje raczej przekaz taki, jak w wypowiedzi Andrija Sadowego: „Rozumiem żal Polaków, ale musicie zrozumieć, że w samym tylko Lwowie mamy po trzy, cztery pogrzeby dziennie" – mówił mer Lwowa. Tę wypowiedź warto zestawić ze sporami o Wołyń. Ukraińscy historycy i publicyści często odrzucają argument, zgodnie z którym o wiele więcej Polaków zginęło z rąk Ukraińców niż odwrotnie. Przekonują wówczas, że licytacja na liczbę ofiar jest nieetyczna. Dla mera Sadowego dwóch obywateli wiernego sojusznika to, parafrazując zdanie przypisywane Stalinowi, tylko statystyka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

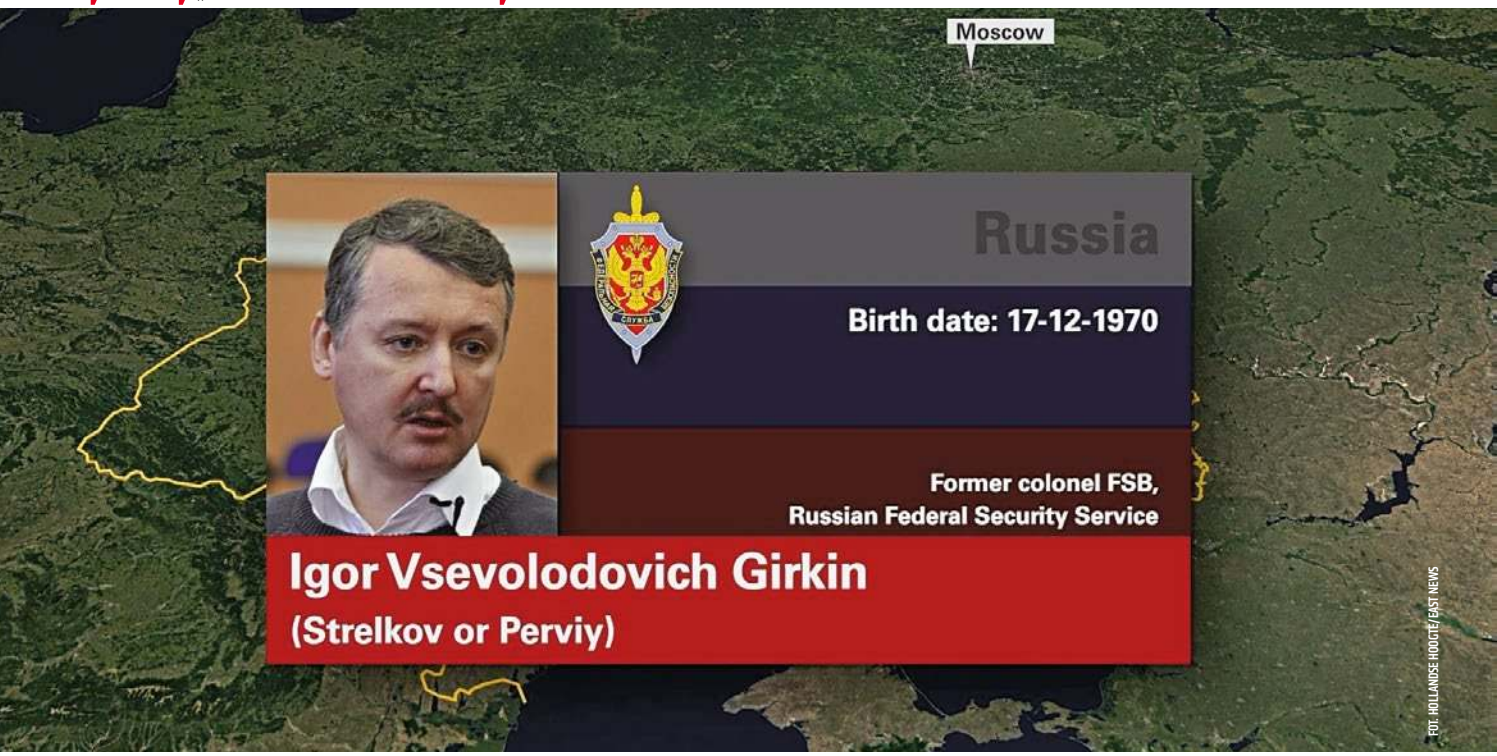

FOT. HOLLANDSE HOOGTE/EAST NEWS

Gierki Girkina

Piotr Włoczyk

Bohater prorosyjskich separatystów na Ukrainie i idol rosyjskich wojskowych zawiedzionych kolejnymi klęskami usłyszał właśnie wyrok dożywocia za zbrodnię z 2014 r. Nie tylko Ukraińcy, lecz także Holendrzy będą teraz niecierpliwie czekać, aż Igor Girkin trafi do niewoli

Girkin pełnił funkcję „ministra obrony" tzw. Donieckiej Republiki Ludowej, gdy podlegli mu funkcjonariusze przeprowadzili kuriozalną rozmowę, której tragiczny efekt wstrząsnął światem.

– Ptaszek do was leci.

– Rekonesansowy czy jakiś duży?

– Nie widzę, bo chmury zasłaniają.

– Rozumiem, przekaż to wyżej.

Rozmowa ta miała miejsce 17 lipca 2014 r., kwadrans po godz. 16. Po wszystkim Służba Bezpieczeństwa Ukrainy stwierdziła, że o „ptaszku" rozmawiali Walerij Stelmak i Igor Bezler – dwaj separatyści służący pod Girkinem. Niezmiennie szokować może niefrasobliwy ton tej rozmowy. Ludzie, którzy odpowiadali za działanie obrony przeciwlotniczej na terenach oderwanych od Ukrainy, nie byli skłonni do większej refleksji nad tym, czym właściwie jest ów „ptaszek", który pojawił się jednemu z nich na ekranie radaru. Efektem było odpalenie rakiety przeciwlotniczej systemu Buk, która dosłownie poszatkowała kabinę pilotów boeinga 777 Malaysia Airlines z 298 osobami na pokładzie (zdecydowana większość z nich to Holendrzy). Późniejsze dochodzenie ustaliło, że piloci zginęli na miejscu, śmiertelnie ranieni kawałkami metalu pochodzącymi z rakiety i rozerwanego poszycia maszyny. Szczątki maszyny i zwłoki pasażerów rozrzucone zostały na obszarze 30 km kw.

ROSYJSCY MOCODAWCY

Rosjanie, gdy tylko zrozumieli, że „ptaszkiem" nie był ukraiński samolot, lecz ogromny pasażerski odrzutowiec, od razu przystąpili do zacierania śladów. Najważniejsze było ukrycie wyrzutni rakiet. Została ona wysłana niezwłocznie tam, skąd przybyła – do rosyjskiej jednostki wojskowej po drugiej stronie granicy. Śledczy wyjaśniający tę zbrodnię mieli do dyspozycji mnóstwo przechwyconych rozmów telefonicznych pomiędzy pracującymi dla Rosjan bojownikami, którzy, spanikowani, starali się zatrzeć ślady. Materiał dowodowy nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że ostatecznie za zabicie 298 osób odpowiadali prorosyjscy rebelianci oraz ich rosyjscy mocodawcy.

Wśród trzech skazanych na dożywocie przez sąd w Hadze za spowodowanie tej tragedii poza Girkinem znaleźli się również Rosjanin Siergiej Dubinski (zastępca Girkina) oraz Ukrainiec Leonid Charczenko (dowódca lokalnego oddziału prorosyjskich bojowników).

„Zawsze mówiłem, że nasi bliscy byli pierwszymi zagranicznymi ofiarami wojny, która zaczęła się osiem lat temu" –

eprasa.pl 5fd6eaf378

powiedział po werdykcie Piet Ploeg, przewodniczący Fundacji Tragedii Lotu MH17, którego brat, bratowa oraz ich dziecko zginęli tamtego dnia nad Donbasem.

Igor Girkin od początku zapowiadał, że nic go nie obchodzi werdykt, który zapadnie w Hadze. „Jako obywatel Rosji nie uznaję żadnych międzynarodowych sądów nad sobą. Nie zamierzam grać na obcym terytorium na obcych prawach" – mówił jeszcze niedawno Girkin. Niewykluczone jednak, że gierki tego Rosjanina z rodzinami ofiar katastrofy niedługo się skończą. W zeszłym miesiącu Girkin ogłosił bowiem, że ma już dość komentowania klęsk swojej ojczyzny, dołącza do batalionu ochotniczego i jedzie na front. Rosjanie powinni wprawdzie robić wszystko, by akurat ten watażka nie wpadł w ręce Ukraińców, ale znając ich dotychczasowy profesjonalizm w kwestiach wojskowych, nie da się wykluczyć, że Girkin trafi w końcu do niewoli, a stamtąd prosto do celi w Holandii.

PYSZAŁEK Z DNR

O Girkinie po raz pierwszy zrobiło się głośno w 2014 r., kiedy dowodził grupą dywersyjną zajmującą ukraińskie obiekty wojskowe na Krymie, a następnie zaczął podpalać Donbas. Ten były oficer FSB i GRU miał już spore doświadczenie bojowe zdobyte za młodu w czasie walk w Naddniestrzu, na Bałkanach po stronie Serbów, a także w Czeczenii.

O swojej roli w tragedii z 2014 r. wielokrotnie opowiadał w rosyjskich mediach, zyskując status bohatera walk o przejęcie – jak nazywają to Rosjanie – tzw. Noworosji, czyli po prostu południo-wschodniej Ukrainy.

„To ja nacisnąłem spust wojny. Gdyby nasz oddział nie przeszedł granicy, to wszystko skończyłoby się jak w Charkowie czy w Odessie" – przechwalał się w jednym z wywiadów.

Podczas walk na wschodzie Ukrainy Girkin – używający też pseudonimu Striełkow, czyli Strzelec – zasłynął z zajęcia Słowiańska, który jednak po kilku miesiącach został odbity przez Ukraińców. Watażka zarządził tam rozstrzeliwanie przedstawicieli ukraińskiej elity, którzy stawiali opór Rosjanom.

„80 proc. ludności chce dołączyć do Rosji. Motywacja tych, którzy przyszli ze mną i dołączyli do nas, jest szersza. Mówią: »Nie chcemy na tym poprzestać, chcemy iść dalej i wyzwolić Ukrainę od nazistów« – mówił rosyjskim dziennikarzom, gdy jeszcze okupował Słowiańsk. – Znaczna część dzisiejszej Ukrainy zajmuje historyczne ziemie Rosji i mam nadzieję, że wcześniej czy później nastąpi zjednoczenie. Podkreślam, nie zawojowanie, nie zajęcie, a zjednoczenie".

O Girkinie pierwszy raz zrobiło się głośno w 2014 r., kiedy dowodził grupą dywersyjną zajmującą ukraińskie obiekty wojskowe na Krymie

Girkin do sierpnia 2014 r. był „ministrem obrony" tzw. Donieckiej Republiki Ludowej, następnie wrócił do Rosji, gdzie zajmował się głównie komentowaniem konfliktu na Ukrainie. W chwilach wolnych od pisania propagandowych tekstów brał udział w swoich ulubionych rekonstrukcjach historycznych. Ten zapalony fan historii uwielbia się bowiem przebierać w mundur carskiego oficera i odgrywać najważniejsze zwycięskie bitwy, dzięki którym Imperium Rosyjskie rosło w siłę. Girkin otwarcie przyznaje się do poglądów monarchistycznych i podkreśla, że samodzierżawie to najbardziej naturalna dla Rosji forma rządów. Z jego wypowiedzi wynika, że Putin był pożyteczny do momentu, kiedy zaczął przegrywać wojnę. Girkin widział w obecnym władcy Kremla swego rodzaju pomost na drodze do przywrócenia w Rosji samodzierżawia.

Dzięki swoim koneksjom w służbach specjalnych Girkin mógł pozwolić sobie na dużo bardziej dosadne komentarze niż przeciętny rosyjski bloger. Od początku obecnej fazy wojny na Ukrainie wzywał do przeprowadzenia całkowitej mobilizacji, przekonując, że z tak szczupłymi siłami Rosja nie ma szans skutecznie obalić władz ukraińskich i zaprowadzić nad Dnieprem własnych „porządków".

SZEROKIE „PLECY"

„Nasze wojska wciągane są w wyczerpujące ofensywne bitwy, grają według reguł proponowanych przez wroga, na przygotowanym przez niego terenie – pisał w maju na swoim koncie na Telegramie. – Straty ponoszone w tych bitwach, w których nie jesteśmy w stanie pokonać wroga, nie mogą być szybko skompensowane. Naszym żołnierzom w końcu zabraknie pary". Girkin przedstawił wtedy czarny scenariusz na przyszłość, który miał się spełnić, o ile Putin nie postanowi zaangażować w wojnę przeciw Ukrainie zasobów całego państwa: „Haniebna porażka – kryzys gospodarczy – dyskredytacja władzy – niepokoje ludowe – przewrót pałacowy".

Emerytowany „minister obrony" DNR najostrzej krytykuje Siergieja Szojgu, wobec którego stosuje szeroki wachlarz inwektyw, ale sam Putin również był przez niego ostro atakowany, co w rosyjskich realiach państwa quasi-totalitarnego musi budzić spore zdziwienie. Girkin nazwał bowiem przegrywającego wojnę Putina „klaunem". Jedynie jego szerokie plecy w specsłużbach mogą tłumaczyć to, że po wypowiedzeniu tych słów Girkin nie zniknął w tajemniczych okolicznościach. Zresztą wiele wskazuje na to, że plecy Girkina jeszcze bardziej się ostatnio poszerzyły. Jak donosi amerykański think tank – Instytut Studiów nad Wojną – Jewgienij Prigożyn, właściciel Grupy Wagnera, rozpoczął współpracę z Girkinem. Prigożyn ma finansować formowanie jednostek ochotników rekrutowanych przez Girkina. Dzięki tej frontowej symbiozie Prigożyn ma zyskać większe wpływy w środowisku rosyjskich skrajnych nacjonalistów, gdzie „Striełkow" jest niekwestionowaną gwiazdą.

W październiku w sieci pojawiły się zdjęcia, na których żona Girkina żegna swojego męża ubranego w mundur wojskowy. Watażka ogłosił, że będzie walczył z Ukraińcami. Ci z kolei, widząc szansę na ujęcie Girkina, ogłosili, że zapłacą 100 tys. dol. za dostarczenie im byłego „ministra obrony" DNR.

„Jak wiadomo, jeden z najbardziej znanych terrorystów rosyjskich postanowił wznowić swój udział w wojnie przeciwko naszemu państwu. Igor Girkin (»Striełkow«) jest terrorystą rosyjskim, byłym tzw. ministrem obrony Donieckiej Republiki Ludowej. Służba Bezpieczeństwa Ukrainy i Prokuratura Generalna wszczęły przeciwko Girkinowi kilka spraw dotyczących działalności terrorystycznej, zabójstw i naruszenia suwerenności państwowej" – czytamy w komunikacie ukraińskiego wywiadu.

W normalnych okolicznościach schwytanie Girkina byłoby scenariuszem niewyobrażalnym. Rosjanie przyzwyczaili nas jednak od 24 lutego, że „druga armia świata" zdolna jest do wszystkiego, również do pozostawiania na placu boju ultranowoczesnego sprzętu, a także do tracenia generałów. Za co w kontekście Girkina jako jeńca kciuki trzymają nie tylko Ukraińcy, lecz także Holendrzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

FOT. CARSTEN KOALL/DPA/AFP/EAST NEWS

KURS PRZYKLEJANIA SIĘ DO DRÓG

Niemiecki tabloid „Bild" ujawnił, jak wyglądają szkolenia aktywistów klimatycznych. Dziennikarze opisali ośmiogodzinny kurs z nauki... przyklejania się do drogi. Aktywistów z organizacji Letzte Generation, z których najmłodszy miał 15 lat, uczono w Berlinie nie tylko, jak skutecznie przykleić swoją skórę do nawierzchni, lecz także jak wytrzymać kilka godzin bez jedzenia, wody i załatwiania potrzeb fizjologicznych (uczono ich, żeby zabierać pieluchy).

MUNDIAL W KOREI PÓŁNOCNEJ?

Prezydent FIFA Gianni Infantino w przededniu otwarcia mistrzostw świata w Katarze wygłosił przemówienie, w którym powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, aby mundial odbył się w Korei Północnej. „FIFA to globalna organizacja piłkarska. Jesteśmy ludźmi futbolu, a nie politykami. Chcemy łączyć ludzi. Każdy kraj może zorganizować mistrzostwa" – stwierdził Infantino.

GWARANTOWANY DOCHÓD DLA OSÓB TRANSPŁCIOWYCH

San Francisco uruchomiło program gwarantowanych dochodów dla osób transpłciowych. Burmistrz London Breed zapowiedział, że program zapewni „ekonomicznie zmarginalizowanym osobom transpłciowym" wpływy do 1,2 tys. dol. miesięcznie przez okres 18 miesięcy. Wnioski w tej sprawie przyjmowane będą do połowy grudnia.

KRÓL KAROL NIE ZJE FOIE GRAS

Brytyjski król Karol III wysłał list do organizacji Peta, zajmującej się prawami zwierząt. Monarcha zapewnił w nim, że foie gras – danie z wątroby tuczonej kaczki lub gęsi – nie będzie podawane w pałacu Buckingham oraz innych rezydencjach królewskich. W Wielkiej Brytanii nie można produkować foie gras, można jednak to danie wciąż importować.

ĆWICZYLI RATUNEK, SPOWODOWALI KATASTROFĘ

W stolicy Peru – Limie – startujący samolot Airbus A320neo uderzył w pojazd straży pożarnej i stanął w płomieniach. Rannych zostało kilkudziesięciu pasażerów będących na pokładzie. Dwóch strażaków zginęło, jeden został ranny. Według wstępnych informacji strażacy jechali na pas startowy, bo... mieli tam ćwiczyć opracowywanie planów działania w razie zagrożenia na pasie lotniczym. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Czarna ściema

Black Friday, czyli wyczekiwane przez miliony kupujących na Zachodzie święto handlu, od lat 50. XX w. daje w Stanach Zjednoczonych możliwość kupienia wielu produktów po cenach obniżonych o 50, 70, a czasem nawet o 80 proc. Tradycja ta od kilku lat gości również w Polsce. Zresztą u nas to już nie tylko Czarny Piątek. W tym roku nad Wisłą w wielu sklepach były całe „czarne tygodnie", a w niektórych nawet długie „czarne miesiące".

Trzeba przyznać, że zdarzały się sklepy, w których można było znaleźć towary rzeczywiście istotnie przeceniony lub kody rabatowe umożliwiające zrobienie rzeczywiście tańszych zakupów. W czasach ogromnej inflacji, która pożera istotną część wynagrodzeń, takie okazje to bardzo przydatna rzecz. Niestety, polscy handlowcy od lat mocno pracują na to, aby Black Friday nad Wisłą tłumaczyć prosto jako „czarną ściemę". I nie jest to tylko kwestia subiektywnej obserwacji. Z danych opublikowanych w grudniu ubiegłego roku przez Deloitte wynikało, że Black Friday przyniósł w 2021 r. średnie obniżki na poziomie 3,6 proc., a 57 proc. sklepów internetowych w Polsce w ogóle nie zmieniło w tym czasie cen.

Pół biedy, gdy obniżki są symboliczne lub gdy konsumenci muszą poświęcić dużo czasu na znalezienie okazji. Gorzej, gdy przy towarze, który kosztuje tyle samo co przez ostatnie miesiące, nagle pojawia się informacja o przecenie. Lub gdy sklepy podnoszą ceny na początku listopada tylko po to, aby pod koniec listopada chwalić się rabatami, lub też gdy cena jest tak naprawdę wyższa, a nie niższa. Te gierki handlowców w poprzednich latach zauważyli sami klienci. Czy unijna dyrektywa o nazwie Omnibus zdoła wymusić na handlowcach uczciwość? Przekonamy się o tym za rok. ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

Poznań

Grupa Inwest®

HORYZONT
NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl

WILDA CORNER

PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl

NOVA ŁACINA
NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl 5fd6eaf378

Bankructwo (krypto)marzeń?

Jacek Przybylski

Giełda FTX, z której wyparowało nagle wiele miliardów dolarów, nie posiadała znaczącej kontroli wewnętrznej, miała za to koszmarny bałagan w dokumentach – przekonuje jej nowy szef i specjalista ds. niewypłacalności John Ray III, który nadzorował niegdyś likwidację Enronu. Jedni inwestorzy boją się więc, że ten krach to początek wielkiej fali bankructw na rynku kryptowalut. Inni widzą w obecnym krachu szansę na jeszcze większy zarobek

FOT. ADOBE STOCK

Założyciel i były prezes giełdy FTX Sam Bankman-Fried był ikoną branży kryptowalut, jej słynnym symbolem, popularną maskotką… Nazywany „cudownym dzieckiem", „geniuszem krypto" czy „królem kryptowalut". Nic dziwnego. Zanim skończył 30. rok życia, był już jednym z najbogatszych ludzi świata. A w promowaniu kryptointeresów pomagali mu zarówno politycy (bardzo chętnie wspierał finansowo kampanie wyborcze zwłaszcza reprezentantów Partii Demokratycznej), jak i przedstawiciele różnych think tanków, organizacji pozarządowych etc. Specjaliści od public relations dbali zaś o to, aby nikt nie miał wątpliwości, że królem kryptowalut jest właśnie chodzący w T-shirtach, nieuczesany Bankman-Fried.

Gdy w ciągu tygodnia szacunkowa wartość giełdy spadła z ok. 32 mld dol. do komunikatu o upadłości, nagle okazało się, że król jest nagi. No może nie tak do końca nagi, bo chociaż wartość majątku samego Sama Bankmana-Frieda zmalała nagle o jakiś miliard dolarów, to i tak według doniesień mediów rany po biznesowej porażce biedaczek liże ponoć na słonecznych Bahamach, gdzie jego rodzice posiadają ponoć luksusowy dom wakacyjny wart kilkanaście milionów dolarów.

Gdy zaś do biura giełdy FTX weszli specjaliści od finansów i upadłości, przerazili się nie na żarty. – Jeszcze nigdy w swojej karierze nie widziałem tak całkowitej porażki kontroli korporacyjnej i tak kompletnego braku wiarygodnych informacji finansowych, jak zobaczyłem tutaj. Od naruszonej integralności systemów i wadliwego nadzoru regulacyjnego za granicą do koncentracji kontroli w rękach bardzo małej grupy niedoświadczonych, nieskomplikowanych i potencjalnie zagrożonych osób, ta sytuacja jest bezprecedensowa – oznajmił przed sądem znany prawnik John J. Ray III, który wie, co mówi, bo podczas swej kilkudziesięcioletniej kariery nadzorował m.in. likwidację Enronu, którego pracownicy na wielką skalę fałszowali dokumenty księgowe.

Bałagan w księgach był tak wielki, że do tej pory nie wiadomo, ile dokładnie pieniędzy klientów wyprowadzono ze spółki. Być może „geniusz krypto" i jego giełda FTX są winni inwestorom miliard dolarów, a być może dwa, cztery lub osiem miliardów najprawdziwszych twardych dolarów (które wcześniej „in-

eprasa.pl 5fd6eaf378

westorzy" wymieniali za pośrednictwem FTX na nowoczesne i modne waluty wirtualne).

Sam Bankman-Fried może i nie jest już „cudownym dzieckiem", ale przynajmniej jest dzieckiem na tyle grzecznym, że w liście do pracowników FTX przyznał się i przeprosił, zrzucając winę na nieracjonalne decyzje podjęte w obliczu „kiepskich" okoliczności (ze względu na czytające nasz tygodnik osoby niepełnoletnie tłumaczenie nieco bardziej kulturalne od autora oryginału). Skompromitowany i osamotniony król kryptowalut przyznał w nim także, że „zamarł w obliczu presji i przecieków", które to miały doprowadzić do utraty zaufania inwestorów, nagłego wycofywania środków oraz nagłego i ogromnego spadku wartości tokenów służących jako zabezpieczenie majątku giełdy FTX.

„W zamieszaniu związanym z rozwojem firmy straciłem z oczu najważniejsze rzeczy. Bardzo mi na was zależy, byliście moją rodziną i przepraszam" – pisał Sam Bankman-Fried w liście ujawnionym przez CNBC. I choć geniusz przyznał się do popełnionych błędów, to wciąż wydaje się być przekonany, że do bankructwa firmy doszło przez nieszczęśliwe zrządzenie losu, bo „potencjalne zainteresowanie miliardami dolarów finansowania pojawiło się mniej więcej osiem minut po podpisaniu dokumentów Chapter 11, czyli ogłoszeniu upadłości".

Założyciel i były prezes giełdy FTX Sam Bankman-Fried był ikoną branży kryptowalut, „cudownym dzieckiem", „geniuszem krypto"...

PRZEŁOMOWY MOMENT?

Wciąż nie wiadomo dokładnie, co konkretnie doprowadziło do nagłego bankructwa jedną z największych giełd kryptowalut na świecie. Nie wiadomo, gdzie w krótkim czasie wyparowały miliardy dolarów. Niektórzy komentatorzy pytają również, czy, a jeśli tak, to jak istotny był udział w tym głośnym krachu jednego z głównych konkurentów giełdy FTX, czyli zarejestrowanej w roku 2017 na Kajmanach największej na świecie giełdy kryptowalut Binance. Próba tzw. wrogiego przejęcia jest bowiem jednym ze scenariuszy rozpatrywanych przez śledczych w tego typu sprawach. Prawdopodobne jest jednak i to, że Binance po prostu skorzysta na kłopotach, w które konkurencja wpędziła siebie sama.

Dochodzenie zapewne będzie trwało długo. Jego efekty będą śledzić najważniejsze media świata, bo potężna giełda upadła w ciągu kilka dni. Jej prezes Bankman-Fried złożył zaś do sądu wniosek o bankructwo i zabezpieczenie przed wierzycielami kilkadziesiąt godzin po tym, jak klienci FTX poprosili o wycofanie aktywów o łącznej wartości kilku miliardów dolarów.

Wśród komentarzy prasowych dotyczących upadku tak wielkiej giełdy kryptowalut, jaką była FTX, nie brak porównań, że dla branży może to być podobny moment, jak upadek amerykańskiego banku inwestycyjnego Lehman Brothers, którego krach w 2008 r. wstrząsnął światowymi rynkami finansowymi i zapoczątkował panikę wśród inwestorów, co doprowadziło do globalnego kryzysu finansowego. Nie brakuje też analityków, którzy bankructwo FTX porównują do

REKLAMA

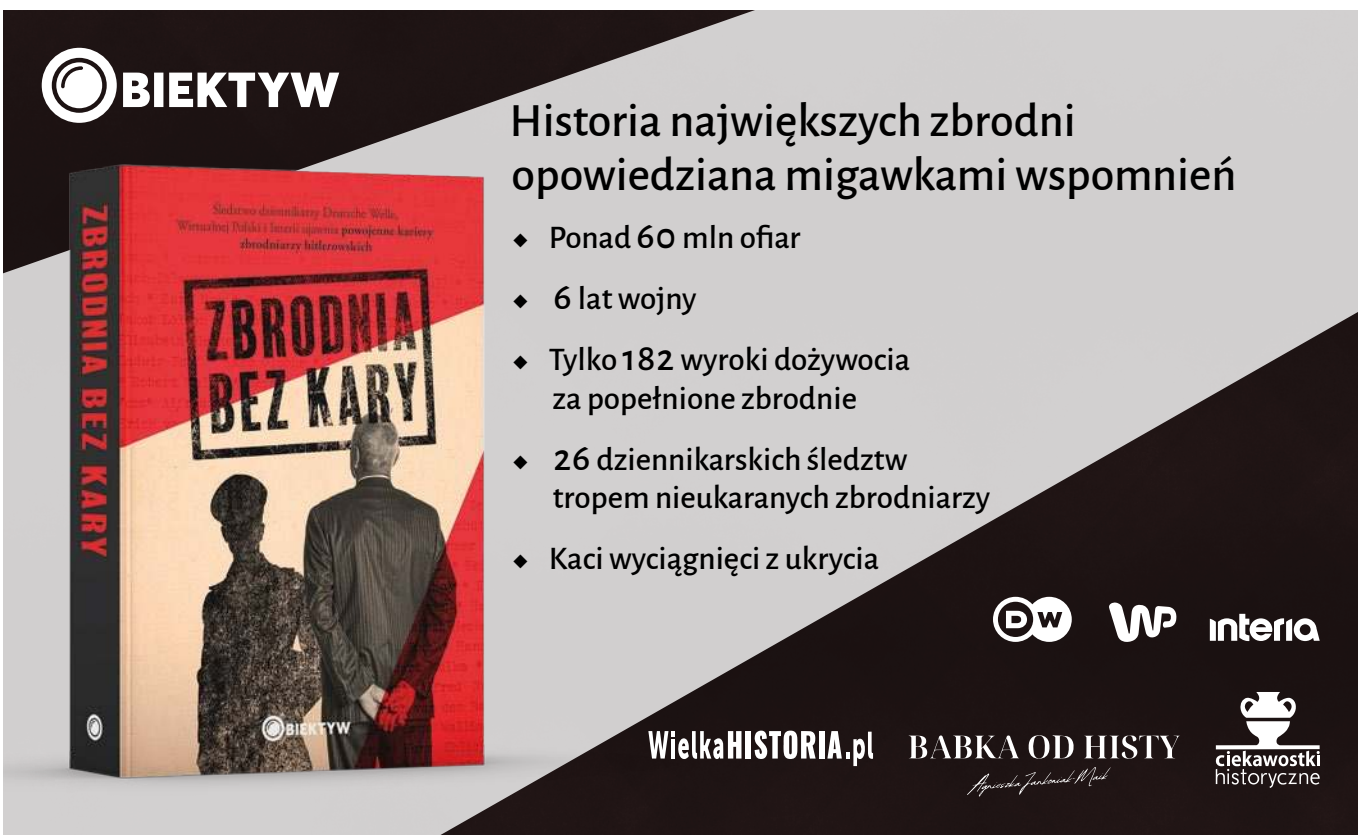

eprasa.pl 5fd6eaf378

pęknięcia bańki internetowej, czyli do tzw. krachu dotcomów w roku 2000.

Obie analogie wydają się trafne. Na szczęście wpływ rynku kryptowalut na światową gospodarkę wciąż nie jest tak wielki, jak był w przypadku banków inwestycyjnych w roku 2008. Ryzyko, że po pandemii koronawirusa i wojennej pożodze, plajta FTX wywoła nagle globalny krach gospodarczy, nie jest więc zbyt duże.

PRYSŁY FORTUNY

Już teraz wiadomo, że jednym z negatywnych efektów upadku giełdy FTX, który widoczny jest już teraz, jest spadek wartości bitcoina, czyli najpopularniejszej kryptowaluty świata. Pod koniec 2021 r. jeden bitcoin kosztował ponad 64 tys. dol. Kurs tej wirtualnej waluty spadł zaś w ciągu ostatnich tygodni do poziomu 20 tys. dol., a po krachu giełdy FTX zanurkował do niecałych 15 tys. dol. Co prawda, potem lekko odbił, ale wcale nie jest wykluczone, że wkrótce znajdzie się poniżej 15 tys. dol., a być może nawet poniżej 10 tys. dol. Duże spadki zaliczyły też w ostatnich dniach inne najważniejsze kryptowaluty świata, np. wartość ethereum spadła nagle z ponad 1,6 tys. dol. do 1,1 tys. dol. Według szacunków CoinMarketCap ostatnie zawirowania sprawiły, że kapitalizacja globalnych rynków kryptowalut spadła z ponad biliona dolarów jeszcze kilka tygodni temu do ok. 795 mld dol. w ostatnich dniach.

Optymiści wskazują jednak, że mimo chwilowych perturbacji tak głośny upadek wyjdzie tylko branży na dobre. Wreszcie jest bowiem istotny pretekst do ucywilizowania rynku kryptowalut, wprowadzenia twardych regulacji rynkowych i zwiększenia bezpieczeństwa inwestorów. Wydaje się, że tylko w ten sposób świat kryptowalut, w którym – jak chyba słusznie zauważył portal Axios – aż „roi się od piramid finansowych i oszustów", może stać się miejscem do prawdziwego inwestowania, które może się okazać bardzo przydatne w trudnych i niespokojnych czasach.

Rynek kryptowalut od lat cieszy się niespotykaną wprost wolnością działania bez niemal żadnych regulacji, urzędów kontroli czy komisji nadzoru. – Działamy w nowej branży, widzieliśmy w zeszłym tygodniu, jakie szaleństwa się tu dzieją. Potrzebujemy pewnych regulacji, ale musimy to zrobić właściwie, musimy to zrobić w stabilny sposób – oznajmił

Sam Bankman-Fried
FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Changpeng Zhao, prezes Binance, czyli największej giełdy kryptowalut, podczas spotkania przywódców państw G20 na szczycie w Bali. – Myślę, że branża jako całość ma do odegrania istotną rolę w ochronie konsumentów, w ochronie wszystkich. Więc to nie tylko organy regulacyjne. One mają do odegrania swoją rolę, ale nie jest to w stu procentach wyłącznie ich odpowiedzialność – zaznaczył Changpeng Zhao.

KONIECZNE REGULACJE

Regulacje chroniące pieniądze inwestorów to podstawa. Konieczne jest też lepsze zabezpieczanie majątku przed atakami hakerskimi, których ofiarami padali niekiedy nawet najlepsi na rynku krypto. Ci, którzy nadal wierzą w sukces kryptowalut, podkreślają, że już z wielu różnych tarapatów wychodził on obronną ręką. Nie jest to wcale wykluczone, bo wejściem na rynek wirtualnych walut interesują się m.in. duże banki komercyjne, jak choćby amerykański JP Morgan, który w ubiegłym tygodniu, czyli już po upadku giełdy FTX, zarejestrował znak towarowy dla cyfrowego portfela i powiązanych z nim usług przetwarzania kryptowalut.

– Podjęcie wielu działań zabezpieczających kryptowaluty przed drastycznymi spadkami leży zarówno w interesie funduszy alternatywnych, jak i inwestorów, a nawet rządów narodowych, bo ograniczy się tym samym niepożądany czynnik niepokojów społecznych. Pozytywnie wpłynie też na kurs bitcoina, który – jak wynika m.in. z historycznych analiz oraz oceny dzisiejszych działań inwestorskich – powinien już wkrótce zdecydowanie wzrosnąć. Szacuje się, że w 2024 r. przekroczy próg 150 tys. dol., czyli tym samym przebije rekordowy do tej pory pułap ponad dwukrotnie. Pierwsze symptomy znacznej poprawy będziemy jednak obserwować już w 2023 r. – prognozuje w przesłanej „Do Rzeczy" informacji prasowej Marcin Wituś z Geco Capital OU.

A CO Z TOKENAMI NFT?

W ostatnim czasie zniknęły fortuny tych, którzy zdecydowali się zainwestować prawdziwe pieniądze nie tylko w kryptowaluty, lecz także w tzw. niewymienialne tokeny NFT, czyli cyfrowe certyfikaty posiadania określonego dobra lub udziału wraz z deklaracją, że dany inwestor będzie jedynym właścicielem danego zdjęcia JPG, wirtualnego awataru, filmu, pliku tekstowego czy nawet postu w mediach społecznościowych. Samo słowo „niewymienialne" przyciągnęło na ten rynek twórców mniejszych i większych cyfrowych arcydzieł, kolekcjonerów oraz inwestorów. Rynek NFT i kryptowalut łączy zarówno technologia – wirtualne waluty i tokeny NFT funkcjonują dzięki rewolucyjnej technologii blockchain – jak i naturalna chęć szybkiego i łatwego zarobku w możliwie krótkim czasie. Stopy zwrotu uzyskiwane przez niektórych inwestorów potrafią rozbudzić wyobraźnię. Jednocześnie stosownie wysokie jest również ryzyko nagłej utraty całego zainwestowanego majątku lub jego większości.

Tokeny NFT mogą być jednak jeszcze bardziej ryzykowne niż kryptowaluty. W przypadku bitcoina, litecoina, polkadot, ethereum etc. zasada jest prosta: są to wirtualne waluty wymienialne, czyli można nimi handlować, można też łatwo określić ich wartość. Każdy bitcoin ma bowiem taką samą wartość. W przypadku tokenów NFT każdy jest wyceniany indywidualnie – wartość niektórych plików JPG liczona jest w dziesiątkach milionów dolarów – i można go odsprzedać jedynie na rynku wtórnym. Do tego dochodzi ryzyko kradzieży przez hakerów lub kupna cyfrowego dzieła, które choć miało być unikatowe, to zostało stworzone w więcej niż jednej kopii. Pewno jest więc jedno: kryptowaluty i tokeny NFT to nowości dla ludzi o stalowych nerwach. Ale – jak mawiają inwestorzy lubiący grać o wysokie stawki – „kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Brawo, rynki finansowe!

Nie wiadomo, czy rynkom finansowym uda się uratować Polskę przed polskim rządem, ale bez wątpienia niedawno podjęły taką próbę.

Dowodem na to jest fakt, że rząd Polski chyba po raz pierwszy nie na żarty się ich wystraszył i wreszcie zaczął ciąć wydatki publiczne. To znaczy – przepraszam – na razie nie zaczął jeszcze ciąć żadnych wydatków publicznych, a tylko na prawo i lewo rozpowiadać, że zaczyna je ciąć. Zaczął o tym rozpowiadać, a przestał rozgłaszać bajdy, że wystarczy nie kraść, a pieniądze na wszystko dla wszystkich zawsze się znajdą – zapewne po cichu licząc na to, że rozpowiadanie o cięciu wydatków wystarczy, i na tym – czyli na rozpowiadaniu o cięciach – się skończy, bo już samych wydatków rząd ciąć nie będzie musiał, a wręcz przeciwnie – przed wyborami jeszcze je powiększy.

Gdy zawodzi rząd – tak szybko i tak mocno zadłużając finanse publiczne Polski, że raczej prędzej niż później musi się to skończyć „puszczeniem podatników w skarpetkach" – i gdy na dodatek ani odrobinę lepsza nie okazuje się opozycja, a przynajmniej ta jej część, która ma jakieś widoki na przejęcie władzy, zazwyczaj ostatnią deską ratunku dla podatników są właśnie rynki finansowe. To one, protestując przeciw finansowaniu tak nieroztropnie prowadzonej przez rząd polityki fiskalnej – żądając wyższej ceny za ponoszone przez siebie, rosnące ryzyko albo ostatecznie odmawiając jej finansowania – poniekąd, nawet jeśli całkowicie nieintencjonalnie, bo przecież w oczywisty sposób nieintencjonalnie, próbują wymusić korektę owej samobójczej polityki.

Niestety, „pomoc" rynków finansowych nie jest tania, a nawet jest bardzo nietania – zwykle bowiem kosztuje ciężkie miliardy dolarów, euro czy złotych – tak jak teraz Polskę, czyli polskich podatników. Albowiem to przecież nie swoimi pieniędzmi, lecz ich rząd RP płaci te coraz wyższe odsetki od kredytów, które w imieniu podatników i na ich rachunek bez umiaru zaciągnął i dalej zaciąga – na z każdym miesiącem gorszych warunkach.

Wszelako warto przy tym nie zapominać, że ta niezwykle kosztowna lekcja udzielana przez rynki finansowe podatnikom – udzielana im wskutek niesłychanej, a tolerowanej przez nich rozrzutności rządu – i tak zazwyczaj wychodzi dużo taniej niż bankructwo państwa. Jednakowoż lekcja ta wychodzi taniej tylko pod jednym warunkiem: że się z niej szybko wyciągnie właściwe wnioski; że rząd – sam lub pod presją wyborców – szybko i zdecydowanie powściągnie swą rozrzutność. Czyli przestanie jedynie rozpowiadać o cięciach wydatków publicznych, których zamierza dokonać, a ich rzeczywiście – i to w odpowiedniej skali, a więc odpowiednio głębokich – dokona. Udowadniając w ten sposób, że bardziej od własnego wyniku wyborczego obchodzi go pomyślność państwa i jego obywateli. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Patriotów z Niemiec nie będzie

Ucieszyłem się, gdy w ubiegłym tygodniu Niemcy zaproponowały Polsce użyczenie baterii rakiet Patriot. To byłby sygnał choćby chwilowego odprężenia na linii Warszawa – Berlin i manifestacja, że oba kraje są w stanie współpracować, gdy idzie o obronność. Wydaje się, że ważny sygnał w obecnej sytuacji. Szczególnie że wyrzutnie musiałyby być obsługiwane przez niemieckich żołnierzy, którzy w takiej sytuacji stacjonowaliby zapewne gdzieś w pobliżu wschodniej granicy Polski. Ku mojemu nawet pewnemu zaskoczeniu pan minister Błaszczak niemiecką propozycję przyjął.

Miejmy świadomość, że ta dość prymitywna gra jest całkowicie czytelna dla naszych zagranicznych partnerów

Radość jednak nie trwała długo. Wkrótce odezwał się Jarosław Kaczyński, oznajmiając, że te patrioty to Niemcy powinni wysłać na Ukrainę. Mariusz Błaszczak posłusznie zmienił narrację i wkrótce oświadczył, że to właśnie zaproponował stronie niemieckiej: ustawienie „patriotów" po ukraińskiej stronie granicy.

To oczywiście utopienie inicjatywy – i to wyłącznie dla osiągnięcia przez polityków PiS ulotnego, zgranego i kiepskiego efektu propagandowego. NATO-wskie (bo nieprzekazane przecież Ukrainie) baterie obrony przeciwlotniczej z NATO-wską obsługą na terytorium Ukrainy oznaczałyby po prostu wejście sojuszu do wojny. Na to nie zgodzą się ani Amerykanie, którzy mają ostatnie słowo jako dysponenci technologii, ani tym bardziej Niemcy. Za to prezes PiS będzie mógł teraz powtarzać: „Zobaczcie, złe Niemce nie chciały dać patriotów Ukrainie. A nam to reparacji nie chcą wypłacić".

Co do niemieckich win w relacjach z Rosją, głównie w sferze energetyki, nikt chyba wątpliwości nie ma. W co Niemcy próbują grać dzisiaj – trudno właściwie powiedzieć. Wygląda to na desperacką próbę przeorientowania się, choć za bardzo chyba nie wiadomo, w którą stronę. To wszystko jednak nie oznacza, że dla podbicia sobie antyniemieckiego bębenka w Polsce rządzący mają prawo igrać kwestiami bezpieczeństwa. Miejmy też świadomość, że ta dość prymitywna gra jest całkowicie czytelna dla naszych zagranicznych partnerów i nie przedstawia nas jako poważnego państwa. ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

Karawany wielbłądów obładowanych solą ciągną się w nieskończoność
FOT. ARCHIWUM AUTORA

Zdumiewający

Jacek Pałkiewicz

Pustynia Danakil to najbardziej niegościnny region planety, zamieszkany przez wywołujących trwogę pasterzy. Fatalna reputacja Danakil zachęciła mnie do odkrycia tej krainy

Swego czasu przeczytałem gdzieś, że gdyby Dante wiedział o krainie Danakil, nie musiałby przedstawiać piekła jako siedziby złych duchów i dusz potępionych. Wystarczyłoby tylko umieścić w „Boskiej komedii" Depresję Danakilską, najokrutniejsze miejsce na ziemi, zdominowane przez oślepiające słońce i temperatury sięgające 50 st. C, zamieszkane na pograniczu Etiopii i Erytrei przez wojowniczy i bezwzględny lud Afarów.

Ten szczegół był wystarczający, aby mnie zaintrygować. Przez kilka ładnych lat Etiopia była nieosiągalna ze względu na konflikty między rządem centralnym a władzami regionów czy też z powodu aktów terrorystycznych erytrejskich rebeliantów i niepewnej sytuacji politycznej w ogóle. Ostatni incydent miał miejsce w 2001 r., kiedy grupa francuskich naukowców musiała zawrócić z trasy po tym, jak tubylcy zamordowali ich trzech przewodników.

I chociaż takie historie zawsze wpływają na ograniczenie ruchu turystycznego, to jednak nie zamierzałem odkładać wyjazdu i jeszcze tego samego roku wylądowałem w Addis Abebie. Następnego dnia znalazłem się zaś w mało znanej dla cudzoziemców Kotlinie Danakilskiej, zapadlisku tektonicznym, o powierzchni prawie pół Polski. Okazała się unikalnym koktajlem ekstremów, czyli bieguna gorąca Afryki, największej depresji tego kontynentu, jednego z najbardziej aktywnych sejsmicznie miejsc na świecie i jednej z kolebek ludzkości. Pięćdziesiąt lat temu odnaleziono w dolinie Auasz, jedynej rzeki, która przecina pustynię, najstarsze szczątki słynnej Lucy, ikony nauki, australopiteka, czyli prapraczłowieka, który żył na tym terenie ponad 3 mln lat temu.

Tutaj Bóg Tygryńczyków i Allah Afarów stworzyli w stanie błogości zakątek science fiction, który miliony lat temu dał życie Ziemi, która do dziś jeszcze się definitywnie nie uformowała. Na spalonej słońcem solnej pustynnej depresji nie tylko oddalają się powoli od siebie dwie płyty tektoniczne Wielkiego Rowu Afrykańskiego, lecz także rozerwana skorupa ziemska na pogranicze Etiopii i Erytrei stanowi absurdalną granicę między dwoma krajami, będącymi w stanie nieustannego konfliktu. Tylko w latach 1998–2000 pociągnął on za sobą 80 tys. ofiar śmiertelnych.

PUSTYNNY TOUR

Po zaopatrzeniu się w żywność i pokaźną ilość wody mineralnej wybieram się na spotkanie z zagadkowym Danakilem. Nie ma tam sklepów, restauracji i hoteli czy odrobiny cienia, gdzie można by się schować przed słonecznym żarem. Właściwie nie ma nic. Zaczynam od solniska, suchego złoża soli, eksploatowanego od zarania czasów przez mieszkający tu lud. Oprócz Amira, przewodnika i kierowcy w jednej osobie, jedzie ze mną także uzbrojony żołnierz. Przez otwarte okna toyoty bucha w twarz obezwładniający niczym ogień z pieca hutniczego gorąc. Mój cicerone, 30-latek o pociągłej, skupionej twarzy i ostrych rysach oraz pełnej godności postawie, porzucił pracę w dużym mieście i wrócił w rodzinne strony. Objaśnia, że znajdujemy się 130 m poniżej poziomu morza i że ta solna pustynia to nic innego jak dno Morza Czerwonego, które w czasach starożytnych cofnęło się, pozostawiając kilometrowej grubości skorupę soli, powstałą w wyniku wyparowywania wypływającej na powierzchnię przez system tuneli wody morskiej.

Otacza mnie niepokojący bezmiar oślepiającej równiny i surowa, przytłaczająca cisza. Słupek rtęci przekroczył 46 kresek, bezlitośnie gorące białe słońce na tle jasnobłękitnego, przezroczystego nieba wtłacza mnie w pozaczasową orbitę, narażając na duchową nagość i bezbronność.

eprasa.pl 5fd6eaf378

świat Afarów

Fotografuję oszałamiające, zadziwiająco regularne geometryczne pięcio- i sześciokąty stworzone z popękanej skorupy solnej, które giną na horyzoncie i gdyby nie w tle romantyczny obrazek niekończącej się karawany dromaderów, wnoszącej podniosłe widowisko, mógłbym sądzić, że jestem na Salar de Uyuni, jednej z największych atrakcji Boliwii. Z zasadniczą różnicą, że tam, na wysokości prawie 4000 m n.p.m., bywa po prostu zimno. Nie mówiąc o tym, że skażona masową turystyką straciła ona swoją dziewiczą specyfikę.

NEGATYWNY WIZERUNEK AFARÓW

Powiedzmy bez ogródek, Danakil cieszy się fatalną reputacją. Odkrywcy, kolonizatorzy, poszukiwacze przygód i dziennikarze zawsze pisali, zresztą słusznie, że to jest nad wyraz niegościnny i niebezpieczny region. Podkreślali jednocześnie, kopiując się nawzajem, że złą famę mają także Afarowie. „Gotowi są pozbawić życia każdego napotkanego obcego" – pisał w swoim pamiętniku Ludovico Nesbitt, włosko-angielski inżynier, który w 1928 r. odwiedził te terytoria. Natomiast znamienity brytyjski podróżnik sir Wilfred Thesiger, który jak mało kto poznał pustynię i zanikający sposób życia Beduinów, twierdził, że Afarowie mieli potęgujący grozę zwyczaj pośmiertnego kastrowania wszystkich cudzoziemców i pokonanych wrogów. Liczba ofiar świadczyła o skali odwagi. Makabryczność umacniała świadomość, że wrogo nastawieni do przybyszów nomadowie dopuszczają się porwań i zabójstw.

Negatywną opinię szerzyli podczas okupacji Etiopii Włosi, zwłaszcza po zamordowaniu w końcu XIX w. 17 członków wyprawy Giuseppe Maria Giuliettiego. Mówiono, że mrowie Afarów ostrzy swoje siekacze, by budzić większy strach u przeciwnika. Inni dopisywali, że młody mężczyzna nie mógł poślubić wybranki dopóty, dopóki nie zabił swojego wroga, co musiał udokumentować jego genitaliami. Trofea te stanowiły dumę. Inne źródła stwierdzają, że każdy mężczyzna musiał mieć kilka kochanek, a i kobiety nie grzeszyły świętością. Taki koktajl egzotyki, przygody i seksu zawsze się dobrze sprzedaje. Maciej, mój zaprzyjaźniony antropolog, tłumaczył, że w tak trudnych regionach dobrze jest mieć parszywą reputację.

Afarowie należą do koczowniczych lub półkoczowniczych pasterzy, podzielonych na klany i rodziny, powiązanych z sezonowymi zmianami pogody oraz dostępnością wody i pastwisk. Twarde i prymitywne życie. Opierają swoją egzystencję na inwentarzu, liczni wydobywają sól i handlują nią. Danakil to ich kraina, największy skarb, którego zazdrośnie strzegą. Nie rzuciliby tego jednego z najmniej gościnnych miejsc na Ziemi, gdzie nie ma pod dostatkiem wody ani żywności, a jutro jest zawsze niepewne. Dumni ze swojej niezależności wymykają się rygorom władzy centralnej. Kiedy zachodzi potrzeba, sprawiedliwość wymierza zgromadzenie wodzów klanów. Wolność jest dla nich ponad wszystko. W połowie lat 90. wielu z nich wyobrażało sobie, że przy pomocy broni ochronią niezależność swoich terytoriów. Kres tej partyzanckiej wojnie, kiedy separatyści porywali zagranicznych turystów, położyło porozumienie z rządem centralnym Addis Abeby.

Słyszy się wokół, że Afarowie mają szorstki charakter, są niebezpieczni i bezwzględni, a trwogę wywołuje już sama ich wojownicza postawa. Takie opinie przysporzyły im złej sławy, mało jest chyba osób, które nie odczuwają obaw, wyjeżdżając do Etiopii. Nieraz myślę, że literatura podróżnicza staje się trochę zbędna. Książki pełne są frazesów i banałów, pogrążone w stereotypach podsycają ciekawość, strach i apetyt na egzotykę. Dziś każdy ma kontakt ze światem poprzez iPhone'a, Facebook, sieci internetowe. Na wyciągnięcie ręki jest do dyspozycji więcej obrazów i wyobrażeń o tropikach, niż Lévi-Strauss był w stanie zebrać w ciągu całego życia. Ale w tej dżungli informacji też łatwo jest się zgubić.

Na ile są wiarygodne historie bezlitosnych Afarów, stanowiących 4 proc. mieszkańców Etiopii? Amir tłumaczy, że jego pobratymcy rzeczywiście zachowują dystans do obcych i być może nie są zbyt potulni, ale to wszystko związane jest z naturą bezlitosnego terytorium, na którym żyją. Aby przetrwać w takim miejscu, trzeba niewątpliwie mieć niezłomny charakter. Ludzie nie starają się nawet być mili, nie dbają o spragnionych ciekawostek

eprasa.pl 5fd6eaf378

Depresja Danakilska to bardzo trudne miejsce do życia FOT. ARCHIWUM AUTORA

podglądaczy, miłośników etnicznych safari. Samozadowolenie nie jest częścią ich świata. Za ten brak uległości dla poszukiwaczy dreszczu emocji Afarowie już dawno zapłacili utratą twarzy, przypięto im łatkę wojowniczych „dzikusów". A nigdy nie było możliwości zgłębienia wiedzy o tej społeczności, ponieważ dopiero od kilkudziesięciu lat ich język ma pisany alfabet. Gdyby nie przekaz ustny, ich kultura byłaby już dawno skazana na zagładę.

KOPALNIA SOLI

Podjeżdżamy do odkrywkowego wyrobiska, gdzie nieopodal przykucniętego mrowia wielbłądów, mułów i osłów trudzi się wielkie skupisko mężczyzn. Ciemnej karnacji, wysocy, szczupli, w plastikowych sandałach, szortach i wełnianych długich skarpetach, aby nie korodować nóg solą, przyjechali ciężarówkami przy pierwszych blaskach świtu. W czteroosobowych zespołach Tygryńczycy z płaskowyżu przycinają kilofami w pustynnej skorupie grube na 6–8 cm płaty soli, po czym podważają je długimi żerdziami i wyrywają z podłoża. Następnie przekazują je w ręce wykwalifikowanych robotników afarskich, którzy ociosują je w pięcio–siedmiokilogramowe perfekcyjnie wyszlifowane, płaskie „ganfur", prostokątne tafle o wymiarach 30 x 40 cm każda, co pozwala na dogodne ich przytroczenie do grzbietu dromadera. Na ziemi wstrząsanej napięciami religijnymi dzięki lokalnej ekonomii chrześcijanie i muzułmanie znaleźli zrozumienie.

Warto zaznaczyć, że średnia roczna temperatura powietrza wynosi tu trudne do wyobrażenia 34,4 st. C. W przeciwieństwie do kalifornijskiej Doliny Śmierci, gdzie odnotowano absolutny rekord gorąca, to właśnie miejsce uznawane jest za najcieplejsze z powodu długotrwałego utrzymywania się skrajnie wysokich temperatur. Aż trudno sobie wyobrazić, że człowiek jest w stanie pracować cały dzień w zabójczym upale wszechobecnego słońca, przy temperaturze zbliżającej się do 50 st. C, oczywiście mierzonej w głębokim cieniu, bez sekundy jakiegokolwiek orzeźwienia. Jest tak gorąco, że – jak mówiono mi niegdyś na pustyni Kara-kum – nawet muchy przestają latać w obawie, że uschną im skrzydła, a jaszczurki wypoczywają na plecach, żeby ostudzić poparzone łapki. Dodać trzeba jeszcze odbijające się od kryształów soli oślepiające promienie. W rezultacie tych surowych, nieprzyjaznych warunków większość robotników cierpi na choroby oczu, od banalnego zapalenia spojówek do odwarstwienia siatkówki. Ich powszednia droga krzyżowa zakończy się wczesnym popołudniem.

MIRAŻ CYWILIZACJI

Nawiązuję rozmowę z kopaczami o pełnym dobroci spojrzeniu oraz powolnym i spokojnym głosie. Mówią, że w ciągu jednego dnia potrafią popełnić do 250 płytek. To sięgająca zamierzchłych czasów tradycja i źródło utrzymania dla wiosek rozrzuconych na całej depresji. Nie skrywają jednak, że ich mirażem jest miasto.

– Nasi dziadkowie nie znali miasta i jego dobrodziejstw. My natomiast je widzieliśmy i wiemy, że życie jest tam lepsze – mówi Aivar, którego skórę spaliło słońce. – Czasy się zmieniają. Pięćdziesiąt lat temu w twoim kraju ludzie też nie żyli tak komfortowo jak dzisiaj. My też chcemy mieć dostęp do szkół i wiedzy. Poprzednie rządy zmuszały nas do pozostania „dzikimi", teraz chcielibyśmy polepszenia naszej sytuacji.

Po chwili kontynuuje beznamiętnym tonem, jakby był świadom, że ten zew miasta przypomina mityczne syreny kuszące swym śpiewem żeglarzy pustyni: „U nas mówi się: nie możesz być świadom, nie widząc, ani przełykać bez przeżuwania. Czas spróbować".

A nie boisz się utraty tożsamości, że w betonowym mieście staniecie się atrakcją turystyczną, tak jak pijący krew z naciętej szyi krowy Masaje albo Tuaregowie, którzy zagęszczają slumsy Sahelu? „Nie, nie chodzi o jej unicestwienie, tylko o unowocześnienie. W mieście każdy ma wodę. To prawda, że nie będziemy mogli chodzić półnadzy, zwłaszcza kobiety, jesteśmy tego świadomi i wiemy, że to cena, którą trzeba zapłacić, aby móc tam się osiedlić".

Roboczy dzień dobiega końca, przyjechały ciężarówki, aby zabrać robotników, podczas gdy w swoją wielodniową podróż na płaskowyż wyruszają wielbłądnicy. Niekończący się sznur dromaderów porusza się z dostojną flegmatycznością. Scena ma coś z biblijnego exodusu. Poganiacze maszerują w archaiczny sposób, z rękami przewieszonymi przez krótki drążek umieszczony z tyłu głowy. Kiedy pytam, z czego się bierze taka metoda, nie potrafią odpowiedzieć. Mój przyjaciel Darek Bajkowski wytłumaczył, że jest to związane z oszczędzaniem mięśnia sercowego, po to, żeby serce nie musiało tłoczyć krwi na zbyt duże odległości i zbyt duże różnice wysokości. Sól jedzie do Mekele i Berhale, skąd będzie dystrybuowana na rynki całego kraju. Szacuje się, że każdego dnia, od października do marca, bo w pozostałą część roku upał staje się zaporowy, w całym Danakilu wydobywa się 300 ton soli.

Wieczorem zatrzymuję się w liczącej kilkaset mieszkańców osadzie, leżącej na pograniczu solnej równiny, w której większość Afarów zajmuje się dobywaniem soli. Uwagę przyciąga szałas, w którym muskularny, z nagim torsem Zayn prowadzi „bar". Na zewnątrz grupka mężczyzn ogląda erytrejską telewizję podłączoną do głośno pracującego generatora i nikt nawet nie zwraca uwagi na przechodzącą obok, bezszelestnie niczym zjawa, karawanę wielbłądów. Zamawiam herbatę i wypytuję gospodarza o mit wolnego nomady, władcy pustyni. „Nie mam wątpliwości, że nasza wojowniczość i bezwzględność powinny być rozcieńczone – podkreśla. – Trudno nam tu wyżyć. Nasz byt zależy prawie całkowicie od inwentarza, wszystko na nim się opiera. W mieście wszędzie jest woda, tu codziennie musimy daleko

eprasa.pl 5fd6eaf378

po nią chodzić. Często staje się ona także przyczyną konfliktu między różnymi klanami. Spójrz, w jakich warunkach żyjemy. Żadnej szkoły, dróg, szpitala. Chorego musimy nieść do najbliższej wioski, odległej o godziny drogi piechotą. Ta sytuacja musi się zmienić".

Ciężkie słowa, które bolą. Przygnębiający może być dla tych nomadów, podobnie jak dla mnogości innych ludów na świecie, fakt niepewnej przyszłości w ich dotychczasowym środowisku. Dlatego niektórzy uciekają się do khata, „sztucznego raju", godzinami żując liście krzewu dającego efekt amfetaminy. Odurzenie zobojętnia, powoduje ożywienie i poprawę nastroju.

HIPNOTYZUJĄCY SPEKTAKL

Kopalnia soli to tylko mały fragment Danakila. Kolejny cel to osobliwa, ze znanych już powodów, mało odwiedzana atrakcja Etiopii – krater wulkanu Dallol. Zostawiliśmy za sobą wielbłądzie karawany, przecinamy słone błota, potem białe podłoże przybiera barwę rdzawoczerwoną i wreszcie szlak się kończy. Pieszo przez dwie godziny wędrujemy niezbyt stromą ścieżką z głębokości 120 m poniżej poziomu morza na leżący kilkadziesiąt metrów wyżej uskok. W zasięgu ręki pojawia się zdumiewająca kaldera, która wita mnie najbardziej niesamowitym i wspaniałym widowiskiem, jakie matka natura była w stanie stworzyć na Ziemi. Oczy hipnotyzują bulgoczące fumarole, stalagmity, siarkowe tarasy, wynurzająca się z trzewi ziemi magma, baseny solankowe, gorące źródła i gejzery. Szokują bajeczne kolory i odnoszę wrażenie, że na rozległym obniżeniu o powierzchni kilkudziesięciu hektarów ktoś wylał tony farby żółtej, czerwonej, zielonej, pomarańczowej, brązowej. Natura stworzyła abstrakcyjny obraz olśniewających dziwów przyrody powstałych wskutek działania potężnych sił, które ukształtowały powierzchnię naszej planety miliony lat temu.

Tylko ten sam spektakl, barwna mozaika będąca dziełem zjawisk zachodzących w głębi Ziemi, wart jest tej podróży i na pewno jest zbyt mało adekwatne stwierdzenie, że wynagradza on wszelkie trudy włożone w dotarcie do tego miejsca.

ZMIERZCH TEGO, CO BYŁO

Etiopski temat odświeżam po 21 latach. W ostatnich czasach wyjazd do tego kraju nie wiązał się już z takim zagrożeniem jak niegdyś. Nastąpiły epokowe i radykalne zmiany. Tradycyjna gospodarka związana z „białym złotem" zachwiała się śmiertelnie. Ikoniczny obraz karawan solnych poruszających się przez spaloną słońcem równinę równomiernym, jak w zwolnionym filmie tempem stał się rzadkością. Chińczycy pomimo stawianego oporu Afarów zbudowali drogę, która łączy wyżynę z depresją, i od tego momentu ciężarówki zjeżdżają do złóż soli, ładują tony towaru i jadą do Berhale, gdzie zostawiają wszystko w ogromnym składowisku. Czytam, że ktoś po 13 latach pracy sprzedał siedem wielbłądów i dwa osły, za co kupił chatkę przy głównej drodze oraz lodówkę i otworzył bar. Inny, nie mając szans na dalszy zarobek, sprzedał zwierzęta do Sudanu na rzeź. Potężne land-cruisery inżynierów górniczych raz po raz przecinają pustynię. W maju 2009 r. rząd Etiopii przyznał brytyjskim firmom prawa do wydobywania soli potasowej, co musiało rozgniewać Afarów, bo zaminowali region i w rezultacie tylko w ciągu jednego miesiąca zginęło 15 osób. Pojawiły się spółki poszukujące ropy. Kanadyjczycy z Allana Potash, międzynarodowej firmy potasowej, rozpoczęli wiercenie 300 studni wokół gejzerów Dallol. Wyrosły międzynarodowe korporacje, istnieją amerykańskie firmy poszukujące ropy. Zbudowano lotnisko. W Ahmed Ela, zapyziałej wiosce kopaczy soli, pojawiła się antena telefonii komórkowej. Jak grzyby po deszczu mnożą się kontenerowe osady, a przy nich i prostytutki. Obiekty przemysłowe znalazły się pod ścisłą kontrolą policji i oddziałów wojskowych. Zmiany w Danakil mają siłę tornada.

Rebelianci dawnych ruchów separatystycznych z bezdusznych Afarów przemienili się w ugrzecznionych przewodników. Na pustyni wyrosło sporo spartańskich noclegowni, jadłodajni. Każdego roku docierało na wulkan Dallol kilka tysięcy amatorów silnych wrażeń.

Według szacunków Banku Światowego od 2000 do 2018 r. Etiopia była trzecim najszybciej rozwijającym się państwem na świecie. W kraju zapanował względny spokój, chociaż duża część Rogu Afryki została dotknięta straszliwą suszą, w konsekwencji zmniejszyły się pastwiska i zginęła duża liczba zwierząt gospodarskich. Dla lokalnych populacji był to dramat nie do opisania. Po kilku latach powróciły deszcze, ale gwałtowne ulewy doprowadziły do powodzi. W listopadzie 2020 r. nadeszły jeszcze gorsze czasy. Wojna domowa stała się początkiem kryzysu na trudną do wyobrażenia skalę.

Latem tego roku polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych ostrzegało, że nie wszystkie miejsca na świecie nadają się na urlop i wypoczynek. Poinformowało o liście krajów, do których podróż obarczona jest dużym ryzykiem. W najwyższym poziomie zagrożenia umieszczono Etiopię, którą stanowczo się odradza, a osoby, które tam przebywają, nawołuje się do natychmiastowego jej opuszczenia.

Afarowie przyznają, że czasy się zmieniły i też chcieliby żyć na innym poziomie FOT. ARCHIWUM AUTORA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest reporterem, eksploratorem, odkrywcą źródła Amazonki, twórcą survivalu w Europie.

eprasa.pl 5fd6eaf378

FOT. ADOBE STOCK

Patrzeć przed siebie

Katarzyna Pinkosz

Kiedyś ta choroba oznaczała ciągłe zagrożenie życia, ból, niszczenie stawów, niepełnosprawność. Dzięki profilaktyce chorzy na hemofilię zaczęli normalnie żyć, a nowe leki mogą jeszcze bardziej zmienić życie z tą chorobą

Na hemofilię chorował ojciec Eweliny (chorują głównie mężczyźni, kobiety przenoszą gen odpowiadający za jej rozwój). Gdy była w ciąży z synkiem, ginekolog skontaktowała się z ośrodkiem leczenia hemofilii, gdyż poród w takim przypadku powinien odbyć się przez cesarskie cięcie w szpitalu, który dysponuje czynnikiem krzepnięcia (czasem trzeba go podać dziecku zaraz po urodzeniu). Badania wykonane tuż po porodzie potwierdziły, że Leoś ma hemofilię A, postać ciężką, co oznacza, że we krwi brakuje czynnika krzepnięcia VIII i nawet małe urazy mogą powodować krwawienia. Najbardziej niebezpieczne są krwawienia wewnętrzne, zwłaszcza do ośrodkowego układu nerwowego (zdarzają się rzadko), a także bardzo bolesne do mięśni i stawów.

Każdej mamie trudno pogodzić się z tym, że wyczekiwane dziecko ma chorobę genetyczną, której medycyna dziś nie potrafi wyleczyć. – Bardzo pomogła mi doktor hematolog, która opiekowała się Leosiem. Powiedziała, że hemofilia dziś to zupełnie inna choroba niż w przypadku mojego ojca, są zupełnie inne metody leczenia. Dała mi też kontakt do innych mam chłopców z hemofilią. Jednak dobry miesiąc minął, zanim stanęłam na nogi – opowiada Ewelina.

Chłopiec rozwija się dobrze, ma siedem miesięcy, nie miał jeszcze wylewu. – Uważam na niego, ma gumowe zabawki, a pod dywanem jest gąbka do ochrony przed urazami – dodaje Ewelina. Chciałaby, żeby hemofilia nie zdominowała życia jej rodziny; ma dwie starsze córeczki i nie chce, żeby ucierpiały przez chorobę brata. Boi się momentu, kiedy trzeba będzie zacząć podawać profilaktycznie czynnik krzepnięcia, żeby chronić syna przed wylewami. Podaje się go dożylnie, a małe dziecko ma małe żyłki, które łatwo pękają, tymczasem czynniki krzepnięcia dostępne w Polsce trzeba podawać dwa–trzy razy w tygodniu. Żeby to ułatwić, małym dzieciom zakłada się specjalne „porty", przez które podaje się czynnik, mające połączenie z krwiobiegiem. Ewelina obawia się tego, bo zna przypadki, kiedy mimo zachowania sterylności porty ulegały zakażeniom, co grozi sepsą.

WYLEWY MIMO PROFILAKTYKI

Julian ma rok i cztery miesiące, urodził się w 34. tygodniu ciąży. Mama nie wiedziała, że jest nosicielką hemofilii (mimo że chorowali brat i wujek, nigdy nie zaproponowano jej badań w kierunku nosicielstwa). Synka urodziła więc w „zwykłym" szpitalu, bez „obstawy" hematologicznej. Poród był naturalny, nie przez cesarskie cięcie. Ponieważ mówiono o hemofilii w rodzinie, a chłopiec urodził się z krwiakami na główce, szybko został przewieziony do szpitala klinicznego z oddziałem hematologii, gdzie wykonane badania potwierdziły ciężką postać hemofilii A.

eprasa.pl 5fd6eaf378

Do ósmego miesiąca rozwijał się zdrowo, jednak tydzień po szczepieniu dostał gorączki i zaczął wymiotować. Początkowo wyglądało to na reakcję na szczepienie, jednak objawy się nasilały. Został przyjęty do szpitala, jednak mimo leczenia poprawa była słaba. – Niepokoiło mnie jego zachowanie, wodził wzrokiem po suficie, był jakby nieobecny – opowiada Elżbieta. Poprosiła o konsultację z hematologiem, który zadecydował o podaniu na wszelki wypadek czynnika krzepnięcia i zalecił tomografię komputerową głowy. Okazało się, że chłopiec ma wylew krwi do mózgu. Dostał sterydy, antybiotyk i duże dawki czynnika krzepnięcia, podawane co kilka godzin poprzez założony port.

Trzy miesiące później znów pojawiła się gorączka. W szpitalu stwierdzono COVID-19, ale ponieważ stan chłopca był dobry, odesłano go do domu. Po tygodniu podwyższonej temperatury mama na własną rękę zrobiła mu badania krwi: miał bardzo wysokie CRP. Wrócili do szpitala, gdzie okazało się, że chłopiec ma sepsę – uogólnione zakażenie organizmu, którego powodem okazało się zakażenie portu. Kolejne tygodnie w szpitalu, sterydy, antybiotyki. W zachowaniu chłopca Elżbietę nadal jednak coś niepokoiło. Wyprosiła kolejne badania: okazało się, że w okolicach serca zbiera się płyn. Mimo stosowania przez cały czas profilaktyki czynnikami krzepnięcia doszło do wylewu krwi z serca do worka osierdziowego. Konieczne było jej usunięcie. Kilka dni spędzili na kardiochirurgii.

Pani doktor hematolog, która opiekuje się Julianem jak własnym dzieckiem, wystąpiła o to, żeby mógł zamiast czynnika krzepnięcia dostawać inny lek – emicizumab. To lek o innym mechanizmie działania, podawany podskórnie. Od trzech miesięcy, odkąd go dostaje, Julian nie miał żadnego wylewu. Jest wesoły, radosny, wspina się na meble (choć na wszelki wypadek rodzice zakładają mu specjalny kask). Patrząc na niego, nikt by nie pomyślał, że kilka razy jego życie było zagrożone. – Lek dostał warunkowo, na rok, bo w Polsce jest on refundowany w zasadzie tylko dla osób z inhibitorem czynnika krzepnięcia – opowiada mama. Nie wyobraża jednak sobie, że mógłby mieć znów podawany czynnik.

Doktor Ewa Stefańska-Windyga, kierownik Poradni Zaburzeń Hemostazy Instytutu Hematologii i Transfuzjologii

Leczenie hemofilii to nie tylko leczenie krwawień, lecz także profilaktyka, czyli zapobieganie ich wystąpieniu. Podstawę stanowią koncentraty czynników krzepnięcia, coraz bardziej udoskonalane. Idea leczenia nimi polega na uzupełnianiu niedoboru czynnika krzepnięcia. Podaje się je dożylnie – w ramach profilaktyki kilka razy w tygodniu, według wskazań lekarza. W ostatnich latach obserwujemy ogromne zmiany w leczeniu chorych na hemofilię na świecie. Powszechnie dostępne są koncentraty rekombinowane (wyprodukowane metodami inżynierii genetycznej), które mogą być poddawane modyfikacji, dzięki czemu mają dłuższy czas półtrwania i mogą być podawane rzadziej w ramach profilaktyki krwawień. Został również zarejestrowany nowy lek – emicizumab, który może być stosowany u pacjentów z ciężką hemofilią A, zarówno bez inhibitora, jak i z inhibitorem, czyli w tej najtrudniejszej do leczenia grupie chorych.

Nie jest on koncentratem czynnika krzepnięcia; to lek, który ma imitować działanie czynnika VIII, czyli zachowywać się jak czynnik VIII w układzie krzepnięcia, poniekąd go zastępować. Jego ogromnym atutem jest to, że podaje się go podskórnie, co tydzień, dwa tygodnie lub cztery. To duża różnica w stosunku do podawania czynnika dożylnie dwa–trzy razy w tygodniu. Jest wykorzystywany do profilaktyki. Po podaniu wysycających dawek leku utrzymuje się jego stabilny poziom w organizmie pacjenta i zabezpiecza przed samoistnymi wylewami krwi. W badaniach klinicznych wykazano bardzo dużą skuteczność (redukcja krwawień wynosi 68–99 proc.). Również polskie doświadczenia pokazują, że lek jest nie tylko wygodny w użyciu, lecz także bardzo skuteczny. Pacjenci nie mają krwawień samoistnych wcale lub występują one sporadyczne (a nie kilkanaście–kilkadziesiąt razy w roku).

W Polsce ten lek jest obecnie dostępny dla pacjentów z hemofilią powikłaną inhibitorem. To ogromna zmiana w podejściu do leczenia tej grupy chorych. Jest jednak duża grupa pacjentów z hemofilią A bez inhibitora, u których leczenie koncentratami czynnika VIII jest bardzo trudne. Dlatego powinien być dostępny także dla pacjentów z ciężką hemofilią A bez inhibitora. Na dziś jest to jedna z najlepszych opcji terapeutycznych, przełom w terapii i w jakości życia.

Optymalne leczenie umożliwia pacjentom prowadzenie normalnego życia, bez wykluczenia z powodu choroby. Tego każdy by oczekiwał, gdyby miał bliską osobę z hemofilią. A pamiętajmy, że 30 proc. przypadków hemofilii to wynik przypadkowych mutacji; być może więc zachoruje któreś z naszych dzieci, wnuków...

JAKUB, CZYLI 31 LAT Z HEMOFILIĄ

O tym, jak nowoczesne leczenie może zmienić życie, przekonał się Jakub. Ma 31 lat, z zawodu jest informatykiem i od kilku już lat stosuje profilaktykę przy pomocy leku podawanego podskórnie (w ramach badania klinicznego). – Czynniki, które stosowałem wcześniej, działały krótko, zdarzały mi się wylewy, ciężko mi było jechać na uczelnię czy do pracy. Mam zniszczone stawy, konieczne były cztery zabiegi radiosynowektomii. Od kiedy stosuję emicizumab, wylewy są sporadyczne, w tym roku zdarzył mi się jeden, gdy zabrałem się za przekopywanie ogródka. Nie miałem jednak unieruchomionego stawu łokciowego przez dwa dni, jak kiedyś, tylko przez chwilę poczułem ból, a potem wszystko minęło – opowiada Jakub.

Nie wyobraża sobie już powrotu do podawania leków dożylnie dwa–trzy razy w tygodniu. – To tak, jakby choroba się zatrzymała. Zawsze trzeba o niej pamiętać, zmian w stawach nie da się cofnąć, ale czuję się, jakbym był zdrowy, normalnie pracuję. Gdy idę, patrzę przed siebie. A nie pod nogi, jak kiedyś – opowiada.

OŚRODKI I EDUKACJA

W Polsce właśnie powstaje nowa edycja Narodowego Programu Leczenia Hemofilii (tworzą ją eksperci wspólnie z Ministerstwem Zdrowia i pacjentami); wszyscy chorzy z ciężką postacią hemofilii A będą dostawać leki do domu, co ułatwi profilaktykę. Pojawiają się też nowe terapie, jednak nie tylko one są ważne. Konieczne jest lepsze funkcjonowanie ośrodków leczenia – to bardzo doskwiera zwłaszcza dorosłym chorym z powikłaniami stawowymi, a często także z innymi chorobami współistniejącymi. Konieczna jest też edukacja lekarzy innych specjalności i ratowników medycznych, żeby wiedzieli, jak postępować, gdy trafi do nich pacjent z hemofilią po wypadku czy np. wymagający operacji. Od właściwego postępowania zależy życie chorego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5fd6eaf378

Dumni z polskości

Już po raz 10. tygodnik „Do Rzeczy" przyznał nagrody Strażnik Pamięci osobom i instytucjom, które w szczególny sposób dbają o polską tożsamość. Statuetkę w kategorii Mecenas otrzymały Lasy Państwowe za „upowszechnianie wartości polskiej kultury materialnej". Nagrodę podczas uroczystości na Zamku Królewskim w Warszawie odebrał dyrektor generalny Lasów Państwowych Józef Kubica

Redaktor naczelny portalu DoRzeczy.pl Karol Gac w swojej laudacji podkreślił, że Lasy Państwowe dbają o polskie lasy i chronią je przed wieloma zagrożeniami – naturalnymi, a także tymi ludzkimi. To prawda, Lasy Państwowe to największa w Unii Europejskiej organizacja zarządzająca lasami należącymi do Skarbu Państwa. Obecnie powierzchnia lasów w Polsce wynosi ponad 9 mln ha. Każdego dnia dbamy o różnorodność biologiczną lasów, a także chronimy je przed wieloma zagrożeniami – klęskami żywiołowymi, plagami owadów, chorobami drzew, pożarami, zanieczyszczeniami, jak również przed skutkami kłusownictwa czy wandalizmu. W efekcie umożliwiamy Polakom bezpieczne korzystanie z ich dóbr.

Udostępnianie lasów całemu społeczeństwu to zresztą jedno z naszych najważniejszych zadań, które mamy w swoim DNA. Adam Loret, pierwszy dyrektor Lasów Państwowych oraz wielki autorytet leśników, wskazywał, że „znaczenie gospodarstwa leśnego nie ogranicza się jedynie do strony ekonomicznej w życiu narodu", ponieważ „las posiada jeszcze wiele niezastąpionych dla kraju właściwości" i tylko państwo „jest w stanie przez racjonalne gospodarowanie lasami uwydatnić wszystkie ekonomiczne, przyrodnicze i kulturalne korzyści, płynące z nich dla kraju". Polscy leśnicy są źródłem bogatej wiedzy o polskich lasach, ich historii czy walorach przyrodniczych. – Są też nieprzerwanie zaangażowani w działania edukacyjne i promocyjne, które pozwalają Polakom lepiej poznać ważny element dziedzictwa narodowego, jakim są lasy [...]. I robią to nieprzerwanie od 98 lat, ponieważ mimo historycznych zakrętów i zmian Lasy Państwowe funkcjonują do dziś, łącząc bogatą tradycję z nowoczesnością – mówił red. Gac.

Rzeczywiście, Lasy Państwowe starają się dzielić swoją wiedzą i zasobami z całym społeczeństwem. Wydajemy dla Państwa książki, periodyki, broszury, prowadzimy stronę internetową. Nasza kadra od lat wspiera szkoły na różnych etapach edukacji. Wspólnie z organizacjami pozarządowymi organizujemy jednorazowe i cykliczne akcje służące poszerzeniu wiedzy o lesie, przyrodzie, ekologii. Współpracujemy także z ośrodkami naukowymi, wspierając badania w dziedzinie leśnictwa. Ponad 25 tys. osób zatrudnionych w Lasach Państwowych dokłada wszelkich starań, by nasze lasy

eprasa.pl 5fd6eaf378

nie tylko przetrwały, lecz także się rozwijały. Wiedza o procesach zachodzących w przyrodzie i kontrola stanu środowiska leśnego pozwalają bowiem leśnikom na wczesną diagnozę zagrożeń, mogących wpłynąć negatywnie na stan lasu. W tym celu wykorzystujemy do naszych zadań najnowsze osiągnięcia nauki oraz techniki. Wprowadzamy rozwiązania informatyczne najnowszej generacji, sprzęt pomiarowy, monitoringowy i inne narzędzia pracy, które zapewniają bezpieczeństwo, szybkość i skuteczność naszych działań.

Cieszymy się, że nasze starania dostrzegł tygodnik „Do Rzeczy". Nagroda Strażnik Pamięci to nie tylko ogromna duma, lecz także potwierdzenie, że nasza droga jest słuszna. – To wielki zaszczyt dla mnie, że w imieniu wielu tysięcy leśników otrzymałem tę prestiżową nagrodę. Wartości patriotyczne są wpisane w etos pracy każdego leśnika. Bardzo dziękuję kapitule za tę szczególną nagrodę – mówił wyraźnie wzruszony dyrektor generalny Lasów Państwowych Józef Kubica, odbierając nagrodę.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 5fd6eaf378

TEST „DO RZECZY": HUAWEI MATEPAD PRO 12.6

Duży wyświetlacz OLED o wysokiej częstotliwości odświeżania, eleganckie wzornictwo, rewelacyjna bateria, bardzo dobre głośniki i ładowanie bezprzewodowe – to najważniejsze zalety najpotężniejszego jak dotąd tabletu chińskiego producenta.

Jeśli chodzi o warstwę sprzętową, to najnowszy tablet Huawei naprawdę może się podobać. Zarówno wzornictwo, jak i jakość wykonania są na najwyższym poziomie. Urządzenie jest smukłe (grubość to tylko 6,55 mm) i stosunkowo lekkie (609 g), a ramki wokół ekranu minimalne (mierzą ok. 6 mm). To, co robi jednak największe wrażenie, to przepiękny wyświetlacz OLED o rozdzielczości 2560 x 1600 pikseli o częstotliwości odświeżania na poziomie 120 Hz. Według zapewnień producenta panel jest w stanie wyświetlić 1,07 mld kolorów z dokładnością odwzorowania Delta E < 1, co jest szczególnie ważne dla grafików, filmowców czy fotografów.

Nie można też narzekać na brak mocy. Za wydajność testowanego tabletu odpowiada procesor Kirin 9000E, dzięki czemu MatePad Pro 12.6 bez problemu radzi sobie z różnymi wyzwaniami, w tym z tak modną wielozadaniowością. W Polsce najnowszy Huawei MatePad Pro jest dostępny wyłącznie w wersji z 8 GB pamięci RAM i 256 GB pamięci na dane.

Fantastyczne wrażenie robi też aż osiem zamontowanych w tablecie głośniczków, które potrafią zagrać nie tylko głośno, lecz także zaskakująco czysto. Powinny więc świetnie sprawdzić się zarówno przy odtwarzaniu filmów, jak i podczas pracy/nauki w domowym biurze/klasie. Wydaje mi się, że w tej półce cenowej trudno byłoby znaleźć tablet, który grałby lepiej. Pracowników zdalnych ucieszy również zapewne informacja, że tablet został uzbrojony w świetnej jakości kamerkę do prowadzenia wideorozmów oraz w cztery mikrofony. Świetne są również dodatkowe akcesoria: klawiatura, służąca jednocześnie jako etui, sprawdza się doskonale. Bardzo dobry jest także rysik, który umożliwia nie tylko pisanie po ekranie, lecz także wykonywanie różnego rodzaju rysunków etc.

Bateria o pojemności aż 10 500 mAh sprawia, że na jednym ładowaniu tablet może pracować dziewięć, a czasem nawet dziesięć godzin. Ładowanie przebiega błyskawicznie, a urządzenie umożliwia również ładowanie bezprzewodowe.

Wady? Największy minus tego fantastycznego tabletu to system operacyjny. Autorski system opracowany przez Huawei, czyli Harmony OS w wersji 3.0, choć jest już dużo bardziej dopracowany niż rok temu, to wciąż nie stanowi pełnoprawnej alternatywy dla tego, który znajduje się w iPadach Pro. Porównanie z Androidem wypada już lepiej. W tym przypadku różnica nie już aż tak mocno odczuwalna i od wielu użytkowników wymagać będzie jedynie przyzwyczajenia się do systemu (jak w przypadku przesiadki z iPada na tablet z Androidem) i przekonania się, że poza Google też istnieje życie.

MadePad Pro nie jest też najtańszy (trzeba za niego zapłacić 4299 zł), ale w zamian otrzymuje się nie tylko potężny, świetnie wykonany tablet, lecz także w ramach promocji za darmo bezprzewodową mysz, magnetyczne etui z klawiaturą oraz stylus M-Pencil drugiej generacji. ©℗

Jacek Przybylski

NOWY SMARTWATCH DLA SPORTOWCÓW

Polar Ignite 3 to najnowszy model inteligentnego zegarka przeznaczonego dla miłośników wszelkiego rodzaju aktywności. Jest wyposażony w ponad 150 trybów wspomagających uprawianie różnych sportów. Wyświetlacz AMOLED ma rozmiar 1,28 cala i jest chroniony przez szkiełko Gorilla Glass w wersji 3.0. Tarczę zegarka można indywidualnie konfigurować, dodając potrzebne widżety. W tego typu smartwatchach dokładny optyczny pomiar tętna jest szczególnie ważny, więc w nowym modelu jest on dokonywany za pomocą technologii Precision Prime. Polar Ignite 3 może także udzielać głosowych porad podczas treningu, np. sugerując zmianę tempa biegu. Zegarek monitoruje również jakość snu, a także na podstawie zebranych danych podpowie użytkownikowi, o jakiej porze dnia najłatwiej będzie mu zająć się zadaniami, które wymagają szczególnej koncentracji, a o której godzinie warto już iść spać. Urządzenie wyposażono również w wydajny procesor do przetwarzania danych. Nowy, ważący tylko 35 gramów model można już kupić w Polsce. Cena: 1599 zł.

WIRTUALNY ZESTAW DLA GRACZY

Dobra wiadomość dla miłośników wirtualnej rzeczywistości. W Polsce można już zamawiać PlayStation VR 2, czyli zestaw gogli VR z futurystycznymi kontrolerami VR2 Sense i słuchawkami stereo. Według producenta nowe okulary z ekranem OLED o rozdzielczości 4K i częstotliwości odświeżania wynoszącej 120 Hz zostały wyposażone w system wentylacji, który ma pozwolić na długie sesje w wirtualnej rzeczywistości. Sam zestaw kosztuje 2990 zł, a zestaw wraz z kodem do pobrania gry „Horizon: Call of the Mountain" kosztuje 3299 zł. Na dostawę nowej zabawki trzeba będzie jednak długo poczekać: premiera zestawu zaplanowana jest dopiero na 22 lutego 2023 r. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5fd6eaf378

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Perekop, klucz do Krymu

Perekop, czyli po polsku przekop, a po tatarsku Or Kapu lub Ferahkerman, przez wieki zagradzał dostęp do Chanatu Krymskiego. Historycy datują jego budowę na rok 1609, za czasów chana Mengli Gereja, który nie tylko wzniósł zamek blokujący drogę przez przesmyk pomiędzy jeziorem Siwasz a Zatoką Karkinicką, lecz także kazał wykopać pomiędzy nimi ośmiokilometrowy wał chroniony przez wieże. System ten, nazywany Perekopem, odcinał Krym od Dzikich Pól, Ordy Jedysańskiej i Nogajskiej. Budowa miała także związek z wyodrębnieniem się Chanatu Krymskiego z ziem Złotej Ordy i pojawiającymi się z jej strony zagrożeniami. Sama forteca zaś bywała wielokrotnie zdobywana – dziś jej pozostałości znajdują się na południe od wioski o tej samej nazwie. Wyraźnie odznaczają się też odcinające półwysep wał i rów, który jednak pozbawiony jest wody i w kilku miejscach bardzo płytki.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jak podawał turecki podróżnik Ewlija Czelebi, Perekop został zdobyty i zniszczony wkrótce po budowie przez chana Sahiba Gereja, który w tym samym miejscu zbudował znacznie potężniejszą twierdzę. „Stoi pośrodku równiny ze wszech stron otoczonej stepem i graniczącej z obszarami Półwyspu Krymskiego, w pobliżu tego przekopu" – pisał. „Zamek ten sycił serca ukontentowaniem i radością, więc go też Ferahkermanem nazwano". Ciekawe, że krymska nazwa „Or" oznacza to samo, co ruska, przyjęta w polszczyźnie – czyli fosa, rów lub przekop. Dodatkowo w różnych okresach czasu Perekop nazywany był także Or Kalesi przez Turków, czyli „zamek orski, perekopski", Or Agazy – dosłownie „usta tatarskie" lub „wejście do przekopu". A także Or Kapusu – „brama orska, perekopska". Nazwa Ferahkerman oznaczała zaś po tatarsku „gród radości", „zamek wesoły", gdyż twierdza odbudowana przez Sahiba Gereja była bardzo piękna.

Jak pisał polski poseł Marcin Broniewski, który za czasów Stefana Batorego jeździł na Krym, twierdza była kamienna i licho umocniona. To właśnie tutaj koncentrowała się orda przed rozpoczęciem wyprawy. Nad brzegami przekopu znajdowało się 17 baszt, z których jedna, jak mówiła legenda, powstała z czaszek Nohajów – dzikich Tatarów zabitych podczas wojny z chanem Sahibem. Forteca miała formę pięciokąta. Skarpy obłożone były kamieniami, od północy znajdowały się pojedyncze główne wrota ze zwodzonym mostem, od południa kilka bram. W XVII w. Perekop rozrósł się do sporej osady składającej się ze Średniego Miasta, Głównego Miasta i Słobody. W twierdzy stacjonowała załoga składająca się z ok. 1 tys. tureckich janczarów i ponad 100 armat.

Pomimo tak licznego garnizonu i artylerii Perekop wielokrotnie padał łupem Kozaków zaporoskich. Pierwszy raz zdobył go w 1575 r. Bohdan Różyński. Posłużył się podstępem – przeprawił przez jezioro Siwasz kozacką jazdę, która obeszła turecko-tatarskie linie obronne od tyłu, opanowała jedną z bram i wpuściła do środka resztę mołojców. W 1608 r. Zaporożcy zdobyli twierdzę po raz drugi. Kilkakrotnie też toczyły się tutaj walki. Latem 1628 r. przeszedł tędy kozacki hetman Michał Doroszenko, występujący po stronie chanów Mehmeda i Szachina Gerejów walczących z murzą Kantymirem wspieranym przez Turków. W listopadzie tego roku Perekop został najechany powtórnie – przez Kozaków pod wodzą Hryćki Czarnego, który zgarnął w okolicy ogromne stada koni. Wkrótce doszło do bitwy, w której Zaporożcy zostali otoczeni przez Tatarów chana Dżanibeka II i Kantymira, jednak wyszli z niej obronną ręką, chroniąc się w taborze i odpierając ataki ogniem broni palnej. Nawet kiedy część stronników Mehmeda przeszła na stronę chana i rozerwała warowny obóz, Kozacy zamknęli lukę i przebili się przez oddziały Ordy. Jednak rozwścieczeni zdradą rozsiekali Mehmeda; jego brat Szahin nie czekał aż spotka go podobny los, i uszedł do Czerkiesów, a potem do Persji.

W maju 1689 r. Tatarzy odparli pod Perekopem ogromną armię moskiewską Wasyla Golicyna wysłaną w celu podboju całego Krymu. Moskale najpierw ponieśli duże straty na skutek braku żywności, zimna i niespodziewanej odwilży, a także utarczek z lotnymi oddziałami Ordy. Chociaż główne ataki Tatarów 17 i 20 maja zostały odparte, a Orda wycofała się za wał, to Golicyn musiał rozpocząć odwrót, gdyż brakowało żywności i paszy.

Perekop zrujnowany został w czasie kolejnych wojen rosyjsko-tureckich. W latach 1736 i 1738 forteca została dwukrotnie zdobyta. Ostatni raz Moskwa zajęła ją w 1771 r., ze wsparciem Kozaków, po czym zburzyła umocnienia, które nigdy już nie zostały odbudowane. Ostateczny cios zadały im walki w czasach rewolucji październikowej i wojny domowej w Rosji w 1920 r., a potem działania w trakcie drugiej wojny światowej. Dziś można podziwiać już tylko ruiny, o ile Ukraińcy akurat nie strzelają. ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Wosku lanie

Andrzejki to święto pogańskie, przypada na wieczór 29 listopada, czyli wigilię św. Andrzeja, i cały dzień następny 30 listopada. Według tradycji ludowej było to święto panienek na wydaniu i wdów, które podczas tego wieczoru wróżyły sobie cudowną przyszłość i przyszłego męża. To czas do wspólnych spotkań w kobiecym gronie, w którym jednak głównym tematem jest... mężczyzna (przy okazji – imię Andrzej pochodzące z języka greckiego od słowa „andros" – mąż, mężczyzna – oznacza człowieka mężnego i odważnego).

Najbardziej tradycyjną i zarazem najstarszą wróżbą andrzejkową jest lanie wosku przez dziurkę od klucza i wróżenie z powstałego kształtu, co przyniesie los. Aby się dowiedzieć, jakie imię będzie miał przyszły mąż, obierano jabłko i skórkę rzucano przez ramię; kształt, w jaki się ułożyła, będzie pierwszą literą imienia wybranka.

Kiedyś do wróżb przykładano ogromną wagę, czyli wierzono, że spełnią się one na pewno. Dziś podchodzimy do tej tradycji z przymrużeniem oka i raczej traktujemy jako zabawę.

W Kościele w okresie Adwentu obecnie nie obowiązuje post ścisły, a jedynie zaduma i czas refleksji, dlatego tak chętnie uczestniczymy w tych imprezach.

Aby zorganizować przyjęcie andrzejkowe, wcale nie musimy poświęcać dużo czasu. Polecamy na ten wieczór dania jednogarnkowe, łatwe i szybkie małe przekąski. Chodzi przecież bardziej o spotkanie towarzyskie i dobrą zabawę niż objadanie się, zwłaszcza że i tak kobiety zazwyczaj się odchudzają, by podobać się swoim mężczyznom.

FOT. ADOBE STOCK

Tortille z łososiem i serkiem chrzanowym

• 4 placki tortilli • 1 opakowanie serka chrzanowo-śmietankowego • 2 opakowania 200 g wędzonego łososia • sałata masłowa, koperek, 2 świeże pomidory • kilka łyżek majonezu • pieprz do smaku • świeża rukola

Placki smarujemy serkiem i majonezem, układamy sałatę, łososia, koperek i po plasterku pomidora, odrobinę przyprawiamy, zwijamy w rulon i kroimy na trzy części, układamy na talerzu i posypujemy rukolą.

Kurczak w sosie śmietanowym z pieczarkami i boczkiem

• 2 podwójne piersi z kurczaka • 200 g wędzonego boczku • 200 g pieczarek • 1 duży por • 200 ml śmietanki słodkiej • 50 ml oliwy • Przyprawy: sól, pieprz, czerwona papryka, 2 ząbki czosnku • 2 łyżki mąki pszennej

Kurczaka kroimy na małe kawałki, w garnku z grubym dnem rozgrzewamy oliwę i podsmażamy pokrojony por oraz rozgnieciony czosnek. Dodajemy pokrojony na małe kawałeczki boczek, pokrojone w paseczki pieczarki, następnie kawałki kurczaka i podduszamy ok. 20 min. Dodajemy przyprawy i na końcu śmietankę wymieszaną z mąką, doprowadzamy do wrzenia. Podajemy z ryżem albo ze świeżym pieczywem. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Złoty pałac

Pierwszy świat w szybkim tempie się starzeje. Kto będzie utrzymywał zastępy staruszków, skoro dzieci rodzi się mało, nie wiadomo. Nie rozwijając tego obszernego tematu, zajmijmy się chwilę tymi, którzy już teraz są starzy, a na dodatek mają pieniądze, więc problemów z opieką chyba nie będzie.

Oto Golden Palace, luksusowy dom seniora na Florydzie. Nazwa dobrze oddaje wygląd: jak przystało na luksus, przynajmniej w wydaniu amerykańskim, dużo tu złota, kryształów, marmurów. Na ścianach lustra i arrasy (te drugie raczej made in China). Nad dobrostanem 150 pensjonariuszy czuwa ponad 1 tys. dobrze przeszkolonych pracowników. Mają dawać z siebie dużo ponad oczekiwania mieszkańców, spełniać ich wszystkie życzenia, zapewniać dobre samopoczucie i rozrywkę. To wszystko otrzymują oni za skromną sumę 5 tys. dol. miesięcznie.

Tu się nie choruje. Mieszkańcy złotego pałacu są w niezłym zdrowiu, o ile oczywiście w wieku 80 lat można być zdrowym. Będą tu przebywać średnio ok. pięciu lat. Gdy staną się niepełnosprawni i będą wymagać całodobowej opieki, wyprowadzą się, zachowując wspomnienie miło spędzonego czasu.

„Happy hours" zaczynają się codziennie o godz. 16. Prowadząca, czyli KOwczyni (kulturalno-oświatowa), dwoi się i troi, żeby wszyscy byli w dobrych humorach. Muzyka, tańce, quizy, konkursy z nagrodami. Drink-bar obficie zaopatrzony, do tego coś do jedzenia. Można spotkać znajomych, wprawdzie tych samych co wczoraj i co jutro, ale lepsze to niż samotność. Na kanapach rozmawiają panie w kolorowych obcisłych ubraniach, z mocnym makijażem, ufarbowanymi włosami. Trochę za głośno mówią, bo słuch już nie ten, ale uzębienie kompletne. Na parkiecie kręcą się pary. Męsko-damskie niezbyt liczne, bo mężczyźni stanowią tylko jedną piątą pensjonariuszy, więc pani z panią też chętnie zatańczy, nawet jeśli ta druga porusza się z balkonikiem.

FOT. ADOBE STOCK

Czasem przyjeżdżają rodziny, jednak nie za często i nie do wszystkich. Niektóre dzieci przysłały tu rodziców, żeby się nimi nie zajmować. Niektóre dzieci płacą za rodziców, jednak większość płaci sama za siebie. Są zamożni. Mieli własne biznesy, pracowali ciężko, teraz należy im się odpoczynek.

Dziwnie się ogląda film dokumentalny „Golden Palace". Z jednej strony miło popatrzeć na starych ludzi w dobrej formie, którzy piją drinki, flirtują i noszą bluzki z dekoltem. Z drugiej strony w tej bogatej, kapiącej od przepychu oprawie starość wydaje się jeszcze smutniejsza. Jakkolwiek by było, niezbyt się ona Panu Bogu udała. ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Koniec pandemii? Dobre...

Niektórym się wydaje, że to po COVID-19. Ale gdzież tam! Właśnie na szczycie G20 w Egipcie ustalono, że posiadanie paszportu szczepiennego będzie warunkiem umożliwiającym podróżowanie. Tak, opracowano już całe postępowanie, w którym w czasie pandemii władza przechodzi praktycznie do rąk WHO, która będzie dbała o równe standardy i koordynowała działania rządów.

Z tą koordynacją w czasie pandemii (szczęśliwie minionej?) to było na szczęście różnie. Dlaczego na szczęście? Ano dlatego, że wiele krajów mogło na własny rachunek podjąć własne decyzje. Teraz to ma być niemożliwe. W ten sposób nie dojdzie już do powtórzenia się fenomenu Szwecji, która postanowiła postawić na odporność stadną, nie wprowadzała lockdownów i kwarantann i wyszła po prawie trzech latach najlepiej, jeśli chodzi o zgony i dynamikę zakażeń. W ten sposób nigdy już nie dojdzie do fenomenu Afryki, która się kompletnie nie przejęła ani koronawirusem, ani szczepionkami. Może była za biedna, a może za rozsądna. Wyniki – ułamkowy procent zakażeń; powie ktoś – bo nietestowanych, ale jak się to zweryfikuje nadmiarowymi zgonami, to wychodzi, że kraje zaszczepione po kokardę doznają kilkusetprocentowych wzrostów w wielu grupach, a CAŁY KONTYNENT ze słabą służbą zdrowia i niskim poziomem higieny żyje sobie zdrowiutko.

Z tymi paszportami to proste. Przy kompromitacji szczepionek co do zatrzymania wirusa, a także co do ich bezpieczeństwa, stosowanie paszportów, uzależnianie od nich podróżowania jest już tylko czystą formą kontroli dla samej kontroli. No bo nie ma to żadnego znaczenia epidemiologicznego. Wszystko już przetestowane, ludzkość postrachana się ugięła i zostało to zapamiętane. Teraz, kiedy cały mechanizm jest gotowy, vendingowa maszyna z wirusami czeka pod prądem w kącie, wystarczy tylko wrzucić dowolny żeton wirusowy.

Zaszczepienie staje się więc pustym aktem posłuszeństwa wobec nakazów władzy. Treść tych nakazów jest wtedy bez znaczenia, tak jak w przypadku szczepionek. Samo zaszczepienie jest aktem „znamienia bestii", bez którego nie zaznasz normalności. Zaczniemy od podróżowania, potem, jak widzieliśmy za COVID-19, pójdziemy dalej. A tu nie będzie już tak jak w Pandemii Pierwszej – WHO powie każdemu państwu, jak ma formułować listę kar i nagród, i skończy się improwizacja.

Pytanie tylko, czy da się ludzkość straszyć tym samym przez cały czas. Szefowie największych państw zadecydowali, że tak – i są gotowi. A my się łudzimy, że już po pandemii. Władza nie zapomni tego, że suwereni klękną przed stymulowanym strachem. Jeżeli władza poszerza swoje oddziaływanie w sytuacjach nadzwyczajnych, to nie dziwmy się, że będzie stwarzać sytuacje nadzwyczajne, by zrobić z tego stały proceder powiększania władzy. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Białostocka izba żenady

Raz zobaczyć to więcej niż 10 razy usłyszeć. Nagrane komórką ogłoszenie werdyktu Sądu Okręgowej Izby lekarskiej w Białymstoku, kończące postępowanie przeciw dr Dorocie Sienkiewicz, robi wrażenie. 14 listopada dr Dorota Sienkiewicz została pozbawiona prawa wykonywania zawodu lekarza na rok. Za stołem, na tle żaluzji, bez państwowych atrybutów, bez stroju i insygniów sędziego, z zaciągniętymi pod oczy maseczkami siedzą trzy smutne panie, a jedna z nich niepewnym głosem pospiesznie odczytuje sentencję wyroku. Naprzeciw stoją wyprostowana dr Dorota Sienkiewicz i jej pełnomocnik mecenas Arkadiusz Tetela. Uderzający jest kontrast między postawą tych wolnych, godnych i pewnych swoich racji ludzi a zamaskowanymi i skulonymi, i chyba zawstydzonymi sędziami – lekarkami.

Przestępstwem dr Sienkiewicz była publikacja na stronach Polskiego Stowarzyszenia Niezależnych Lekarzy i Naukowców „Apelu do Młodych Polaków". Dr Sienkiewicz, znając niekorzystny bilans korzyści i ryzyka szczepień, szczególnie w grupie młodszych pacjentów, ostrzega dzieci i młodzież przed nieprzebadanym i niepewnym preparatem, wstrzykiwanym masowo w ramach Narodowego Programu Szczepień. Sąd, a właściwie lekarki występujące w roli sądu, nazwał apel „szerzeniem poglądów antyzdrowotnych", jego treść „niezgodną z aktualną wiedzą medyczną", a wystąpienie „działaniem szkodliwym społecznie".

Po tym wszystkim, co już wiemy, po licznych nagłych zgonach młodych ludzi, po przyznaniu się przez dyrektor Pfizera na przesłuchaniu w PE, że nie było wymaganych badań, postawa tych białostockich lekarek budzi niesmak i zażenowanie. Zamiast uzasadnienia powtarzają jakieś ogólnikowe frazy.

Oczywiście już sam fakt postępowania budzi oburzenie. Przewiną bowiem nie są błąd lekarski ani szkoda pacjenta (do orzekania w takich sprawach zostały powołane sądy przy izbach lekarskich), tylko wygłoszenie opinii naukowca, który na podstawie dostępnych badań, publikacji naukowych i wieloletniej praktyki zabrał głos w ważnej społecznie sprawie. Skandalem natomiast był przebieg posiedzenia. Choć pozwolono pełnomocnikowi zaprezentować składający się z 64 slajdów materiał uzasadniający naukowość wygłoszonych przez dr Sienkiewicz (w inkryminowanym „Apelu") tez, to do żadnego z przytoczonych argumentów sąd się nie odniósł.

Wszystko wskazuje na to, że sentencja wyroku powstała przed rozprawą, co dodatkowo potwierdzają wyjątkowo krótkie obrady sądu. W tym czasie niemożliwe było napisanie tak obszernej, wielostronicowej sentencji. Wobec rażących naruszeń proceduralnych, niedopuszczenia wniosków dowodowych, wyłączenia jawności itp. pełnomocnik Arkadiusz Tetela zapowiedział apelację. ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Buzie szeroko zasłonięte

Katarczyków są niecałe 3 mln, ale mają pieniądz. Stop. Organizując mistrzostwa świata w piłce nożnej, zakazali temu światu promowania ideologii LGBT i noszenia tęczowych opasek, koszulek czy znaczków. Stop. Wrzeszczący zazwyczaj sześciokolorowi aktywiści grzecznie pochylili główki, gdyż okazało się, że oprócz pieniędzy w życiu ważne są jeszcze pieniądze oraz pieniądze. Stop. Reprezentacja Niemiec przed meczem z Japonią postanowiła jednak przeciw tęczowym zakazom zaprotestować, tyle że półgębkiem. Stop. Na zdjęciu przed spotkaniem piłkarze zakryli sobie usta, że niby cenzura. Stop. Gdyby założyli opaski LGBT, dostaliby żółte kartki, więc woleli milczeć. Stop. Niestety, gest ten internetowym śmieszkom skojarzył się z byłym trenerem Niemiec Joachimem Loewem, który często przytykał rękę do twarzy, ale jego motywacja była inna. Stop. Mariusz Max Kolonko, samozwańczy prezydent Stanów Zjednoczonych Polski, nadal nadaje ze schowka na miotły. Stop. Jego orędzia do narodu polskiego stają się legendarne. Stop. Ostatnio ogłosił np., że nie lubi Roberta Lewandowskiego, co zmieniło wszystko. Stop. Sądzę jednak, że tłumy oglądają jego filmy, aby rozwikłać zagadkę, czy nasz Max, zasiadając przed kamerą, jest wyłącznie pod wpływem tlenu. Stop.

Paulina Hennig-Kloska z ugrupowania Hołowni w czasie wywiadu z Beatą Lubecką rzekła: „Chciałam wszystkich zapewnić, że jako Polska 2050 zrobimy wszystko, by w ciągu 100 dni po zmianie władzy powołać specjalną grupę pedofilów". Stop. To podobno przejęzyczenie, ale strach pozostał. Stop.

Nie ma szczęścia ten Hołownia do tych kobiet. Stop. Inna polityczka Polski 2050 Róża Maria Barbara Gräfin von Thun und Hohenstein z domu Woźniakowska chyba na zawsze zostanie zapamiętana ze swojego wpisu na Twitterze po wybuchu rakiety w Przewodowie. Stop. Eurodeputowana oznajmiła: „A już tak bezpiecznie czuliśmy się za tymi płotami, na które idą miliony". Stop. Dobrzy ludzie z mediów społecznościowych pospieszyli z wyjaśnieniami, że płoty nie chronią przed rakietami. Stop. Przypomniano również radiową wypowiedź Bronisława Wildsteina, który panią Różę znał jeszcze z czasów studenckich: „Natomiast w wypadku Róży Thun to jest przykład osoby, która nie jest zupełnie przygotowana do stanowisk, które zajmuje. Jeżeli myśmy ją kochali, to z pewnością nie za jej inteligencję". Stop.

Jak doniósł „Bild", a na polskim Twitterze Adam Gwiazda, Bundestag przyznał 8 mln euro stowarzyszeniu United4Rescue zwożącemu nielegalnych imigrantów przez Morze Śródziemne do Europy. Stop. Prezesem United4Rescue jest Thies Gundlach, partner wiceprzewodniczącej Bundestagu Katrin Göring-Eckardt. Stop. Może zaczną sponsorować kolumbijską mafię? Kto wie... Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Wałęsa – człowiek z innej bajki

Małgośka, mówią mi, ten pajac to naprawdę wasz Wałęsa? „Nie, to jego podróbka" – odpowiadam znajomym Latynosom, którzy wysyłali mi z konferencji konserwatystów w Meksyku zdjęcie pana Lecha. „Tamten prawdziwy Wałęsa został pożarty przez własne ego i od tamtej pory tylko jego żywotna powłoka przemieszcza się po świecie, plotąc epickie banialuki" – tak skrótowo tłumaczę im upadek naszej legendy. W końcu tylko my mamy obwoźnego eksprezydenta, który bzdurzy o UFO albo o tym, jak w pojedynkę pokonał wszystkich komunistów.

„Qué bobadas dice..." – wzdycha inny polityk hiszpański, wysyłając mi swoje wyrazy niedowierzania odnośnie do poziomu bzdur wypowiadanych przez wąsaty symbol Polski na kongresie poważnych przecież konserwatystów. Wałęsa wprawił w konfuzję nawet Latynosów, przyzwyczajonych przecież do wielu bzdur wykrzykiwanych w rytmie gitary i marakasów. Jeśli się dobrze zastanowić, to Lechu powinien się już przykryć tym sombrero, w którym paradował. Ewentualnie może wstąpić w szeregi jakichś mariachi i na ichniej mandolinie zapodawać opowieści o tym, jak zakończył zimną wojnę na świecie. Niech tam się puszcza w obieg i w tournée po Iberosferze, byle tylko bez naszych symboli narodowych na piersi.

Właściwie to fotografia Wałęsy w moim życiu mogłaby posłużyć za scenariusz filmu krótkometrażowego, zgoła innego niż ten Wajdy pt. „Wałęsa. Człowiek z nadziei". Najpierw byłaby krótka migawka z domu mego dzieciństwa i chełpliwy głos taty mówiący do mamy: „A ja mam zdjęcie z podpisem Wałęsy!". Potem migawka z domu mojej młodości i głos mamy skierowany do taty: „No ja przynajmniej nie mam zdjęcia z dedykacją od tego idioty". Trzecia migawka to ja z mężem, pochylona nad fotosami Wałęsy z Meksyku, i figlarny głos małżonka: „Ja chociaż nie mam znajomych, którzy spędzaliby czas z Bolkiem". I w końcu migawka z ponoć prestiżowego polskiego dziennika, który artykułem ze zdjęciem Wałęsy ostrzega: „Były prezydent wystąpi w mieście Meksyk na tej samej konferencji, co przedstawiciele skrajnej prawicy i zwolennicy teorii spiskowych".

Ach, jakie to wymowne: zdaniem „Rzeczpospolitej" Wałęsie zagraża utrata reputacji przez występy na kongresie prawicy! A przypadkiem nie na odwrót?! Może jednak mój film o sławnym stoczniowcu powinien kończyć się jednym z ulubionych motywów Wałęsy, czyli tym o inwazji UFO. Oto w finałowej scenie pojawia się filmowy E.T. i trzymając w dłoniach zdjęcie wąsatego Polaka, przemawia do niego czule: „Lechu go home". A wtedy wszyscy odetchną... ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Dedykowane „realistom”

Obserwujemy na zimowym niebie deszcz rosyjskich rakiet, które spadają na elektrownie, domy i mieszkańców naszych sąsiadów. Coraz bardziej zaniepokojeni szukamy scenariuszy pokojowego zakończenia agresji Rosji. Co mogłoby ją zaspokoić? Czego Rosja chce? Co ją motywuje w stosunkach z sąsiadami w Europie? Czy tylko interesy, w sprawie których można się w końcu porozumieć, jakoś je rozgraniczyć? Wielu tzw. realistów na Zachodzie i ich naśladowców w Polsce uważa, że zna pozytywną odpowiedź na te pytania. Niestety, nie znają Rosji. Żeby ją poznać, trzeba sięgnąć do rdzenia jej bogatej, wielowiekowej kultury: do tego, co formuje wciąż rosyjską mentalność, ambicje i lęki. „Kryminalny Piter”, czyli półświatek komunistycznego Leningradu i jego gangsterski etos – choć są ważne dla zrozumienia W.W. Putina – to jednak nie wystarczą. Proponuję pochylić się nad dwoma wciąż obowiązkowo nauczanymi w szkołach rosyjskich wierszami, najważniejszymi manifestami politycznymi, które najlepiej wyrażają aktualny świat wyobrażeń prezydenta Federacji Rosyjskiej i dziesiątków milionów jego poddanych.

Pierwszy chronologicznie jest wiersz Gawryły Dzierżawina, nadwornego poety Katarzyny II i właściwego twórcy wielkiej literatury rosyjskiej. To oda „Na zdobycie Warszawy”, napisana z okazji utopienia we krwi powstania kościuszkowskiego. „Poszedł – i gdzie potrójne złości rzędy? / Z kim tylko walczył, wszystkich pobił! / Pola i miasta stały się grobami; / Wkroczył – i królestwo podbił” – tak zaczyna się pełna ponurej energii chwalba rzezi, której dokonał Suworow na obrońcach ostatniego szańca Rzeczypospolitej. Chwała Suworowa jest odblaskiem wielkości Katarzyny, a ta – chwałą samej Rosji. Pojawia się w narracji ody car Piotr, który tłumaczy historyczny i narodowy sens triumfu Katarzyny nad Warszawą: „Tyś dom nasz rozprzestrzeniła / I sławą wszystkich nas przerosła: / Zawziętą tyś pobiła Polskę / Która twym wrogiem zawsze była”. Dzierżawin zwraca się do europejskich mocarstw (Anglii, Francji, Szwecji), by rzucić im wyzwanie. Szydzi: „Siedzi orzeł [rosyjski] na złowrogiej hydrze [polskiego buntu]: Chodźcie, weźcie mi tę zdobycz, lwy!”. Rosyjski bohater nie boi się starcia z nikim. Nikomu swej zdobyczy nie odda! Nie potrzebuje żadnych sojuszników: „Do prawdy dojdziesz tylko wojną: / Wielki duchu! Twój Bóg jest z tobą! / Na co ci sojusz? – O Rossie! / Zrób krok – i cały świat jest twój”. Mocne słowa, które zachwyciły w oryginalnym brzmieniu nawet Adama Mickiewicza, pół wieku później omawiającego odę Dzierżawina w swoich wykładach paryskich w Collège de France.

Czy można zaspokoić takie ambicje, taką dumę, jaką wyraża wielki duch rosyjskiej kultury? To pytanie wraca podczas lektury najpopularniejszego w Rosji politycznego wiersza Puszkina. On także odpowiadał na „polski bunt” – powstanie listopadowe. Napisał na tę okazję trzy wiersze: „Oszczercom Rosji” (napisany 16 sierpnia 1831 r.), „Rocznica Borodina” (skomponowany pod wrażeniem wiadomości o zdobyciu Warszawy) oraz „Przed świętym grobem” (rzeźnika Warszawy – Suworowa). Osnową najbardziej znanego z nich, „Oszczercom Rosji”, jest relacja: Rosja – Zachód – Polska (Europa Wschodnia). Pisany pod wpływem doniesień o debatach zachodnich parlamentarzystów, dopominających się o poszanowanie przez cara praw Polski, wiersz Puszkina jest prawdziwą eksplozją kompleksu niedowartościowania Rosji przez Europę. „Wy nas nienawidzicie... Za co?” – pyta z żalem rosyjski patriota Europejczyk. Przecież Rosja zawsze niosła Europie tylko wolność (on miał na myśli „wyzwolenie” od Napoleona, współcześnie Rosja odwołuje się do „pobiedy” nad Hitlerem z 1945 r., zapominając o pakcie z nim w 1939 r.). Polska (tak jak dziś Ukraina) jawi się w tym kontekście jako powód tej tak bolesnej i niezrozumiałej dla oświeconych Rosjan wrogości Europy. Puszkin tłumaczy, że próbując wtrącać się w rozprawę z Polską (z Ukrainą), Zachód wykazuje nie tylko niewdzięczność, lecz także nieznajomość historii. Ta bowiem rozstrzygnęła raz na zawsze geopolityczny spór o Europę Wschodnią: ona należy się Rosji. Kluczowe jest tutaj, jak nazywa to Puszkin, „dziedzictwo Bohdana” – czyli Chmielnickiego, panowanie nad Ukrainą. Interwencja Zachodu niczego nie zmieni. „Dufny Lach” (czy „Kozak”), wstępujący za poduszczeniem liberalnych krasomówców z Zachodu w „nierówny spór z wiernym Rossem”, jest skazany na klęskę. Zachód przegra z Rosją, jeśli tylko odważy się przeciwstawić należnemu jej panowaniu nad Europą Wschodnią. Te motywy i bezpośrednie odwołania do Puszkinowskiego dzieła weszły na stałe w obieg rosyjskiej myśli i samoświadomości. I pozostają tam, utrwalone w tysiącu innych dzieł, także Dostojewskiego, Mandelsztama (wiersz na „polskich legionistów”), Brodskiego (wiersz na niepodległość Kijowa), do dziś.

Tego się nie da „przekupić” Donbasem, Krymem, połową Ukrainy czy całą nawet. Może da się zaspokoić, oddając Rosji całą Europę Wschodnią, razem z Polską? To jest myśl „realistów”. ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

W KOMIN

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Masa forsy właśnie znika, czyli idzie w komin. Czyja forsa? Twoja, i najczęściej o tym nie wiesz.

Najprostsza do zrozumienia jest inflacja. W tym roku wyparowały dwie twoje pensje, gdy inflacja przekroczyła 16 proc. Jeżeli masz coś odłożone, to ta forsa stale robi się mniej warta. Uciekaj z gotówki, gotówka w czasach kryzysu parzy w ręce i paruje szybko, czasami wybuchowo. Kto trzymał pieniądze na giełdzie kryptowalut FTX, bo mu się wydawało, że giełda jest miejscem bezpiecznym, ten się przekonał. Kryptowaluty trzyma się we własnym elektronicznym słoiku, zakopanym głęboko w komputerze, a transakcji dokonuje się bez pośredników – inaczej to nie ma sensu. I trzeba się na tym ZNAĆ. Ja się nie znam, więc krypto obserwuję z daleka jak pawiana w zoo. Państwu radzę to samo – nie znasz się na pawianach, to nie trzymaj pawianów, bo ci zdechną lub uciekną.

***

Mój dziadek (przedwojenny milioner i powojenny żebrak) uczył, że najgorszą formą przechowywania gotówki jest papier, a jeszcze gorszą bank lub giełda, lub cokolwiek podobnego, nad czym nie masz kontroli.

Do dziś mam jego przedwojenne obligacje RP. I co? Jajco! Po „odzyskaniu niepodległości" w roku 1989 żaden rząd nie powiedział, że jest spadkobiercą drugiej RP i wypłaci obywatelom zaległości. Wszystkie partie, nawet te tzw. patriotyczne, zdecydowały, że wolą być spadkobiercą ruskiej strefy okupacyjnej o nazwie PRL i spłacać długi komunistyczne.

Gdy widzę dzisiejsze obligacje rządowe i słucham banialuk na temat tego, jak bezpieczną inwestycję stanowią, to prycham. Bo w czym te kwitki mają pokrycie, skoro państwo jest zadłużone? Zaczną nam w razie czego oddawać kawałki państwowego lasu lub dzieła sztuki z Wawelu? Nie sądzę.

***

Trzymasz forsę w banku? A czy wiesz o tym, że banki nie mają tyle twojej gotówki, ile ci się wyświetla na ekranie? Obowiązkową rezerwę, którą bank musi mieć, wyznacza NBP i aktualnie jest to tylko 3,5 proc. Czyli jeżeli ktoś na swoim rachunku widzi milion, to bank ma z tych pieniędzy tylko 35 tys. Szokująco mało. A pozostałe 965 tys. jest gdzieś. Bank inwestuje, rozdaje kredyty, ogólnie bawi się twoją forsą i nic ci nie odpala z tej zabawy, a jeszcze wymaga, byś to ty płacił bankowi za prowadzenie rachunku. Część twoich 965 tys. już dawno poszła w komin.

Posłuchaj tego zdania: bank żąda od ciebie, byś to ty finansował działalność banku; nie oni sami, lecz ty. Prowadzę biznes i to ja inwestuję moją forsę, ja ryzykuję moją forsę, a bank… bank polega na tym, że inwestuje i ryzykuje twoją forsę bez ryzyka własnego. No to ja bym w coś takiego forsy nie pakował. Ja chcę od banku kupować usługi, a nie ponosić ryzyko inwestycji, które oni prowadzą i na nich zarabiają.

Cała masa ludzi nie ma forsy na spłatę kredytów i należy się spodziewać, że te kredyty spłacone nie będą, czyli twoje 965 tys. wyparuje. Dlatego kup coś. Póki inni się nie zorientowali, w czym rzecz. Jakieś konkretne „coś", nad którym będziesz miał choć trochę kontroli. Jeżeli bank ma zaledwie 3,5 proc. twoich zasobów, to znaczy, że wpłacanie do banku jest wrzucaniem pieniędzy w ognisko. A podpalaczem jest NBP, który zezwala na to, by tylko 3,5 proc. twojej forsy było w banku, a reszta gdzieś, czyli… w tyłku znaczy, ale na pewno nie w bankowym sejfie.

***

Panie WC, ale co Pan właściwie proponuje? Żeby bank miał zawsze 100 proc. pokrycia na całą zdeponowaną u nich forsę? TAK!!! Właśnie to konkretnie postuluję. Każdy bank powinien mieć całą masę własnej forsy, a nie tylko forsę twoją. I powinien ryzykować wyłącznie swoje pieniądze, a nie twoje. Dokładnie to postuluję, bo każdy inny układ nie jest uczciwy.

Bank Wells Fargo funkcjonował na Dzikim Zachodzie i opierał się na sieci dyliżansów (staroświecki mechanizm dokonywania przelewów). Ich sztuka zarabiania pieniędzy polegała na tym, że poza twoimi pieniędzmi mieli też drugie tyle własnych. Wpłacałeś swoją forsę na wschodzie USA, bank wystawiał papierowy kwit (czek), a potem ten kwit jechał dyliżansem na zachód i tam wypłacali na jego podstawie – tobie lub komuś innemu wskazanemu na czeku – równowartość. Czyli aby ta operacja była wykonalna, bank musiał mieć zawsze 200 proc. twoich zasobów. 200 proc., a nie 3,5 proc. I to był interes uczciwy, bo bank ryzykował WŁASNĄ forsę, a nie twoją.

***

Gdy wybuchła druga wojna światowa, mój dziadek gorączkowo pozbywał się wszelkiej gotówki. Zostawił sobie tylko trochę złotych monet, bo to inwestycja „ucieczkowa" – za złotą monetę wykupisz się z łapanki lub złote monety przewieziesz przy sobie, gdy będziesz uciekać na inny kontynent. Złoto nie jest wygodną lokatą (trudno sprzedać), ale przetrwa inflację, wymianę waluty, dewaluację…

Na początku wojny dziadek zakupił ogromny zapas cegieł. Kupił tyle, że cegły wypełniły mu stodołę po dach. Cegły nie gniją, nie pleśnieją, a gdyby stodołę spalili, cegły zostałyby na pogorzelisku osmalone, ale nienaruszone. Po wojnie dziadek sprzedawał te cegły po kawałku za KOLOSALNĄ forsę, bo po wojnie każdy potrzebował cegieł na odbudowę.

***

W czym trzymać majątek lub oszczędności w czasie obecnego kryzysu (a poza kryzysem czeka nas jeszcze krach)? Nieruchomości to dość odporna inwestycja. Odporna na wojny, kryzysy i inflacje. Nie zabezpiecza na 100 proc., bo nieruchomość też mogą skonfiskować, rozwalić bombami lub może sama spłonąć. Ale i tak są bardziej odporne niż oszczędności i inwestycje w pieniądzu papierkowym, akcjach, obligacjach.

Domy i mieszkania są ludziom potrzebne zawsze – za komuny, w czasie wojny, po wojnie, w czasie kryzysu – zawsze. Nic nie zabezpiecza w 100 proc., ale nieruchomości to dość mocne zabezpieczenie. Ziemię, posesję, nieruchomość nadal mogą ci skonfiskować, ale… nieruchomości są bardziej odporne na przejazd czołgów, na plagę, inflację i wymianę pieniędzy niż każda inna lokata kapitału, który uzbierałeś.

A jeżeli nie uzbierałeś nic, nie masz oszczędności, a do tego masz długi? Wówczas absolutnie nie masz się czym martwić, bo władza światowa teraz spopiela pieniądze w wielkim piecu, czyli pali także twoje długi, kredyty i wszelką inną forsę, której ty i tak nie masz. W tym… ZUS. ©℗

eprasa.pl 5fd6eaf378

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

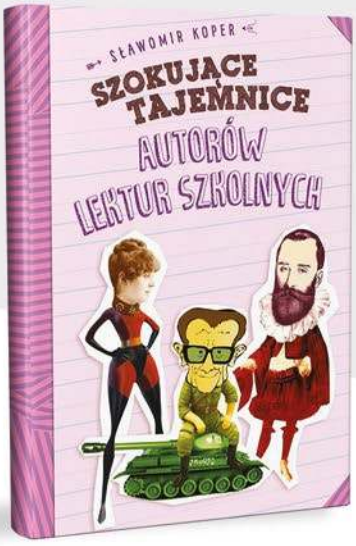

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER „SZOKUJĄCE TAJEMNICE AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~509 ZŁ~~

230,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 369 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5fd6eaf378

ROAMER
OF SWITZERLAND

7 YEAR WARRANTY